

ESHKOL NEVO



SAMOTNE MIŁOŚCI

POWIEŚĆ ESHKOLA NEVO TO ŚWIETNA
LITERATURA, BEZ DWÓCH ZDAŃ.

Piotr Kofta

ESHKOL NEVO

SAMOTNE
MIŁOŚCI

PRZEŁOŻYŁA Z HEBRAJSKIEGO
Magdalena Sommer

WARSZAWSKI WYDAWSTWO LITERACKIE
MUZA SA

„...and to every people after their language”
Book of Esther I : 22



**Published with the support of The Institute for the Translation of
Hebrew Literature, Israel
and the Cultural Department at the Embassy of Israel Warsaw.**

„...i do każdego narodu w jego własnym języku”

Księga Estery 1, 22

Przekład niniejszej pozycji otrzymał subwencję Instytutu Tłumaczeń
Literatury Hebrajskiej w Izraelu
i Departamentu Kultury Ambasady Izraela w Warszawie.

Anat

Wszystkie cytaty biblijne w tej powieści pochodzą z Biblii Tysiąclecia,
Wydawnictwo Pallottinum, Poznań 2003.

Spis treści

1

2

3

4

5

Słowniczek

Można by się spodziewać, że taka historia będzie powtarzana z ust do ust, relacjonowana szeptem na klatkach schodowych albo w sypialniach z najdrobniejszymi szczegółami, przez wszystkie pokolenia, lecz o dziwo, zaraz po incydencie, choć miał on świadków, prawdziwych świadków naocznych, nikt o nim nie rozprawiał, ani po hebrajsku, ani po rosyjsku, ani po amerykańsku, jakby ludzie postanowili, że całą sprawę powinny przysypać drobiny czasu, sekundy usypujące się w minuty, jak płatki śniegu. Bo przecież i tak nikt by nie uwierzył.

Ale mogłoby się zdarzyć, przypuśćmy, że kiedyś o północy ktoś ustawiłby drabinę, opartą o zachodnią ścianę budynku ratusza, i wspiął się lekko, zwinnie po szczeblach, a jego ręka bez wahania popchnęłaby właściwe okno – nie trzeba nawet tłuc szyby, Reuwen z archiwum zostawia okno odrobinę uchylone, żeby wpuścić powiew wiatru – następnie od razu mógłby nacisnąć przełącznik światła i odszukać w dolnym rzędzie, na najniższej półce, skoroszyt zatytułowany *Datki w latach 1993–1994*, odrobinę wystrzępiony na brzegach, a w nim, niemal nie kartkując zawartości, odnalazłby z łatwością oficjalny list od nadawcy: Jeremiaha Mendelstruma z Hillborn, New Jersey, zaadresowany do Burmistrza.

List ten, należy ostrzec, choć oficjalny, wcale nie jest krótki. Najwyraźniej bowiem Jeremiah Mendelstrum uległ temu, co spotyka niekiedy osoby biorące pióro do ręki: to ono ich prowadzi. A może przyczyniła się do tego samotność, praprzyczyna wszystkich przyczyn. I tak, choć pierwotnym zamiarem pana Mendelstruma było przedstawienie krótkiej, rzeczowej propozycji, na dwóch pierwszych stronicach zaskakująco szeroko rozpisuje się on na temat niedawno zmarłej pani Mendelstrum, a linie, które kreśli, nie są krótkie i odmierzone, lecz długie i wijące się jak tęsknota, nie zadowala się też wyświechtanymi określeniami – sprawiedliwa, uosobienie wszelkich cnót i tym podobne – lecz stawia na progu serc czytelników maleńkie dzbanuszki, zawierające cząstki wspólnego życia pary małżeńskiej: pełne skrępowania pierwsze spotkanie na obrzezaniu u Frishbergów, to, jak oddaliła się nieco, nie mogąc patrzeć na sam moment operacji, a on obejrzał się za nią, nie mogąc na nią nie patrzeć. Poza tym: wspólny wieczorny spacer rok później, od West Village do rzeki Hudson, gdy zwierzała mu się z marzeń, mówiąc: musisz wiedzieć, że nie jestem jedną z tych dziewczyn, które spacerują z ukochanym nad Hudsonem i zwierzają mu się z marzeń tylko po to, by dwa miesiące później zająć w ciążę i zrezygnować ze wszystkiego, a on powiedział: *God forbid*, nic podobnego, ale w głębi serca czuł dumę, bo wtedy po raz pierwszy na swój sposób powiedziała mu, że go kocha. W ciągu czterdziestu kolejnych lat deklarowała miłość do niego zaledwie kilka razy, ale zawsze robiła to z pełnym przekonaniem, jak w modlitwie, a pomiędzy tymi chwilami zostawiała go spragnionego kolejnego razu. Teraz, gdy odeszła, on odkrywa ku swemu

wielkiemu żalowi, że nie ma już na co czekać. Owszem, niekiedy udaje mu się zobaczyć ją wyglądającą z oczu synów, a jedna z wnuczek, córeczka starszego syna, ma dokładnie taki sam uśmiech i tak samo unosi brwi ze zdumieniem, ale Ameryka to nie Izrael, *you must understand*, amerykańskie rodziny to odłamki glinianego naczynia, a nie kawałki puzzli, i między kolacją w Rosh ha-Shana a wieczorem sederowym nie udaje mu się znaleźć celu, kolejne dni kleją się do siebie, nawet pieniądze, przy których gromadzeniu harował od rana do wieczora tyle lat, nawet one już go nie motywują, i właśnie przez to wpadł na pewien pomysł: uwieczni imię ukochanej żony, finansując budowę nowej mykwy w Mieście Cadyków, do którego przyjazd planowali razem zaledwie poprzedniego lata. Kupili już bilety na samolot i *Szczegółowy przewodnik po grobach świętych cadyków*, w angielskim tłumaczeniu naturalnie, lecz pewnej niedzieli, gdy przeglądał weekendowe wydania gazet, usłyszał nagle głuchy dźwięk od strony sypialni, jak odgłos uderzenia pięścią w worek.

Nie chce rozwodzić się nad tamtą chwilą. Nie może. Chyba nigdy nie będzie mógł. Zamiast tego postanawia przejść do sedna. Jak wspominał, jego zamiarem jest sfinansowanie nowej mykwy w mieście, z pokryciem wszelkich związanych z tym kosztów, i ma tylko jeden warunek, choć nie do końca jest to warunek, lecz raczej nadzieja płegająca w nim jak płomień świeczki zapalanej ku czyjejs pamięci, by ten budynek, w którym obok wejścia znajdzie się tabliczka z imieniem jego żony, był gotów do przyszłego lata, gdy zamierza odwiedzić Ziemię Świętą. Jeśli Bóg pozwoli.

Od dnia, w którym nakrył głowę jarmułką i przyjechał do Miasta Cadyków, Mosze Ben Cuk usiłował postrzegać siebie jako człowieka narodzonego na nowo, który z bezpiecznego dystansu obserwuje dawne namiętności. Co prawda, wbrew wszelkim staraniom przetrwało w nim kilka skłonności z czasów, gdy był kibucnikiem o złamanym sercu, a potem oficerem wywiadu w Tajnej Jednostce, o której Wiedzą Wszyscy – nadal kolekcjonował mapy i plany, nucił bezgłośnie pod nosem piosenki Szaloma Chanocha, wypalał po obiedzie jednego papierosa marki Noblesse i odpędzał ręką zapach Ajelet, ilekroć dolatywał do jego nozdrzy.

Ta woń nie przypominała w ogóle cynamonu, ulubionego zapachu Ajelet. Ani żadnego konkretnego szamponu. To był po prostu jej własny zapach. I zawsze, chociaż wiedział, że to wykluczone, że nie ma takiej możliwości, gdy wyczuwał ten zapach przy półce z nabiałem w supermarkecie, obok huśtawek na placu zabaw, albo – szatańskim zrządzeniem – w synagodze, dłoń odpędzała go energicznie, ale oczy zaczynały się rozglądać: może mimo wszystko...

Tamtego ranka przyniósł go ze sobą podmuch zimowego wiatru, który wdarł się do wnętrza samochodu. Mosze natychmiast zamknął okno, ale to tylko pogorszyło sytuację. Teraz jest uwięziony z tym zapachem, zmuszony do obcowania z nim. Dlatego otwiera z powrotem okno i usiłuje odgonić zapach ręką,

patrzy w boczne lusterko i w wewnętrzne lusterko, a potem znowu w boczne, chociaż tak naprawdę nie ma żadnej możliwości, to nie może być, jest stracony, jeśli ona wróciła – na koniec przenosi wzrok na drogę i dodaje gazu. Najlepiej, żeby wreszcie dojechał do pracy. Jak najprędzej. Tam będzie mógł schować się za cudzymi problemami.

Jako osobisty asystent burmistrza do wszelkich zadań, Ben Cuk ma do dyspozycji przestronny gabinet, którego ściany ozdobił licznymi mapami: popularnymi, jak „mapa synagog” czy „mapa uczelni talmudycznych”, ekscytującymi, jak „mapa rocznego poparcia”, i całkiem niepotrzebnymi, które powstały z samego zamiłowania do kreślenia map, jak „mapa występowania modeli subaru według roczników” lub „mapa miejskich dziwaków”.

Na cotygodniowe posiedzenia rady miasta przychodzi pierwszy, rozwiesza zawczasu mapy i przezrocza, by mógł się odwoływać do nich podczas narady – „przypadkiem miałem je pod ręką” – i tak samo robi na naradzie w sprawie listu od owdowiałego filantropa, Jeremiaha Mendelstruma.

– Sytuacja przedstawia się następująco – mówiąc to, Ben Cuk zrywa się z miejsca i stuka cienkim długim wskaźnikiem w arbitralnie wybrany punkt, znajdujący się mniej więcej pośrodku „mapy miejskich mykw”. Obecni podskakują na krzesłach, zaskoczeni siłą uderzenia. Ben Cuk to muskularny mężczyzna, ludzka kapsuła, w której tłoczą się pod ciśnieniem liczne sprzeczne impulsy. Mięśnie ramion prężą się w rękawach koszuli i ludzie całkiem niesłusznie zakładają, że Ben Cuk ćwiczy z ciężarkami. Ma przenikliwe, głębokie spojrzenie. W jego oczach tli się jakiś nigdy niegasnący płomień. Policzki zawsze pokrywa cień zarostu. Nie przez zaniedbanie, broń Boże, lecz dlatego, że włoski wyrastają z powrotem dosłownie w kilka sekund po tym, jak kończy się golić.

Niestety, Ben Cuk, który w dalszym ciągu wędruje wskaźnikiem po mapie, stwierdza, że mimo najlepszych chęci udzielenia twierdzącej odpowiedzi na prośbę milionera w mieście nie ma miejsca na jeszcze jedną myk-wę. Liczba mykw przypadających na metr kwadratowy jest tu najwyższa na Bliskim Wschodzie. To samo tyczy się liczby mykw na głowę.

– Nie rozumiem, jak to „nie ma miejsca”? – odzywa się burmistrz tonem, jaki zawsze przybiera na zebraniach: szyderczym, pełnym wyrzutu, z lekkim odcieniem agresji (Awraham Danino ma także całkiem inny ton, który zachowuje na spotkania prywatne: ojcowski, łagodny, z wyraźnym odcieniem zaufania. I choć Ben Cuk pracuje z nim już od blisko dwóch lat, nie przyzwyczał się jeszcze do tych gwałtownych zmian). – Jeśli nie ma miejsca – Danino uderza teraz lekko dłonią w stół – to je zrobimy. Jak się to mówi: dla chcącego nic trudnego.

– Nawet jeśli zrobimy miejsce, panie burmistrzu, jest jeszcze jeden problem, z którym będziemy musieli się uporać – mówi Ben Cuk i nakłada na mapę następne przezrocze. – Jak widzicie tutaj – znowu dotyka mapy wskaźnikiem – obecnie

– z naciskiem na „obecnie” – zachowana jest delikatna równowaga między różnymi nurtami religijnymi, gdy chodzi o liczbę mykw przynależących do poszczególnych nurtów. Każda dodatkowa mykwa w mieście naruszy tę równowagę. Co więcej, może ją całkowicie zburzyć.

Członkowie rady, której skład również ustalono zgodnie z tą samą uświęconą zasadą równowagi między różnymi nurtami, kiwiają głowami. W rzeczy samej, twardy orzech do zgryzienia.

– Co w takim razie proponujesz? – pyta Danino, wbijając w niego spojrzenie zielonych lśniących oczu. (Nikt nie spodziewa się tak lśniących oczu u burmistrza miasta. Ben Cuk widział wielokrotnie, jak smutek wyzierający ze spojrzenia Danina wytrąca ludzi z równowagi. Szczególnie, gdy spotykają go po raz pierwszy). – Nie, naprawdę – odzywa się ostrzej – chcę wiedzieć, co zamierzasz. Mamy powiedzieć temu całemu Mendelstrumowi, że nie chcemy jego pieniędzy? Niech je sobie zabierze i da innemu miastu?

– W gruncie rzeczy, jeśli spojrzeć na mapę... – zaczyna mówić Ben Cuk, zamierzając umieścić na niej kolejne przezrocze.

– Zostaw te mapy w spokoju! – wykrzykuje burmistrz i wpycha rękę głęboko w spodnie (podczas gdy większość ludzi wpycha za spodnie kciuk z pozostawieniem reszty dłoni na zewnątrz, Awraham Danino zwykł wkładać do środka cztery palce, aż niemal, albo wręcz dosłownie, dotykają genitaliów, zostawiając na zewnątrz sam kciuk). – Przedstaw mi jakieś rozwiązania! – Podnosi głos, zwracając się do swego asystenta, i nerwowo uderza kciukiem po sprzączce pas-ka. – Rozwiązania!

Kiedy ktoś na niego krzyczy, Ben Cuk niemieje. Staje się z powrotem małym chłopcem, nowym przybyszem w kibucu. Takim, któremu mówią „no skacz, skacz wreszcie” na wycieczce do wodospadu w Nachal Jehudija. Takim, którego nigdy nie wybierają do drużyny koszykówki, chociaż nie jest aż tak beznadziejny. Takim, który podczas pierwszych nocnych podchodów wpada do dołu na szambo i wstydzi się zawołać o pomoc, bo wie, co powiedzą. Takim, co woli milczeć, bo nawet jego świetne pomysły są przyjmowane z drwiną...

– Chwileczkę, za pozwoleniem, a co z tym pustym terenem? – zabiera nagle głos przedstawiciel Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, skromny i poważny młody człowiek, który dwa lata wcześniej został tu oddelegowany ze Świętego Miasta, by naprawić sytuację po tym, jak w radzie miejskiej wykryto nieprawidłowości finansowe.

– Gdzie? – Ben Cuk stuka w mapę wskaźnikiem. – Tu? Tu? Tu?

Przedstawiciel Ministerstwa Spraw Wewnętrznych zrywa się, podchodzi do mapy i kładzie palec na ziemi niczyjej, terenie położonym między miastem a jednostką wojskową. Rzeczywiście, nic tam nie ma. To teren pozbawiony mykw. Całkowicie.

– Słowo daję. – Ben Cuk opiera wskaźnik o ścianę. – Chce pan zbudować mykwę na Syberii?

Wszyscy rechoczą. Oprócz burmistrza, który wyciąga rękę zza paska, uderza mocno w stół i mówi:

– To właśnie zrobimy z donacją pana Mendelstruma. Wybudujemy pierwszą historyczną mykwę na Sy... Na osiedlu Źródło Dumy. Popłyną wody ze źródeł. I przyjdzie do Syjonu wybawiciel.

– Ale... – oponuje zdumiony Ben Cuk – po co im mykwa? Tamci nawet nie... Nie wiadomo, czy na pewno są żydami.

– Ben Cuk. – Burmistrz uśmiecha się uśmiechem człowieka, który znalazł rozwiązanie. – Któż lepiej od ciebie może wiedzieć, że nigdy nie jest za późno na nawrócenie. Przejeźdź się tam jutro i znajdź odpowiednią lokalizację.

– Ale, Awrahamie, to znaczy panie burmistrzu, tamtejsze mieszkanki są już starszymi kobietami i dawno przekroczyły wiek, w którym...

– To niech zbudują też część dla mężczyzn. Mam nadzieję, że ta mykwa powstanie do lata. Dokładnie tak, jak chce ten żyd.

Dwa lata wcześniej, w dniu przybycia do miasta nowych imigrantów, lekcje w szkołach zakończono już o jedenastej. Uczniowie czwórkami pomaszrowali na główną ulicę, trzymając w rękach kartoniki, na których widniały wypisane flamastrami hasła: „Wypuść mój lud”, „Let my people go”, a także, po prostu: „Witajcie”. Wielu bezrobotnych zrobiło sobie przerwę w dniu bezrobocia i dołączyło do historycznego powitania, niosąc z dumą zdjęcia więźniów Syjonu; prędko zjawili się handlarze z gorącą kukurydzą i zimnymi napojami, którzy w dolnej części wózków poupychali także małe buteleczki taniej wódki, w razie gdyby pogłoski o imigrantach się potwierdziły. Pięć minut przed oficjalnym terminem z ogromnych głośników, ustawionych wcześniej na kilku balkonach, buchnęły tony *Hawa nagila*, a grupa miejscowych emerytów w mundurach Armii Czerwonej, które urząd miasta specjalnie dla nich wypożyczył z magazynu kostiumów teatralnych, zmierzała powolnym i szacownym marszowym krokiem do pierwszego rzędu. Zdumiony tłum rozstał się, by ich przepuścić, burmistrz zaś, który dyrygował całym przedsięwzięciem, z wielką satysfakcją ocenił swoje dzieło, a później popatrzył w stronę zakrętu, by sprawdzić, czy na horyzoncie widać już autobusy.

Awraham Danino długie miesiące pielgrzymował do Świętego Miasta, domagając się, by władze zgodziły się przysłać mu trochę „tamtych”. Wszystkie okoliczne miasta otrzymały już swój przydział i wszędzie, dokąd przybywali, nowi imigranci spotykali się z chłodnym przyjęciem, które prędko zamieniało się w szczery podziw, gdy okazywało się, że przywożą ze sobą wszechstronne wykształcenie, palącą ambicję, jasnowłose kobiety i dodatki do budżetu. Danino wciąż był zmuszony obserwować tęsknie, jak autobusy wyruszające z ośrodków

dla imigrantów zmierzają do innych miast, nie do jego. Wciąż od nowa prosił i przedkładał, że właśnie u niego... ze względu na klimat... będą czuli się odpowiednio. I że właśnie on... to znaczy jego miasto potrzebuje świeżej krwi bardziej niż wszystkie inne. Zastrzyku energii. Pozytywnej migracji, w pełnym znaczeniu tego słowa.

Jednak jego prośby wciąż pozostawały bez echa. Aż nieoczekiwanie z tą samą arbitralnością, z jaką wyjaśniano mu przez cały czas, że nic z tego nie będzie, z wysokości rozległ się boski głos, który zawyrokował: zgoda. Autobusy z nowymi imigrantami przyjadą do miasta za kilka miesięcy. Dokładną datę pozna w późniejszym terminie.

Burmistrz był zdeterminowany, by nie przepuścić tej niepowtarzalnej okazji. Oczyma wyobraźni widział ją: Marinę, Olgę, Irenę – nie zdecydował jeszcze, jakie imię będzie nosić – jak wysiada z autobusu ostatnia, jej obfity biust stanowi zapowiedź reszty ciała, i w przeciwieństwie do par małżeńskich, które wysiądą przed nią, idzie całkiem sama, dźwigając ciężką walizę. Jej mąż wolał pozostać w Rosji. Albo – jeszcze lepiej – zamarzył na śmierć w gułagu w okresie reżimu komunistycznego. Marina-Olga-Irena nie jest już dziewczynką, ma mocne nogi, silne ramiona i wyzywające, a jednocześnie błagalne spojrzenie.

W duchu doskonale wiedział, że to nie wypada. Że to nie do przyjęcia. Burmistrz przecież powinien widzieć oczyma duszy kwitnące zakłady przemysłowe, nowe inwestycje i boom budowlany, lecz wszystko, co zdołał sobie wyobrazić, to jak podchodzi do Mariny, gdy tylko zejdzie ze stopni autobusu, jak patrzy jej głęboko w oczy, ściska jej miękką dłoń i mówi: dzień dobry, witam w Mieście Cadyków, jestem Awraham Danino, burmistrz, do usług; natychmiast potem proponuje pomoc przy niesieniu walizki, a ona odmawia energicznym potrząśnięciem głowy, ale mówi po hebrajsku z ciężkim, gęstym, drażniącym akcentem: nie wiedziałam, że są tacy dżentelmeni – z akcentem na pierwszą sylabę – w Izraelu.

A co jeśli, nie daj Boże, zgodzi się, by poniósł jej walizkę? Ta możliwość spędzała mu sen z powiek. Po dwóch kadencjach obfitujących w *burekas* i *rogalech* nie był pewien, czy uda mu się daleko zejść z ciężką imigrancką walizką w rękę, dlatego natychmiast zaczął dbać o poprawę kondycji. Co wieczór maszerował wysadzaną topolami ścieżką z osiedla Źródło Dumy, gdzie wszystkie piękne domy stały całkiem puste, w kierunku Tajnej Jednostki, o której Wiedzą Wszyscy – i z powrotem. Za pierwszym razem tak się zadyszał, że musiał w połowie drogi wezwać kierowcę. Potem kupił sportowe buty i dres z paskami po bokach, polecił wydziałowi budownictwa wylać zaniedbaną ścieżkę asfaltem, by łatwiej się nią chodziło, i nakazał, by Ben Cuk mu towarzyszył.

Wie, że pod czyimś okiem człowiek bardziej się stara.

Podczas jednego z takich spacerów po raz pierwszy zdradza osobistemu

asystentowi koleje swego życia.

– Kiedy uciekaliśmy do Izraela – wskazuje palcem na wschód – zesłiliśmy nocą z tamtych gór. Ja i mój brat Nissim. Dygotaliśmy z zimna. I ze strachu. Gdyby nas złapali, zabiliby nas. Albo wsadzili do więzienia w Damaszku. A to jest straszniejsze od śmierci, wierz mi. Była zima, jak teraz. I zaczął padać śnieg. Co parę kroków jeden z nas ślizgał się na mokrych kamieniach, a drugi pomagał mu wstać. Granicę przekroczyliśmy dopiero o świcie. Wzeszło słońce, przestał padać śnieg. Padliśmy na pokaleczone kolana i ucałowaliśmy wilgotną ziemię. Także dziś, gdy ci o tym mówię, czuję na ustach smak tej ziemi. Ile mogliśmy mieć lat? Byliśmy jeszcze dziećmi. Ja miałem trzynaście lat, Nissim jedenaście. Ojca nie było. Zostawił nas. Wrócił do Maroka, gdy byliśmy mali. Ty jesteś mężczyzną w naszym domu, tak zawsze mówiła mi matka. Również tamtej nocy, zanim wyruszyliśmy w drogę, położyła mi rękę na czole i powiedziała: ty jesteś starszy, odpowiadasz za to, by twojemu bratu nie spadł włos z głowy. Później, w Izraelu, rozdzielono nas. Nissima wysłano do ośrodka przejściowego. Mnie posłano do kibucu, bo dostrzeżono we mnie potencjał. Byłem chłopcem z zewnątrz. Dokładnie tak jak ty, *ja ibni*. Jak myślisz, dlaczego przyjąłem cię do pracy? Uwierz mi, byli kandydaci z lepszymi referencjami. Ale powiedziałem sobie: pomogę temu chłopcu. Bo mnie nikt nie pomagał. Do wszystkiego doszedłem sam. Tymi dziesięcioma palcami. Kiedy więc czasem złościsz się na ciebie, to dlatego, że chcę cię wzmocnić, rozumiesz? Brak mi tchu. Wracajmy.

Codziennie, postanowił Danino, będą maszerować o jedno drzewo topoli dalej, aż dotrą do lasu rosnącego naprzeciw Niekiedy Białej Góry. I rzeczywiście, po każdym takim marszu jego mięśnie napinały się, pierś wydymała, a fantazja o Marinie nabierała coraz żywszych kolorów. Pomoże jej odnaleźć się w mieście. Przez kilka miesięcy będą wiedli sekretny romans. Ciało wynagrodzą im przepaść kulturową, pieśczoła za pieśczołą. Nie będzie musiał opowiadać jej o Malcu, wykluczone. Ona zrozumie wszystko sama, bez słów, i roztopi jego smutek. A on wyprowadzi się ze swego ponurego domu i zamieszka z nią. Przecież nie jest za późno, by zacząć od nowa. Jeszcze nie jest za późno.

– Decyduje pierwsze wrażenie! – powtarzał bez ustanku Ben Cukowi. – Musimy ukryć niedostatki i uwypuklić zalety. A najważniejsze: dać przyjezdnym poczucie domu. Czego przede wszystkim pragnie imigrant po jeździe przez te wertepy? Stołeczka, by oprzeć na nim stopy. Ciepłej kąpieli, by ukoić ból w krzyżu. I poduszki, by położyć na niej głowę.

Stosunkowo łatwo udało mu się przekonać zdesperowanego dewelopera osiedla Źródło Dumy, by wydzierżawił domy. Małe ładne domki, zbudowane „w wysokim standardzie, przy wykorzystaniu pełnego wachlarza technologii”, jak głosiły broszury reklamowe, stały ciche i puste, i nikt nie garnął się, by w nich zamieszkać, a wszystko to za sprawą cudownego objawienia, o którym informował

mieszkaniec miasta, niejaki Jirmijahu Icchaki, w publicznych ogłoszeniach na plakatach rozklejonych w mieście:

Ja, Jirmijahu Icchaki, zamieszkały na osiedlu D w Mieście Cadyków, z łaski Najwyższego oglądałem cuda i jak mi nakazano, niosę mieszkańcom tego miasta posłanie od świątobliwego Nataniela Hanachby, które zostało mi objawione we śnie tej nocy. Ów święty mąż był odziany na biało, a oblicze jego jaśniało jak u anioła. Oto zaś przemówił do mnie w te słowa: zły czyn dokonuje się w miejscu zwanym Źródło Dumy. Zapytałem go, cóż się tam dzieje i dlaczego nie zyskuje to przyzwolenia w jego oczach? Ujął mnie za rękę i powiodł wśród gór i ścieżek, aż doszliśmy do domów nowego osiedla, tam wskazał na ziemię pod swymi stopami, a ona stała się przejrzysta niczym szklana tafla, w dole zaś ukazała się trumna, na którą ów pobożny mąż wskazał, i wyrzekł słowa: oto przeszkoda. Jam jest Na-taniel Hanachba, jestem człowiekiem pogrzebanym tutaj i na mym grobie nie zostaną wybudowane domy, gdyż nie godzi się to w oczach Najwyższego. Zapytałem: cóż mam uczynić, panie? Odrzekł: musisz przestrzec mieszkańców i starszyznę miasta, by nie kierowali swych kroków w to miejsce, gdyż grzech będzie leżeć u ich wrót i czyhać na nich, a klątwa będzie unosić się nad nimi.

Na nic zdały się oświadczenia dewelopera, poparte oficjalną dokumentacją, że teren, na którym zbudowano osiedle, został dokładnie przeszukany przed rozpoczęciem prac, by upewnić się, że nie ma tam żadnych grobów i że podczas robót nie odkryto ani jednej trumny. Na nic zdało się również oficjalne ogłoszenie Komisji Opieki nad Starożytnymi Grobami, że podczas przeprowadzonych badań historycznych nie znaleziono żadnej wzmianki o mędrцу zwanym Nataniel Hanachba, aczkolwiek, dodano (zastrzeżenie, które przesądziło o losie tej wypowiedzi), być może przydomek „Hanachba”, „ukryty”, świadczy o wielkiej skromności cadyka, jak było to w przypadku Chanana Hanachby, wnuka Choniego Ha-Meagela, którego określano tak ze względu na wyjątkową pokorę, nie można zatem całkowicie wykluczyć możliwości, że „Nataniel Hanachba” był do tego stopnia pokorny, iż zadbał o zatarcie wszelkich śladów swej działalności. Na nic zdał się nawet artykuł dziennikarza śledczego w lokalnej gazecie, który ujawniał, że Jirmijahu Icchaki zwrócił się do dewelopera osiedla z prośbą o umożliwienie mu kupna domu po wyjątkowo niskiej cenie i dopiero po otrzymaniu odpowiedzi odmownej rozpowszechnił opis swojej wizji.

Mieszkańcy miasta odnosili się z respektem do tego rodzaju objawień. Przez lata jego długich dziejów występowały one z częstotliwością trzęsień ziemi i sta-nowiły nieodłączny element lokalnego dziedzictwa. Co więcej: także wątpiący w czystość intencji Jirmijahu Icchakiego wzdrygali się przed kupnem domu, którego mogliby nie móc sprzedać w przyszłości, gdyby klątwa miała faktycznie się spełnić.

To wszystko doprowadzało Awrahama Danino do furii. W niezbyt odległej

przeszłości także on dał się wciągnąć w orbitę kultu kwitnącego wokół grobów cadyków. Zapalał świece. Zawiazywał szmatki i foliowe torebki. Wypowiadał prośby. Przede wszystkim prosił, by wyższe światy spełniły jedną osobistą prośbę jego i jego żony. Ale potem stało się to, co się stało z Malcem, a Danino uznał, że ma osobiste powody do wojny ze wszystkimi zmarłymi cadykami. Cierpliwie czekał na okazję, by wyrównać rachunki.

Po tym, jak na początku kadencji otrzymał błogosławieństwo od rabinów – którzy skrycie odnosili się z rezerwą do kultu powoli narastającego wokół domu Jirmijahu Icchakiego: sprzedaży buteleczek z tekstem błogosławieństwa, poduszek z nadrukowanym zdjęciem – Danino zwrócił się do przygnębionego dewelopera i gdy ten udzielił zgody, wyznaczył specjalny budżet na przygotowanie domów do przyjęcia nowych mieszkańców. U mnie, mawiał z dumą, imigranci nie będą koczowali miesiącami w ośrodkach przejściowych. Wsiądą z autobusów i z miejsca dostaną klucze do nowych domów.

Ale autobusy się spóźniały. Od pierwotnego terminu minęły już trzy godziny, a na horyzoncie wciąż nie było widać śladu pojazdów. Uczniowie dawno odłożyli na bok powitalne tabliczki i zajęli się sztubackimi przepychan-kami, emeryci przebrani za żołnierzy Armii Czerwonej zdjęli mundury i wrócili do domu spokojnej starości, by zdążyć na popołudniową drzemkę. Przekupnie obniżyli ceny, ale nawet na cztery kukurydze za dziesiątaka nie było chętnych, i jak zwykle w chwilach rozprężenia i nudy natychmiast zaczęły krążyć pogłoski: mówiono, że ci bardziej pobożni spośród imigrantów zażądali, by kierowca zatrzymywał się przy rozsianych po drodze grobach cadyków, a ich przybycie opóźnia się coraz bardziej, bo każdy pragnie osobiście pokłonić się na świętym grobie. Opowiadano o fatalnym wypadku, w następstwie którego autokary stoczyły się do koryta potoku Achzaw. Przypuszczano z pokorą, że w ostatniej chwili, na widok skromnych domów i starego centrum handlowego, imigranci zażądali, by zawieźć ich do miasta, w którym znajduje się centrum handlowe z prawdziwego zdarzenia.

O dziesiątej wieczorem, dziesięć godzin po ustalonym terminie, na stromym podejździe ukazał się pojedynczy autobus. Główna ulica była całkowicie wyludniona, jeśli nie liczyć dwóch mężczyzn o pożółkłych twarzach, w marynarkach, które wymięły się już w południe. Dość silny chłodny wiatr podwijał brzegi powitalnych transparentów, porzuconych w zapomnieniu na skraju drogi, i porywał tony muzyki, wciąż unoszące się w powietrzu. Burmistrz i Ben Cuk z niejakim wahaniem podeszli do skraju zatoki przy jezdni. Danino czuł pulsowanie tętna w skroniach, w ramionach i w jednym zaskakującym punkcie w krzyżu. Nie miał pojęcia, że można odczuwać bicie serca w takim miejscu. Wyjął prawą rękę zza paska i niecierpliwie, ze lśnącymi oczami, czekał na dźwięk zwiastujący otwarcie drzwi.

Katia poprosiła Antona, by mogła siedzieć przy oknie, a on, jak zawsze,

ustąpił. Tak bardzo chciała widzieć drogę, wyryć w pamięci każdziutki krzak, każdziuteńki znak drogowy, wszystko, co zapowiadało to, co nadchodzi, ale niebawem, ledwie autobus ruszył, jej długie rzęsy – Anton zawsze zachwycał się nimi – opadły na policzki. Zanim zagłębiła się w oparciu fotela, zdążyła jeszcze zauważyć niespodziewanie kilka winnic i jedno zwierzę – nie była pewna, czy to pies, a może tak wyglądają tutejsze lisy – rozjechane na jezdni. To zły omen! Martwe zwierzę na drodze to zły znak! Dręczył ją głos błogosławionej pamięci matki, który uciszyła, choć nie całkiem, bo wewnętrzny głos matki trudno uciszyć zupełnie, i towarzyszył jej także w przelotnym śnie, który przemknął jej przez głowę: jedzie tramwajem w swoim rodzinnym mieście, z mężczyzną, który był jej pierwszym mężem, kiedy nagle, bez przystanku, drzwi tramwaju otwierają się i do pustego wagonu wsiada Daniel, Danik, jej ukochany wnuczek, w czapce, której nie zna, z napisem w nieznanym jej języku. Otwiera ramiona, by czym prędzej go uściskać, ale on jej nie poznaje, patrzy na nią nieprzyjaźnie, jakby jej nie znał, Katia zwraca się do swego pierwszego męża, by podzielić się z nim uczuciem palącej urazy, ale jego już nie ma obok niej, zwyczajnie zniknął (jakie to dla niego typowe, znikanie, myśli przez sen), wtedy rozlega się mechaniczny sygnał, jaki na ogół poprzedza komunikat zapowiadający kolejny przystanek, ale zamiast grubego oficjalnego głosu słyszy głos swej błogosławionej pamięci matki, przepowiadający z surową naganą: to zły znak. Zły znak. Zły znak.

Katia obudziła się, uderzając czołem o oparcie fotela przed sobą. W autokarze panował kompletny rozgardiasz. Okazało się, że kilku podróżnych poczuło silną potrzebę załatwienia potrzeb fizjologicznych – mimo wszystko wiek daje o sobie znać – i po powszechnej naradzie stłoczyli się obok kierowcy.

– Możecie się zatrzymać? – zwrócili się do niego po rosyjsku, używając z szacunku liczby mnogiej. – Chcielibyśmy... wysiąść, napić się herbaty. – Ujęli to tak, krępując się podać prawdziwy powód. Ale kierowca nawet nie odwrócił głowy.

– Przepraszamy – zwrócili się do niego odrobinę głośniejszym i mniej uprzejmie.

– Może pan się zatrzymać? Prosimy o herbatę!

Ale kierowca tylko zerknął na nich w lusterku, podrapał się ze skrzepowaniem po nosie i jechał dalej.

– Stop! Stop! Stop! – zawołał jeden z tych, którzy się powstrzymywali, i najwyraźniej to słowo akurat kierowca zrozumiał, gdyż tym razem obdarzył ich spojrzeniem nowego rodzaju, bardziej stanowczym (słyszał od innych kierowców opowieści o takich grupach Rosjan, którzy często zdecydowanie protestowali, by zawozić ich tam, dokąd ich wysłano, i zmuszali kierowcę, by zawrócił do centrum kraju. Nie, pomyślał, on do tego nie dopuści. Nie na jego zmianie. I od razu nadepnął mocniej pedał gazu).

Nagle przyspieszenie posłało impuls bólu do pęcherzy moczowych

i sprawiło, że mężczyzna, który krzyczał „stop”, stanął naprzeciwko kierowcy i wskazał na swoje krocze. Teraz kierowca naprawdę się zirytował – ci ludzie nie mają żadnego wstydu – i rzucił właścicielowi pęcherza kilka zdecydowanych słów, nakazując groźnymi gestami, by wrócił na miejsce. Ale właściciel pęcherza nie usiadł. Znowu, z desperacką odwagą, wskazał okolice krocza i tym razem nakreślił w powietrzu mały łuk, który zaczynał się tam, a kończył jakby za oknem.

Autobus stanął. Właśnie to obudziło Katię.

Blisko połowa pasażerów wysiadła pośpiesznie, by ulżyć pęcherzom. Mężczyźni udali się w najbliższe krzaki, kobiety nieco dalej. Po kilku minutach, gdy wróciły po wszystkim, okazało się, że brakuje Anny Nowikowej. Teraz wysiedli wszyscy pasażerowie i rozeszli się po okolicy, by poszukać zaginionej.

– Anno! Anno! – nawoływali ci, którzy znali ją blisko jeszcze stamtąd.

– Anna Nowikowa! Anna Nowikowa! – wołali inni, trochę mniej bliscy.

– Nikito! Nikito! Gdzie ty się podziewasz, jak jesteś nam potrzebny!?

– wołał Władik Gogolski, który wiele lat wcześniej pracował jako asystent asystenta kamerzysty przy filmie Nikity Michałkowa i od tamtej pory uważał się za wysokiej rangi filmowca, będącego bliskim przyjacielem legendarnego reżysera. Gdyby był tutaj Nikita, powiedział do Katii, kroczącej obok niego, już on by zrobił z tego film: grupa staruszek zatrzymuje się w drodze do nowego domu w Izraelu, gdy nagle jedna z nich znika. Czy to nie byłby świetny film, Katiu?

Anna Nowikowa znalazła się ostatecznie wewnątrz częściowo zasypanej, nieoznakowanej dziury w ziemi, na którą przypadkiem nastąpiła i wpadła do środka.

Rok później do tej samej pieczary wpadnie zabłąkany uczeń jesziwy i z wielkim przejęciem doniesie o niej Radzie Opieki nad Starożytnymi Grobami, która po serii badań ogłosi, że jest to miejsce pochówku cadyka imieniem Szlomo Ha-Tana, i w krótkim czasie grób ten stanie się celem pielgrzymek wszystkich pragnących uzyskać błogosławieństwo w interesach, a wokół pieczary rozkwitnie przemysł sprzedaży bawełnianych koszulek, czapek z daszkiem, zorganizowanych wycieczek i terapii holistycznych, aż burmistrz miasta Awraham Danino nie będzie miał wyjścia i pomimo osobistego gorzkiego doświadczenia ze wszystkimi fałszywymi cadykami poczuje się zmuszony pójść na ustępstwo i wytyczyć drogę ułatwiającą dostęp do świętego miejsca.

Tymczasem dostęp do Anny Nowikowej – która, jak się okazało, skrzyła nogę – był utrudniony. A wydostanie jej z rozpadliny trwało kilka godzin.

Katia obserwowała Antona, kierującego akcją ratunkową (jej pierwszy mąż już by znalazł wymówkę, by gdzieś zniknąć), i czuła, jak wypełnia ją duma, zmieszana ze szczyptą żalu. Dlaczego spotkała tego mężczyznę tak późno w swoim życiu? Kiedy już nie może... Do diabła... Przecież gdy był młodszy, to na pewno... Ale może teraz, w nowym kraju... sam fakt odmiany... może jest jakaś

szansa. Objęła się ramionami, wyobrażając sobie, że to jego silne ramiona obejmują ją mocno w ich nowym łóżku.

Później, w nocy, gdy autobus w końcu się zatrzymał, na chwilę przed otwarciem drzwi Anton chwycił ją za rękę, nachylił się do jej ucha i szepnął:

– Zaczynamy od nowa, Kotiku, w naszym wieku. Uwierzyłybyś?

– Kogo mi tu przysłaliście? No, kogo?

Dwa tygodnie po przyjeździe autobusu burmistrz Awraham Danino wybrał się do Jerozolimy z błaganiami o ratunek.

– Chwileczkę, przecież o to pan prosił. Żeby nie powiedzieć, żądał. Jak pan to określił? „Pozytywna migracja”, nieprawdaż? – rzekł urzędnik z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, a Awrahamowi wydało się – właściwie był tego pewien – że słyszy drwinę w jego głosie.

– Sądziłem, że... To znaczy, oczekiwałem... – wymamrotał i mimowolnie zamajaczyła mu przed oczami postać Mariny-Olgi-Ireny, jak wchodzi do jego gabinetu w butach na wysokich obcasach, ale nie przesadnie wysokich, by poprosić o wyjątkowe zezwolenie budowlane, i gdy pochylają się wspólnie nad planami, ona nagle podnosi na niego wzrok i mówi: panie burmistrzu, chciałabym o coś spytać. Proszę się nie krępować, on na to, może pani mówić do mnie Awraham, a ona wyciąga rękę, gładzi go po policzku powolnym, przeciągłym ruchem i mówi: Awrahamie, powiedz mi, dlaczego nigdy nie jesteś wesoły?

Do diaska. Musi z tym skończyć. Nie ma Mariny. Nie było i nie będzie. Jakie to głupie z jego strony, w jego wieku, spodziewać się, że wielka miłość zmyje cały smutek.

– Panie burmistrzu, to po prostu tak nie działa – powiedział urzędnik. – Nie może pan zawracać nam głowy przez dwa lata, a potem zmieniać zdanie. Nie można bawić się w ten sposób ludzkim życiem.

– Ale co ja zrobię z tymi wszystkimi...

– To niezwykle wartościowi ludzie. Przedstawiciele wolnych zawodów. Owszem, większość przeszła na emeryturę...

– Większość? – ryknął Danino. – Nie ma tam nikogo poniżej sześćdziesiątki!

– To przy tym niezwykle zaradne osoby. Przecież na ogół u nich przyjęło się, że dziadkowie mieszkają z rodzinami.

– No i co z tego?

– To, że wszyscy, którzy przyjechali tym autobusem, to starsi ludzie niemający rodzin w Izraelu. Albo rodziny nie chciały ich do siebie przyjąć. Tacy ludzie muszą być, z natury rzeczy, obdarzeni wieloma zdolnościami, pomysłowi. Ufam i jestem pewien, że mają wiele do zaoferowania waszej społeczności.

– Skąd ich wyciągnęliście, chciałbym wiedzieć? No, skąd?

– Sami zorganizowali się jeszcze tam, w Rosji, i złożyli podanie o umożliwienie emigracji do Izraela razem, jedną grupą. Piękna historia, prawda?

– Kiedy oni nawet nie są... – zaczął Danino i wepchnął rękę za pasek spodni.
– Nawet nie mówią po hebrajsku!

– No to niech pan uczy się rosyjskiego, mamy dofinansowywane kursy, gdyby pan zechciał – roześmiał się urzędnik głośno i wstał na znak, że spotkanie dobiegło końca.

Pierwszej zimy po tym, jak nowi przybysze wprowadzili się na osiedle Źródło Dumy, w Mieście Cadyków spadł śnieg. Zwykle śnieg padał tam niemal co roku. Niekiedy przyjeżdżali nawet furgonetkami mieszkańcy Miasta Grzechu, by załadować trochę śniegu do bagażnika i zabrać do domu, pokazać dzieciom, ale tamtej zimy zaszło niespotykane zjawisko: białe płatki spadły tylko i wyłącznie na nowe osiedle i nie docierały dalej. I tak, podczas gdy w centrum miasta można było ujrzyć jedynie kilka smętnych płatków, w Źródle Dumy warstwa śniegu wynosiła pół metra, jeśli nie więcej, i listonosz, który był jedynym mieszkańcem odwiedzającym osiedle regularnie ze względu na swoją funkcję, po powrocie do domu przysunął ręce trochę za blisko elektrycznego grzejnika w salonie, mówiąc do żony:

– Ester, nie uwierzysz, co się tam wyprawia. Syberia. Wypisz, wymaluj Syberia.

– Syberia. Daję słowo, to istna Syberia – powiedziała następnego dnia Ester do fryzjerki Simony. – Nie uwierzysz, co tam się dzieje.

Ponieważ zaś to, co mówiło się w salonie Simony, miało zwyczaj rozlewać się wokół jak kleks atramentu na lnianej szmatce, do nowego osiedla przylgnęło od razu niezbyt sympatyczne określenie „Syberia”, a do jednego kilometra, który w rzeczywistości dzielił je od miasta, dołożono jeszcze kilka wyimaginowanych.

Co wieczór na chwilę przed tym, jak tarcza słoneczna schowa się za antenami jednostki wojskowej, Anton kładzie jej rękę na ramieniu i pyta:

– Przejdziemy się, Kotiku?

Katia sama wie, że nadszedł czas wyjścia na codzienną przechadzkę, ale lubi dotyk jego ręki i to, jak mówi do niej Kotik, więc pozwala mu przewodzić w tej jednej jedynej sprawie – bo we wszystkich pozostałych on oddaje jej bezwzględne pierwszeństwo – i pozwala pomóc sobie przy wkładaniu płaszcza i otworzyć przed nią drzwi.

Na ulicy w dole spotykają całą grupę dawnych pasażerów autobusu w pełnym składzie. Od pamiętnej podróży upłynęły już dwa lata, ale co dziwne, nikt jeszcze nie zmarł. Czasami, kiedy Katia z Antonem popijają wieczorne grzane wino, zakładają się, kto pierwszy z przyjezdnych opuści ten padół. Mimo wszystko nie są już tacy młodzi i kiedyś to musi nastąpić. Anton układa na głos mowę żałobną na cześć zmarłego, rozśmieszając Katię do łez, bo ma niezwykły dar układania pięknych wypowiedzi, i wypijają jeszcze jedną szklaneczkę, a nazajutrz, schodząc po stopniach z domu w dół, na ulicę, czują jakieś łaskoczące, sekretne

podniecenie, które dotyczy tylko ich dwojga – czy osoba, dla której poprzedniego wieczoru wygłaszali mowę pogrzebową, mimo wszystko zjawi się na wieczornej przechadzce? (Pewnego razu, mimo protestów Katii, Anton zdecydował, że to on będzie tym, który umrze pierwszy, i wymyślił wstęp do mowy żałobnej na własny pogrzeb, a ona – choć zdawała sobie sprawę, że jest bardzo zabawna, naprawdę zabawna – nie potrafiła się szczerze roześmiać).

Na ulicy spotykają wszystkich i wszystkich pozdrawiają, *dobryj wieczer*, poza osobą, która miała umrzeć, której życzą *dołgowo zdarowja wam*, długiego zdrowia, i wszyscy idą w stronę ścieżki, parami lub pojedynczo, z psami i bez dzieci, ich ubrania to wciąż są ubrania stamtąd, język jest językiem stamtąd, tranzystor, który Szpilman niesie przyciśnięty do ucha, wciąż nadaje audycje stacji moskiewskich. Nawet pogoda, choć Tania opisywała w swoim pierwszym liście, że w Izraelu pogoda jest „okropna, wilgotna, lepka, parna i męcząca, i człowiek czuje się, jakby nurzał się w kompocie”, nawet pogoda w tym mieście przypomina tamtejszą, zimą chłodne powietrze szczypie w nos i uszy, a letnie noce są przyjemnie ciepłe, i to jest dodatkowy powód, dla którego pod żadnym warunkiem nie zgodziłaby się zamieszkać z nimi w Mieście na Równinie, nawet gdyby Tania ją poprosiła.

Choć z drugiej strony szkoda, że nie poprosi, tylko po to, by mogła odmówić, myśli Katia i ujmuje Antona pod rękę, czując jego umięśnione ramię. Idą ścieżką wysadzaną topolami, która zaczyna się na osiedlu, a kończy pod żelazną bramą jednostki wojskowej. Po prawej stronie roztacza się rozległa dolina, w której rosną drzewa oliwne, po lewej lasek karłowatych cyprysów, posadzony na czyjaś pamiątkę – szkoda, że nie potrafi przeczytać tabliczki – a później zatrzymują się, aby popatrzeć na pięknego konia o czekoladowej sierści, na którym w soboty jeżdżą turyści, a który w pozostałe dni stoi samotnie albo galopuje z jednej strony na drugą zaimprovizowanego padoku, ogrodzonego przez jego właścicieli. Koń jest tak piękny – z grającymi pod skórą mięśniami i krągłym zadem – że czasami nawiedzają Katię związane z nim lubieżne myśli, ale choć jest to dokładnie ten rodzaj rzeczy, jakie mogłyby rozśmieszyć Antona, nie opowiada mu tego, by nie pogarszać sytuacji.

Mijają konia i docierają do otwartego pola, gdzie niekiedy umykają przed nimi lisie kity. Kiedyś, gdy odwiedził ich Daniel, jeden lis zatrzymał się tak blisko, że chłopiec chciał podejść i go pogłaskać, ale Anton powstrzymał go, wyjaśniając, że lisy mogą ugryźć, lepiej ich nie drażnić. Daniel zapytał:

– Kto w takim razie będzie je głaskać? Ponieważ wszyscy się ich boją, nikt ich nie głaszcz!

– Może one w ogóle nie lubią głaskania – odparł Anton. – Kto wie.

– Popatrz na jego ogon – powiedział Daniel. – Zobacz, jakie ma gęste futro. Na pewno okropnie przyjemnie byłoby go pogłaskać.

Z jawną niechęcią poszedł dalej, odwracając się uparcie za siebie, by popatrzeć jeszcze raz na lisa, a na koniec rzucił:

– Oj, babciu, kiedy w końcu można zrobić coś fajnego na tym waszym osiedlu, to mi nie pozwalasz.

Znowu poczuła ukłucie znajomego lęku, że nadejdzie dzień, gdy sprzykrzą mu się soboty u babci, przestanie przyjeżdżać i nie przywiezie więcej ze sobą tej iskierki w oczach, tej łapczywości, z jaką rzucał się na pierożki z mięsem, które przyrządzała specjalnie dla niego, i inteligentnych pytań:

– Dlaczego w ogóle przyjechaliście do Izraela? Co, dla mnie? To trochę bez sensu. Jak to możliwe, że wcale nie znacie hebrajskiego? Jaka byłaś, babciu, gdy byłaś małą dziewczynką? Byłaś niegrzeczna? A Anton jaki był? I dlaczego nie mieszkasz z nami jak *babuszka* Michaela i *babuszka* Adiego?

Za równiną zamieszkiwaną przez lisy ścieżka zakręca i biegnie w kierunku jednostki wojskowej. Nie dochodzą do samej bramy, bo Anton woli tego nie robić. Wojskowe mundury mają na niego niedobry wpływ. Wszędzie na świecie mundury i wojsko wydzielają ten sam zapach, zapach przemarzniętych ziemniaków, mówi. Kiedyś podeszli zbyt blisko i Anton zaczął dygotać na całym ciele. Drżały mu ramiona, kolana i ręce. Za nic w świecie nie chciał wyjaśnić dlaczego.

– Anton... Chciałabym... Może jak zaczniesz o tym mówić... Może będę mogła ci pomóc? – próbowała, a on szorstkim tonem, który do niego nie pasował, odmówił:

– Nie trzeba mi pomocy. I nie chcę o tym mówić. Proszę, zawróćmy, czy to taka wielka prośba?

W drodze powrotnej znów ujął ją pod rękę i powiedział, tym razem spokojnym głosem:

– Teraz będę wydawać ci się trochę tajemniczy, to nawet całkiem romantyczne, prawda?

Ich domy stoją rozproszone na zboczu wzgórza jak owce. Kto wie, myśli Katia, może pewnego dnia któryś z nich otworzy pysk i zabeczy. Przed zachodem sylwetki ptaków zaczynają przecinać czerwieniącą tarczę słońca. Tam potrafiła nazwać wszystkie ptaki, ale tu żyje wiele nowych, nieznanych jej gatunków. Dlatego tylko śledzi wzrokiem trzepotanie rozmaitych skrzydeł, dużych i małych, hałaśliwych i cichych, podczas gdy Anton wylicza szczegółowo wszystkie zmiany, które wprowadziłyby na osiedlu, „gdyby to zależało od niego”. Zawsze w powrotnej drodze ogarnia go gorączka pomysłów: klub szachowy! Otwarty w godzinach porannych, bo wtedy mózg najlepiej pracuje! Specjalna metalowa poręcz wzdłuż ścieżki wysadzanej topolami dla tych, którzy mają trudności z chodzeniem! Biblioteka publiczna z książkami po rosyjsku! Lekcje hebrajskiego! Z prywatnymi nauczycielami, którzy przychodzą do domu! Dlaczego nauczycielami? Nauczycielkami! Prywatnymi! Młodymi! Opalonymi! W koszulkach do pępka! Dla

lepszemu motywacji!

Ostatnią pozycję na liście dodaje wtedy, gdy podejrzewa, że Katia przestała słuchać, a ona leciutko szczypie go w ramię na znak, że słyszy każde słowo.

Potem, w domu, odwieszają płaszcze i Anton idzie do drugiego pokoju, żeby spisać wszystkie propozycje ulepszeń na maszynie do pisania, którą przywiózł stamtąd. W drodze do Izraela litera „ж” zepsuła się nieodwracalnie, dlatego musi przemyślnie konstruować zdania i wynajdywać pomysłowe sposoby radzenia sobie bez niej.

Tymczasem Katia stawia czajnik na gazie i zaparza dwie szklanki herbaty z jedną kostką cukru w każdej. Nasłuchuje tańca klawiszy. Kiedy zapada cisza, zanoszą Antonowi jego szklankę z podstakanikiem, metalowym uchwytem, tak jak lubi, a później podlewa niewielkie rośliny doniczkowe na parapecie, używając ziemi kawałkami suchego chleba namoczonego w wodzie, sprawdza, czy kwaśne mleko w torebce zawieszanej na klamce szafki już zamieniło się w twaróg, i wychodzi na taras.

Dopiero gdy skończy pisać list i włoży kartki do koperty z adresem urzędu miasta, którą przygotował mu Daniel, Anton przysuwa sobie krzesło i dołącza do Katii przed domem. Zazwyczaj gasi jedyną żarówkę oświetlającą taras, by zostały tylko gwiazdy. Zajmuje miejsce w milczeniu. Oboje odchrząkują po raz ostatni i odchylają się na oparcia. Odprężeni, a zarazem skupieni. On prostuje wymaginowany krawat. Ona wciąga podbródek. Wiedzą, że za kilka sekund rozpocznie się jedyne wydarzenie kulturalne, dostępne wieczorami w okolicy: koncert d-moll. W wykonaniu chóru szakali.

Mosze Ben Cuk nadal miewa czasami takie poranki. Tak bywa na ogół w dni, gdy jego żona przechodzi menstruację. Narzucone z góry, dłuższe oddalenie między nimi, i coś więcej, poczucie, że ona cieszy się z tego oddalenia, niemal się tym rozkoszuje, zasiewają w nim ziarno poczucia krzywdy, które rośnie i wypuszcza wijące się pędy, sięgające innych rejonów duszy. Dziś na przykład przygotowywała dzieci do wyjścia, a on, leżąc w łóżku, nasłuchiwał domowych odgłosów. Dzieci cieszyły się matką i sobą nawzajem i żadne z nich nie zajrzało do niego do sypialni. Nie zjawił się nawet młodszy syn, „jego” synek, podobny do niego jak dwie krople wody, którego włożono mu w ramiona od razu po urodzeniu, bo jego żona dostała krwotoku; który nie odstępował go jak cień, naśladując jego sposób mówienia i jego chód. Wie, że sam wymógł na dzieciach, by pod żadnym pozorem nie wchodziły rankiem do pokoju rodziców, ale mimo wszystko czuje się nagle opuszczony. Zbędny. Nieobecny ojciec. A przecież ta obcość, którą czuje od zawsze – poza chwilami, gdy leżał w ramionach Ajelet, a ona w jego, i ich oddechy przenikały się nawzajem – właśnie z powodu tej obcości znalazł się ostatecznie w ławkach domu modlitwy. Im wyżej wstępował po stopniach wiary, tym bardziej był przekonany, że to jest pierwotny powód jego odosobnienia: nie fakt, że jako

małego dzieciaka wysłano go do kibucu, po tym jak jego matka zmarła w chorobie, a ojciec pół roku po niej z powodu złamanego serca – lecz fakt, że zawsze pragnął poznać głęboką tajemnicę życia. Tajemnicę, której „tamci” nigdy nie poznają. Teraz otaczają go ludzie, którzy dzielą z nim tę tajemnicę, a przy tym udało mu się wznieść cztery ściany domu. Skąd w takim razie to uczucie obcości? Jaki ma sens cały jego wysiłek, by przynależeć, skoro na koniec znowu ma wrażenie, nawet we własnej rodzinie, że jest jakiś „on” i są „tamci”? Jaki sens ma to, że nie poszukuje Ajelet? Nie tropi jej po drobinach zapachu, jaki za sobą pozostawia? Nie złapie jej silnie w pasie jedną ręką, zakrywając oczy drugą i pytając: zgadnij, kto to?

Niech Bóg ustrzeże, niech Bóg ustrzeże, Mosze Ben Cuk zrywa się z łóżka i jego sztywny członek wypręża się, wyrzuszając materiał spodni od pidżamy. Skąd wdarła się tej nocy Lilit do jego myśli? Dość. Dość. Dość. Od siedmiu lat żyje bez niej, siedem spokojnych lat, i nie może pozwolić, by choć jednym krokiem zbliżyła się do niego, inaczej zgubi drogę we mgle pożądania. Wychodzi na malutki balkonik. Na parapecie okiennym stoją duże słoje, a w nich rozmaite rzeczy, które marynuje jego żona Menucha. Kapusta, oliwki, marchewka pokrojona w słupki, łupiny arbuza, rzodkiew pokrojona w kostki, małe, średnie i duże ogórki. Najpierw marynowała tylko jedno warzywo na początku tygodnia, żeby było gotowe na szabatowy wieczór, ale w ostatnim roku to hobby całkowicie ją pochłonęło i kuchenne okno stało się zbyt wąskie, by pomieścić wszystkie te specjały.

Mosze zauważa, że mniejsze ogórki są trochę bledsze i że przyszedł odpowiedni moment, by wstawić je do lodówki. Ale nie robi tego. Opiera się o balustradę i ponad rządkiem słoików spogląda w stronę pobliskiego cmentarza. W kibucu cmentarz leżał samotnie wśród cyprysów, z dala od domów mieszkalnych, tutaj natomiast jest w samym sercu miasta. Wszyscy pragną mieszkać jak najbliżej spoczywających tam świętych mężów; tylko dzięki ojcu Menuchy udało im się zdobyć to mieszkanie.

Szuka wzrokiem grobów najważniejszych cadyków. Nie jest to trudne. Są błękitne, podczas gdy reszta jest biała, i wszystkie błękitne groby skupiają się wokół świętego mędrca, jak za życia. Koncentruje wzrok na kolorze w nadziei, że ich cnota go ochroni. I chociaż na ogół to pomaga, tego ranka nie odczuwa żadnej poprawy. Jego spojrzenie wędruje od grobów do sylwetki stojącej nieopodal kobiety. Coś w geście, jakim osłania oczy dłonią, przypomina mu Ajelet, ale to oczywiście niemożliwe. Wykluczone. Wychyła się i patrzy uważniej, tymczasem kobieta znika, jakby nigdy jej tam nie było. Najwyraźniej ją sobie wyobraził. A nawet na pewno. Wraca do mieszkania, przemywa twarz wodą i wyciera ręcznikiem z wyhaftowaną sentencją „Obmyłem się w mykwie świętego rabina”. To także nie pomaga. Musi koniecznie obejrzeć mapę. Natychmiast. Podchodzi do domowego archiwum i wyjmuje najnowszy plan Miasta Cadyków. W skali jeden

do dwudziestu tysięcy.

Dziwne. Sprawdza drugi raz. Na planie nie ma ani śladu Syberii. Patrzy na datę – plan sporządzono zaledwie kilka miesięcy temu w wydziale kartografii, Syberia istnieje od ponad dwóch lat, a mimo wszystko tam, gdzie powinna się znajdować, widnieje oznaczenie „otwarty teren publiczny”. To pewnie kolejna drobna zemsta burmistrza Danino. Choć tak bardzo pragnął przyjąć w mieście nowych imigrantów, nieustannie błagając Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, by mu ich przysłali, gdy w końcu przybyli, odwrócił się od nich grubym sztywnym karkiem, jakby sprawili mu osobisty zawód. W czym właściwie go zawiedli? Tego nikt nie wiedział. Ale sygnały, jakie wysyłał swoim podwładnym, były jasne: „strzeżcie się”; innymi słowy – wszelkie kontakty z mieszkańcami nowego osiedla należy ograniczyć do niezbędnego minimum. Nie odpowiadać na ich podania. Nie przyznawać środków. Nie zapraszać na imprezy.

Kiedy czegoś nie znamy, zaczynają się rodzić pogłoski. Opowiadano, że w dzień Jom Kipur z domów na Syberii dobiegały dźwięki muzyki, i widziano, jak dwoje mieszkańców urządza w ogródku grilla. Donoszono, że podczas święta Chanuki w oknach nie dostrzeżono ani jednej lampki chanukowej, natomiast na tylnym podwórzu jednego z domów stała sobie choinka z kolorowymi światełkami. Twierdzono, że mieszkańcy to dawni agenci KGB i że Tajna Jednostka, o której Wiedzą Wszyscy, sprowadziła ich do Izraela i wypłaca im ogromne sumy pieniędzy za podsłuchiwanie rosyjskich naukowców pomagających Syryjczykom w konstrukcji broni jądrowej. Z drugiej strony, opowiadano, że złożyli podanie, by odesłać ich z powrotem do mateczki Rosji. Że za moment spakują się i wyjadą. A poza tym: że nigdy nie wychodzą do ogrodu albo że przez cały dzień przesiadują w ogrodach. Że odkryli zaginiony grobowiec Nataniela Hanachby i uprawiają tam dawny kult sabatajski. Że usunęli mezuzy z framug. Że nie ma wśród nich nikogo o żydowskim nazwisku. A mężczyźni nie są obrzezani.

A tu nagle – bomba. Musi wybudować dla nich myk-wę. Akurat dla nich. Akurat on. Co się stało? Najwyraźniej także jego, Ben Cuka, dopadła jedna z małych zemst Danina. Tak bardzo pragnął go zatrudnić, tak przekonywał, by wykorzystał swoje „przywódcze zdolności” dla dobra miasta, a tu proszę, ostatnio wciąż go upokarza na zebraniach rady miejskiej i wywraca oczami za każdym razem, gdy Ben Cuk zabiera głos, jakby osobiście czymś go rozczarował, z niewiadomego powodu, którego Ben Cuk nie jest w stanie dociec.

Nie ma wyjścia, przyznaje sam przed sobą niechętnie, wobec braku mapy musi sam się tam wybrać. Osobiście.

Wkłada dodatkowe warstwy ubrania, na głowę naciąga czarną wełnianą czapkę (podobno tam, na Syberii, jest zimniej) i wyrusza w drogę.

Przy każdym domu na osiedlu Źródło Dumy wykonawca przewidział nieduży prywatny parking, znając izraelskie rodziny i ich zamiłowanie do

posiadania całej floty pojazdów. Ale żaden z mieszkańców Syberii nie ma własnego samochodu. I gdy Ben Cuk wjeżdża na osiedle swoim mitsubishi, czekają na niego dziesiątki pustych miejsc parkingowych, w większości porośniętych jakimiś pnączami, ale mimo wszystko, z przyzwyczajenia i na wszelki wypadek, parkuje przy krawężniku i z niejaką obawą wysiada, by stawić czoła silnemu wiatrowi, który mrozi jego gołą szyję i szarpie koronami drzew.

Z jednego z podwórek dochodzi ryk lwa. Niemożliwe, by to stworzenie było psem. Po prostu niemożliwe. Grube brązowe futro niczym korona okala łeb. Powolny, groźny krok. Na pewno przywieźli go stamtąd. Na wszelki wypadek Ben Cuk przechodzi na drugą stronę jezdni i przygląda się dobudowanym przy domach gankom. Nigdy nie widział czegoś podobnego. Brązowe, ciężkie, przysadziste jak szafy, pokryte rzeźbionymi ozdobami, zawijasami i zakrętami na brzegach, niczym wieżyczki zamku z piasku albo litery tego ich alfabetu, cyrylicy. Podczas gdy im się przypatruje, wpada na człowieka, który idzie z wytworną laską w rękę, o rączce zwieńczonej połączoną głową orła.

– Dzień dobry – wita się, ale przechodzień nie odpowiada. A oto następny – ubrany na białą, rozpromieniony, odrobinę podobny do Nataniela Hanachby z objawienia. Ten także nie reaguje na pozdrowienie. Gdyby odpowiedział, może Ben Cuk zapytałby go o zdanie – jak sądzi, gdzie najlepiej byłoby wybudować mykwę...bo jego zdaniem... to wydaje się skomplikowane... po jednej stronie domy... środkiem biegnie ulica... po drugiej stronie zbocze opada stromo prosto do wadi... Człowiek w bieli idzie dalej przed siebie, jakby go nie słyszał. A może naprawdę nie usłyszał? Na przystanku autobusowym, kawałek dalej, siedzą dwie starsze kobiety i kiedy Ben Cuk waha się, czy do nich podejść, zza zakrętu wyłania się autobus i zatrzymuje. Ben Cuk gani się w myślach za niezdolność do podjęcia decyzji, jaka go dziś ogarnęła – ten stan trwa, odkąd się obudził – ale gdy autobus odjeżdża, okazuje się, że kobiety nadal siedzą na ławeczce.

Naturalnie, przypomina sobie. Przecież na Syberii nie ma ławek. Tak zadecydował Danino. Nie ma ławek, więc kobiety są zmuszone siadywać na przystanku. Nie może do nich podejść. Przecież gdy tylko się przedstawi, zasypią go wszystkimi możliwymi skargami i będzie zmuszony przekazać oficjalne stanowisko urzędu miasta. Teraz to jasne jak słońce. Nie powinien był tu przyjeżdżać. Nie w taki dzień, który rozpoczął się od myśli o Ajelet. Nagle w jego stronę toczy się piłka. Tu akurat może się na coś przydać. Zatrzymuje piłkę nogą i czeka na dziecko, które nadbiegnie w ślad za nią – będzie mógł porozmawiać z nim w międzynarodowym języku piłki nożnej, zachwycić precyzyjnym, mocnym podaniem, które roztopi pierwsze lody – ale nikt się nie pojawia. Ulica jest tak stroma, że być może piłka dotoczyła się tu z drugiego krańca osiedla. Albo świata. Stoi z piłką w ręku, szarpany porywami lodowatego wiatru, i na próżno czeka na kogoś, kto po nią przyjdzie. Kiedy tak stoi, oczekując nerwowo, aż coś się

wydarzy, zauważa za przystankiem autobusowym niewielki pagórek. To właściwie niezupełnie pagórek, bardziej wzniesienie terenu tworzące naturalny taras widokowy; podwija spodnie, nie chcąc zabłócić nogawek, i wspina się, ślizgając, na ów naturalny taras, osłania oczy dłonią przed wiatrem. Z jednego z drzew zrywa się orzeł, na chwilę zawisa nieruchomo, unoszony w górę prądami powietrza, coraz wyżej, po czym znika za jednostką wojskową. Ben Cuk wyjmuje z kieszeni koszuli mapę i zaznacza to miejsce, potem wyciąga z kieszeni spodni telefon i zsuwa czapkę z jednego ucha.

– Noam – mówi – tu Ben Cuk. Jak się masz?

– *Ahlan, ja Ben Cuk* – odzywa się Noam tuż przy jego uchu przyciszonym głosem i dodaje miękko: – Gdzie się podziewałeś, szefie? Stęskniłem się za tobą.

Ben Cuk wie, że jego rozmówca naprawdę nie ma na imię Noam. I że za aksamitnym tonem skrywa się interes. Mimo wszystko cieszy się, że go słyszy.

– Mam dla ciebie robotę – mówi.

– Ostatnio... jestem trochę zajęty... – Noam rozpoczyna na swój sposób negocjacje.

– Daj spokój – przerywa Ben Cuk. – Szkoda czasu. Mamy spory budżet i jeszcze bonus, któremu się nie oprzesz.

– Bonus?

– Nie ma co dużo gadać. Przyjedź jutro... i nie zapomnij zabrać lornetki.

Ben Cuk chowa telefon do kieszeni, przykrywa złodowaciałe ucho czapką i stoi dalej z cudzą piłką w ręku na wzniesieniu widokowym. Czekają kilka minut, może nadejdzie ktoś, kto mimo wszystko zechce ją odzyskać, a na koniec wkłada ją do samochodu i jedzie do domu. Synowie na pewno ucieszą się z nowej piłki. Szczególnie młodszy. Może schowa ją za plecami, gdy wejdzie do domu, a później wyciągnie niespodziewanie i powie, że to prezent. Może błyszczące oczy i prędki uścisk dziecka, które szybko odbiegnie, sprawią, że poczuje się odrobinę mniej nieobecny ojcem choćby na kilka chwil.

W wieku sześciu lat Naim pokochał pewnego ptaka. Był to szczygieł z jednym skrzydłem muśniętym plamką złotej farby i z czerwonym łebkiem. Kiedyś, gdy szedł przez pole, nagle poderwało się do góry całe ich stado.

W wieku siedmiu lat udało mu się po raz pierwszy dotknąć szczygła. To było pod sklepikiem Munira. Założył się z kolegami, którzy twierdzili, że nie ma najmniejszej szansy. Że ptaki odlatują, gdy tylko człowiek do nich podchodzi.

Kiedy miał dziewięć lat, po raz pierwszy usiadł mu na ramieniu dudek. Odleciał po kilku sekundach, ale Naim czuł do końca dnia cudowne uczucie wczepionych w ciało pazurków.

Dair wara el acafir, przeżywał go ojciec. Ten, co ugania się za ptakami. To znaczy próżniak. Stracony przypadek. Także dzieci wyśmiewały się z niego, łaskotały go w szyję piórkami. Rzuciły kamieniami. Zastawiały pułapki z patyków

i rechotały, gdy potykał się i upadał.

Kiedy miał piętnaście lat, zgłosił się do stacji ornitologicznej nad Jeziorem bez Wody i zaoferował, że może im pomagać. Jako wolontariusz. Udało mu się ukryć arabski akcent, ale gdy tylko usłyszeli jego nazwisko, odesłali go do sprzątanania. To mu jednak nie przeszkadzało. Bo z dachu damskiej ubikacji roztaczał się doskonały widok. Jesienią, po skończonej zmianie, obserwował stamtąd masowe ptasie migracje i szukał w przewodniku informacji o wszystkim, co zobaczył.

Kiedy miał lat piętnaście i pół, chłopcy we wsi zatłuk-li kamieniami sowę płomykówkę.

– Dlaczego? – zawołał, pochylając się nad drgającym ciałkiem. – Dlaczego to zrobiliście?

– Sowa przynosi pecha – odpowiedzieli. – Popatrz, jaka jest paskudna.

– Co takiego? – Naima ogarnął bezsilny gniew. – Płomykówki są bardzo ważne! Polują na myszy, które niszczą plony! Nawet Koran mówi, że nie wolno ich krzywdzić!

– Sowa przynosi pecha – powtarzali chłopcy.

Kiedy miał szesnaście lat, ojciec uznał, że już dość tego ptactwa. Całego tego domu wariatów. Nie zbił go ani nie ukreślił na jego oczach łebka żadnemu ptakowi, powiedział tylko: teraz jesteś mężczyzną. A także: należy zatroszczyć się o twoich braci. Następnego dnia wziął go do pracy na budowie i zaczął zapoznawać ze wszystkimi tajnikami zawodu. Jak mieszać cement, jak ociosywać i układać kamienie. Do tego: jak targować się z Żydami o pieniądze i jak z nimi pracować, łącząc wewnętrzną nieustępliwą dumę i zewnętrzną pokorę, jak dawać im odczuć, że wszystkim rządzą, podczas gdy wcale tak nie jest.

Kiedy miał siedemnaście lat, zmienił imię na Noam. Tak nazwał go pierwszy żydowski pracodawca. Przez nieuwagę. Potem imię przyłgnęło. Wykonawcy zarazili tym robotników, robotnicy swoje żony, aż na koniec wszyscy – poza jego rodzicami – zaczęli nazywać go Noamem.

Kiedy miał dwadzieścia jeden lat, sam już nie był pewien, czy jest Naimem czy Noamem. Wiedział jednak, że żydowskie imię, które do niego przyłgnęło, i żydowski wygląd pomagają mu otrzymywać zlecenia przeznaczone wyłącznie dla Żydów. Czasami odbywało się to wprost, a czasami – zwłaszcza gdy chodziło o synagogi lub mykwy – płacono podstawionemu człowiekowi, który z pozoru odpowiadał za wykonanie budowy, podczas gdy w praktyce wykonywał ją Naim.

Kiedy miał dwadzieścia trzy lata, kupił za oszczędności swoją pierwszą lornetkę firmy Nikon. Zabierał ją ze sobą wszędzie tam, gdzie pracował, i w czasie przerw obiadowych, gdy inni robotnicy plotkowali albo jedli, albo jedli i plotkowali, on – szczupła sylwetka, na granicy wychudzenia, rysy twarzy zaostrome jak u ptaka – wybierał najlepszy punkt obserwacyjny, podnosił lornetkę

wiszącą na piersi i pozwalając swoim oczom cieszyć się wolnością.

W sobotni poranek Anton zabiera Daniela na spacer po osiedlu. Dla kogoś, kto patrzy z boku, mogą z pewnością wyglądać na dziadka i wnuka, a jeśli dokładnie się przyjrzeć, można dostrzec nawet zewnętrzne podobieństwo. Proszę, mają niemal identyczne nosy, jest także coś podobnego w ich sposobie chodzenia, dumnym kroku, skłaniającym się odrobinę na prawą stronę. Nie tak dawno temu Daniel zapytał:

– Kim ja właściwie jestem dla ciebie?

Anton wiedział, że chłopiec szuka konkretnego określenia, czegoś w rodzaju „przyszywanego wnuka”, ale powiedział tylko:

– Jesteś moją smieszinką, śmiechem w moim sercu, a wszystko inne to głupstwo.

Daniel zaprotestował i zażądał, żeby wyjaśnił wszystko jeszcze raz od początku, po raz tysięczny, a Anton dał się uprosić, bo wiedział, że dzieci zawsze tęsknią za właściwym porządkiem, szczególnie takie, których wielokrotnie pozbawiano z korzeni – i kolejny raz opowiedział Danielowi, jak jego babcia była kiedyś żoną innego mężczyzny, jak ten mężczyzna zniknął, uciekł, i babcia przez wiele lat żyła sama. I była smutna. Wtedy on, Anton, spotkał ją w domu starców i zobaczył, że chociaż jest smutna, nie tak znowu trudno ją rozśmieszyć. Naraz zrozumiał, że znalazł coś, czego szukał przez cały czas, powód, dla którego warto żyć: dawać radość Katii.

– Kiedy Katia – ciągnął Anton – czyli twoja babcia, powiedziała, że ma wnuka w żydowskim kraju i że tak strasznie za nim tęskni, do tego stopnia, że to nie pozwala jej normalnie oddychać... – Pocałował ją w rękę i powiedział, że jest gotów pojechać do żydowskiego kraju, chociaż nie jest Żydem i nie modli się do żadnego boga, tylko po to, żeby jej było trochę lżej. Ale jednej rzeczy nie jest gotów zrobić: zająć miejsca na przypiec-ku w domu młodej rodziny, jak robili to jego dziadek i ojciec jego dziadka. Nie cierpi tego pasożytniczego zwyczaju i chce, by zamieszkali osobno, we własnym mieszkaniu.

– To wszystko powiedziałem Katii, to znaczy twojej babci, przed przyjazdem do Izraela, żeby nie było żadnych niespodzianek – opowiada Danielowi po raz nie wiadomo który – a na koniec to ja otrzymałem wielką niespodziankę, bo okazało się, że ten wnuk, o którym tyle się nasłuchałem, nie jest takim całkiem zwyczajnym chłopcem, tylko że to ty, Daniku.

– A twój syn nie był zły, że wyjechałeś do Izraela? – pyta Daniel i w jednej chwili cień pada na serce Antona. Ach, ten Danik... Jakim cudem umie zadawać akurat takie pytania, najbardziej...

Po kilku sekundach odpowiada:

– Mój syn jest już dorosły. Nie ma co się o niego troszczyć. Doskonale radzi sobie beze mnie.

Anton i Daniel chodzą razem na spacer w co drugą sobotę, kiedy Daniel przyjeżdża z wizytą, żeby Katia mogła spać długo, tak jak lubi. Na osiedlu nie ma placu zabaw ani drewnianego domku dla dzieci, więc po prostu chodzą i rozmawiają, jak muzyk z muzykiem, prowadzą „męskie rozmowy”, jak określa to Anton. O czym rozmawiają mężczyźni? Na przykład o tym, że w klasie Daniela jest pewna dziewczynka imieniem Szoni. Daniel kocha się w niej, ale nie ośmiela się z nią porozmawiać. Dlaczego? Bo jest nowym imigrantem. Bo jest od niej niższy o pół głowy. Bo ona – to ona, a on – to tylko on.

– Posłuchaj uważnie – mówi Anton prawie z naganą. – Ta cała Sonia...

– Szoni – poprawia Daniel.

– Niezależnie od tego, kim jest, powinna być wdzięczna, że to TY chcesz JA.

– Anton odrobinę podnosi głos, a potem daje Danielowi praktyczne rady, które czerpie z bogatego skarbca osobistego doświadczenia w uwodzeniu. – Te rzeczy nie zależą od wieku – mówi. – Musisz być miły dla jej najlepszej przyjaciółki, zazdrość może rozżarzyć nawet wilgotne węgle. Patrz na nią w skupieniu, a później odwróć wzrok dokładnie w tym momencie, w którym ona odwzajemni spojrzenie, żeby nie była pewna, czy naprawdę się jej przyglądałeś. Zauważ przy jej uchu piosenkę o miłości, tylko kilka wierszy, i naraz zamilknij. Otwórz jej drzwi do klasy i przepuść ją przed sobą...

Daniel słucha i za każdym razem od nowa czuje, jak wypełnia go zdecydowana pewność siebie, która utrzymuje się aż do soboty wieczorem i rozwiewa bez śladu w niedzielę, gdy widzi Szoni w klasie.

– Znajdź w niej coś niezbyt ładnego – radzi Anton tym razem i widząc zdumione spojrzenie Daniela, dodaje szybko: – Niemożliwe, żeby nie było niczego takiego. Zawsze coś jest. Jeśli nie na zewnątrz, to wewnątrz. Dziesięć lat temu w Moskwie znałem pewną damulkę, która poprosiła, żebyśmy otworzyli stalowe drzwi, które się zacięły, a ja...

– Patrz! – Daniel zwraca uwagę Antona na sporych rozmiarów wykop, który dostrzega za przystankiem autobusowym. Coś kiepsko z moim wzrokiem, myśli Anton. Jak mogłem nie zauważyć takiej wielkiej dziury? A przechodziłem obok pewnie ze dwadzieścia razy. Obaj podchodzą ostrożnie, stają na krawędzi i rozważają na głos:

– Co to może być? Dziura wykopana przez psa? Za duże. Krater po upadku meteorytu? Za małe. Wejście do tajnego tunelu, prowadzącego do tajnej jednostki wojskowej po drugiej stronie doliny? Gdyby tunel naprawdę był tajny, wejście nie znajdowałoby się na samym wierzchu.

– Wiem! – Anton uderza się w czoło. – To będzie klub!

– Jaki klub? – nie rozumie Daniel.

– Klub szachowy przecież! W urzędzie miasta w końcu dostali moje pismo!

– mówi Anton i zaczyna odmierzać krokami długość wykopu. – Popatrz, Daniku,

idealnie pasuje. – Wskazuje wyimaginowany punkt pośrodku. – Tu ustawimy stoliki. Na każdym będzie szachownica i zegar. I dwa krzesła. A tu będzie okno z widokiem, żeby gracz, który czeka na ruch przeciwnika, mógł udawać, że wcale się nie denerwuje. Przeciwnie, jest tak spokojny, że może pozwolić sobie na obserwowanie ptaków. Tu będzie główne wejście i mały wieszak na ubrania, a tutaj, w rogu, niewielki kącik na poczęstunek, z kawą, herbatą i oliwkami. Najważniejsze są oliwki, bo wyostwiają refleks. Chodź, Daniku, wracajmy do domu! Musimy zacząć się przygotowywać. Sądząc po stanie tego wykopu, klub będzie otwarty za kilka miesięcy, a ty wciąż nie umiesz nawet ustawić figur na szachownicy!

To nie jest pierwsza mykwa, którą buduje Noam ze swoimi robotnikami. Ma już praktykę i dokładnie wie, ile wody powinno mieścić się w basenie, jaki rozmiar powinna mieć powierzchnia znajdująca się przy stopniach prowadzących w dół, a jak duża przestrzeń winna być przy samym basenie, gdzie stoi kobieta asystująca przy ablucjach, jak wygląda zbiornik z wodą, czym różni się część dla mężczyzn od części dla kobiet i jak dopilnować, by nie doszło do *zechila*, przecieku, który zdyskwalifikuje całą mykwę. Przy pierwszych tego typu zleceniach korzystał z podręcznika autorstwa rabina Szenberga, trzymając się kurczowo zamieszczonych w nim planów, ale w miarę jak nabierał doświadczenia, sięgał po niego coraz rzadziej i nauczył się bardziej ufać sobie. Kiedy Ben Cuk do niego zadzwonił, znajdował się w odpowiednim punkcie na ścieżce rozwoju zawodowego: był dość doświadczony, by umieć rozwiązać każdy nadarzający się problem, a przy tym zachował w sobie dość entuzjazmu, by cieszyć się myślą o nowym wyzwaniu.

Budowa pierwszej mykwy na Syberii bez wątpienia stanowiła wyzwanie. Ben Cuk, przyznając bud-żet, był tak hojny, że Noam czuł się zobowiązany do usprawiedliwienia nakładów finansowych: ta myk-wa powinna być małym arcydziełem, począwszy od przebieralni, poprzez prysznice aż po system klimatyzacji – wszystko w niej musi być, jak mówią po arabsku, *mi'a fil mi'a*. Tip-top. Niczym w najlepszej tureckiej łaźni. W związku z tym przez pierwsze tygodnie był tak zaabsorbowany najdrobniejszymi detalami prac budowlanych, że nie znalazł wolnej chwili, by użyć lornetki, którą zawsze nosił na szyi. Dopiero gdy poczuł, że sprawy toczą się pomyślnie, pozwolił sobie odejść kawałek podczas przerwy obiadowej, unieść lornetkę do oczu i rozpocząć obserwacje.

Ben Cuk się nie mylił. Punkt, który wybrano na budowę mykwy, był faktycznie wyjątkowy: coś jakby taras widokowy, który stworzyła sama natura, by ludziom było wygodniej ją podziwiać. Wszystkie okoliczne ptaki zlatywały się tu, by szybować w rozpościerającej się niżej dolinie. Sokoły i żurawie, dudki i czaple. Ale nie chodziło tylko o ich liczbę. Był jeszcze jeden bonus, jak nazwał to Ben Cuk. Minęło kilka dni, zanim Noam to zauważył, ale w końcu zrozumiał, o co

chodzi. Najwyraźniej jednostka wojskowa znajdująca się po drugiej stronie doliny wpływała w jakiś sposób na zachowanie ptaków. Być może ciepło, emitowane przez tajne urządzenia we wnętrzu ziemi, stwarzało wyjątkowo silne ciepłe prądy powietrza, na których ptaki mogły unosić się bez wysiłku. Były tam naturalnie także gigantyczne anteny. Jedne przyciągały ptaki jak magnes, inne zaś odpychały je jak magnes o przeciwnym ładunku. Ptaki bały się groźnych dźwięków alarmowych wydawanych przez głośniki („Czerwony orzeł!”, „Czerwony orzeł!”, „Grupa dyżurna na plac apelowy!”), ale bardzo lubiły sam plac apelowy, coś w rodzaju placu Świętego Marka w miniaturze, na którym niemal nie widywało się żołnierzy (im dłużej Noam się przyglądał, tym lepiej rozumiał, że żołnierze w tej konkretnej jednostce spędzają większość czasu pod ziemią, a wszystko, co znajduje się na powierzchni, zostawiają ptakom).

Pewnego dnia, gdy śledził lot pary żurawi szarych, które zanurkowały w dolinę z najwyższej anteny, zauważył nagle peugeota zaparkowanego za drzewem oliwnym, a gdy wyregulował ostrość, dostrzegł za przednią szybą samochodu nagie ciało: a dokładnie czyjś goły tyłek. Dwa pośladki. Chociaż wcale nie miał ochoty przyglądać się dalej, nie mógł jednocześnie oderwać wzroku: pośladki unosiły się i opadały w szybkim, stałym rytmie, jak dziób dzięcioła, a pod tym ciałem, widocznym dla oka, znajdowało się drugie, także ze spuszczonej spodniami. I choć mógł poprzestać na tym i wrócić do śledzenia żurawi, przesunął się odrobinę w lewo, by lepiej widzieć, ponieważ osłona na szybie od strony kierowcy zasłaniała częściowo to, co się działo, i zauważył, że wszystkie cztery nogi są zakończone wysokimi wojskowymi butami. Podczas gdy wciąż trawił tę informację, mężczyzna znajdujący się pod spodem podniósł się bez uprzedzenia, odwracając się od niego łysą czaszką, a zwracając profilem, i Noam odskoczył na ten widok, jak ptaki omijające niewłaściwą antenę, natychmiast zasłonił szkła lornetki i zawołał na robotników, żeby się nie lenili, kto to widział takie długie przerwy, mykwa musi być gotowa w terminie, nie może przez cały czas kopać ich w tyłek, a oni spojrzeli na niego zdumieni – nigdy wcześniej na nich nie pokrzykiwał, a na pewno nie wrzeszczał, a już z całą pewnością nie używał słów takich jak „skopać tyłek”. Dlatego lubili z nim pracować, ale dlaczego w takim razie teraz tak się zachowuje? Noam ze złością zajął się przycinaniem płytek ceramicznych i nie rozmawiał z nimi przez cały dzień, a nazajutrz podczas przerwy obiadowej ponownie wyszedł na punkt widokowy i skierował lornetkę dokładnie w ten sam punkt, jednak zobaczył tylko krzaki i kamienie, i pasące się lub zabłąkane krowy, powiedział więc sobie, że chyba zaczyna wariować, wyobraża sobie jakieś głupoty, a wszystko dlatego, że nie ma kobiety, może nadszedł czas, by przestać czekać na kobietę, która odwiedza go czasami w snach, w piątki przed świtem – długonoga kobieta o ostrym spojrzeniu, która kocha ptaki jak on – i zejść na ziemię: ożenić się z dziewczyną ze wsi, jak wszyscy. Tak jak chcą jego rodzice.

Najwyżej potem nauczy ją wszystkiego o ptakach.

W ostatnim czasie w sobotnie poranki Anton uczy Daniela grać w szachy. Cierpliwie. Siedzą w salonie. Leżąc w łóżku, Katia słucha ich rozmów. To są pionki, mówi Anton. Są najmniej wartościowe. Tak to jest z żołnierzami. Można lekceważyć ich życie. Poświęcać ich dla chwały wielkich dowódców. Dlatego bycie żołnierzem nie jest wielką nagrodą. I najlepszy dzień w życiu żołnierza, Daniku, to dzień, w którym wychodzi do cywila. Jak może wyjść do cywila szachowy żołnierz? Przyjrzyj się uważnie. Jeśli uda mu się dojść na drugi kraniec szachownicy, natychmiast staje się królową, a wtedy jego życie całkowicie się zmienia. Zobacz, królowa może poruszać się we wszystkich kierunkach, jest silna i zdrowa. W szachach to królowa jest silniejsza od króla. I piękniejsza. Dlatego trzeba jak najlepiej jej strzec. Bez niej król jest słaby. Owszem, może żyć dalej, ale jego życie nie ma wielkiego sensu. W gruncie rzeczy czeka już tylko na koniec partii. Dlatego to bardzo ważne, by nie narażać królowej bez powodu. Bo chociaż jest tak silna, jest także krucha. Ma serce zrobione z cuk-ru. Taka jest także twoja Sonia. Także ma serce z cukru, sam się przekonasz. Nie martw się. W każdym razie, Daniku, największym niebezpieczeństwem dla królowej jest skoczek, który porusza się trochę dziwnie, zabawnie, ale w tym kryje się jego siła. Ten, kto odważa się być inny niż wszyscy – zyskuje przewagę. Popatrz. Skoczek porusza się dwa kroki naprzód i jeden w bok. Na lewo albo na prawo. Skomplikowane? Wyobraź sobie rycerza jadącego na koniu. Galopuje energicznie naprzód, przez dwa kwadraty. A potem zatrzymuje się i zeskakuje z siodła, na bok. Proszę, przeskocz sam. Pięknie, tak. Doskonale. Brawo. Doskonale to złapałeś. Znacznie szybciej niż mój syn Nikołaj. Pewnie to moja wina. Może chciałem za dużo zrobić naraz, nie wiedziałem... Za bardzo naciskałem. I to sprawiło, że zamknął się w sobie. Nieważne.

Teraz weźmy gońca. Kiedyś, jeszcze zanim twój Anton się urodził, był ktoś taki. Jeśli król chciał o czymś ważnym poinformować dowódcę swoich wojsk, posyłał gońca z listem. Kiedyś nie było poczty. Nie było telefonów. Nie było komputera. Komputer jest bardzo ważny dla twojego rozwoju, Daniku. Pamiętaj tylko, że nie uczyni cię szczęśliwym. Potrzebujesz też przyjaciół. Także nasz goniec ma przyjaciela, który porusza się tylko po czarnych polach. I tak samo u twojego przeciwnika. Dwaj oficerowie poruszają się, jeden w białych butach, a drugi w czarnych. Dlaczego potrzebni są dwaj? A jak myślisz, Daniku? Słusznie. Jeśli jeden zginie w bitwie, żeby był drugi na wszelki wypadek. Co nam zostało? Wieża. Wieża jest trochę jak twój tata. Porusza się po prostych liniach. Trochę nudno. Nijaka. Ale dobrze, żeby był ktoś taki w każdej rodzinie. Nie powtarzaj tylko tacie, że tak o nim mówiłem, dobrze? Masz rację. Nie trzeba cię o to prosić. Sam świetnie wiesz, komu lepiej czegoś nie mówić. Jesteś duży i mądry. Dlatego nadszedł czas, byś nauczył się grać w szachy. Świetnie. Teraz skończę ustawiać

figury po mojej stronie, a ty zacznij ustawiać swoje naprzeciw moich.

Po zakończeniu lekcji szachów dla początkujących Anton i Daniel wychodzą razem popatrzeć, jak idzie praca nad klubem. Idą w milczeniu. Daniel myśli: po partii szachów mózg jest tak zmęczony jak nogi po bieganiu. Anton przypomina sobie, jak czytał w gazecie, że Kasparow wygrał w pojedynku z komputerem o nazwie Deep Blue, i myśli: gdyby Kasparow przegrał, to byłoby naprawdę fatalnie.

Kiedy docierają do wykopu, widzą, że sterczą z niego żelazne pręty zbrojeniowe, a z boku na swoją kolej czekają niezliczone stosy cegieł i kafli. Tu i tam, szczerząc rozwarte paszcze, leżą puste pudełka po papierosach z arabskimi napisami.

O dziesiątej rano na osiedle wjeżdża wojskowy dżip i Anton pierwszy wychwytyje jego zapach. To oni, mówi do Katii, i gwałtownie zrywa się od stołu, ucieka do sypialni i zamyka za sobą drzwi. Na zasuwkę.

– Kim są „oni”? – pyta Katia zza drzwi, a Anton odpowiada wściekłym szeptem:

– Mów ciszej!

– Co się stało? Dlaczego mam mówić po cichu? – protestuje Katia delikatnie, a Anton odpowiada:

– Nie czujesz tego zapachu? Tak pachnie wojsko. Przyjechali po mnie. Powiedz im, że mnie nie ma. Nie, że umarłem.

– Wojsko? Jakie znowu wojsko? – Katia nieomal wybucha śmiechem, ale na wszelki wypadek odsuwa firankę w dużym oknie wychodzącym na ulicę i faktycznie, ku jej zdumieniu, obok domu przejeżdża z warkotem wojskowy pojazd. – Nie jadą do nas – informuje przez zamknięte drzwi. – Pojechali dalej.

Ale Anton nie wychodzi z pokoju.

Pięć po dziesiątej dżip staje obok przyszelej mykwy, coraz wyraźniej nabierającej kształtu. Wyskakuje z niego czterech żołnierzy w hełmach i z karabinami i jeszcze jeden mężczyzna w cywilnym ubraniu. Łapią na gorącym uczynku Naima, który dokładnie tak jak ostrzegali wywiadowcy, zajmuje się obserwacją tajnej jednostki.

Zatrzymują na miejscu jego i grupkę robotników. Wszyscy zostają skuci, wrzuceni do dżipa i wywiezieni. Cała akcja trwa zaledwie kilka minut. Ale nawet wiele godzin później Anton wciąż nie chce wyjść z pokoju.

Otwiera drzwi dopiero wieczorem, by przyjąć szklanekę herbaty w metalowym uchwycie. I natychmiast zamyka je z powrotem.

Katia siada po drugiej stronie zamkniętych drzwi. Słucha, jak Anton pije, i dopiero gdy słyszy stuknięcie szklanki odstawianej na stolik, odzywa się:

– Czy możesz mi w końcu powiedzieć, dlaczego tak bardzo boisz się żołnierzy?

– Tego nie można opowiedzieć – mówi Anton.
– Wyobraź sobie, że jesteśmy w kościele. A to jest konfesjonał.
– Nie wierzę w Boga ani w jego kościoły. Wiesz o tym. Specjalnie mnie drażnisz.

– Wiesz co? Jestem tutaj. Czekam na ciebie za drzwiami. Zaczynj mówić, gdy zechcesz.

– Nie zechcę. Marnujesz czas.

– W porządku.

Katia idzie do kuchni i zabiera się do przyrządzania pierożków z kapustą. Może cząsteczkom zapachu, które ulecą z piekarnika, uda się wnikać przez wąską szparę pod drzwiami i wywabić Antona z pokoju.

Ale to też nie pomaga. Wtedy Katia podchodzi do półki z książkami, wyjmuje *Doktora Żywago* i siada opar-ta plecami o drzwi. Przewraca kartki bardzo głośno. Niech Anton wie, że ona tam siedzi. Na podłodze. Zna swojego dżentelmena. Niezbyt długo uda mu się znosić fakt, że z jego winy kobieta siedzi na podłodze.

Rzeczywiście po mniej więcej godzinie Anton mówi:

– Katiu, proszę cię, wstań.

– Pod warunkiem, że opowiesz mi, dlaczego boisz się żołnierzy – żąda ona.

I zamyka z trzaskiem książkę.

– Daj spokój, Kotik. Naprawdę.

– Ale...

– Proszę cię. Jeśli mnie kochasz choć trochę, zostaw.

Głos Antona łamie się przy tych słowach. Jak głos dorastającego chłopca. Anton nigdy nie mówił takim głosem. Katia słyszy przez drzwi, że nagle oddycha szybciej. Za szybko.

– W porządku, już dobrze – mówi przestraszona. – Opowiesz mi, kiedy sam zechcesz. Ale otwórz w końcu te drzwi! Tęsknię za twoimi objęciami! Żołnierze odjechali już dawno temu i nie czuć żadnego zapachu przemarzniętych kartofli. Mogłabym wezwać ślusarza, żeby otworzył drzwi, gdyby nie fakt, że ty jesteś tutejszym ślusarzem.

– Za chwilę, Kotik, za chwilę wyjdę do ciebie – mówi on, a ona czeka jeszcze kilka minut, aż z drugiej strony rozlega się stukot klawiszy, i uspokaja się: Anton pisze, to znaczy, że żyje.

Po tym, jak przez trzy dni nie może dodzwonić się do Noama, Ben Cuk zaczyna się martwić. Jedzie na budowę i zastaje tam niezmierny chaos. Połamane płytki, porzucane narzędzia, mrowiska.

Co się stało, zastanawia się przestraszony. Nagłe zniknięcia nie są w stylu Noama.

Główna ulica Syberii jest w tym momencie całkiem pusta, jeśli nie liczyć

dwóch starszych pań, które siedzą na przystanku autobusowym, nie czekając na żaden autobus. Podchodzi do nich i pyta, ale one uśmiechają się tylko i kręcą głowami przecząco. Albo potakująco. Nie jest pewien. Później kobiety mówią coś w swoim języku i wskazują na rusztowanie.

– Co takiego? – pyta, próbuje po angielsku, ale to też nie pomaga. Do diaska.

Jedzie do domu rodzinnego Noama, w wiosce u podnóża góry, i tam ojciec przekazuje mu gorzkie wieści: Noam jest podejrzewany o szpiegostwo na rzecz nieprzyjaciela. Zabrali go żołnierze z tajnej jednostki i od tamtej pory nie mieli od niego żadnej wiadomości. Innych ludzi, których aresztowano razem z nim, wypuścili już wczoraj, ale jego dalej trzymają w areszcie.

– Co z was za ludzie? – wybucha nagle matka, która do tej pory siedziała w milczeniu obok męża. – Serca nie macie? Mój syn nazywa się Naim. Nie Noam. Nie mógłby skrzywdzić nawet ptaszka. Czego od niego chcecie? Nie wystarczy wam nasza ziemia, teraz zabieracie naszych synów?

– Cicho, kobieto. – Ojciec ją ucisza, bardziej błagalnie niż ze złością.
– Napije się pan kawy, panie Ben Cuk? Może coś słodkiego?

– Jestem pewien, że zaszła pomyłka – mówi Ben Cuk, patrząc w oczy matce Naima, i dodaje: – Znam parę osób w tej jednostce. *Ala ini uala rasi*, w porządku?

Leżąc pod określonym kątem pod oknem celi aresztu wojskowego, Noam może dojrzeć maleńki skrawek nieba. Co kilka godzin widzi przelatującego ptaka i ma wtedy najwyżej dwie–trzy sekundy, by zarejestrować jego cechy charakterystyczne, i poszukać go w przewodniku do rozpoznawania gatunków, który nosi w głowie.

Ale między tymi chwilami jest tylko sam ze sobą. Zbyt samotnie.

Przypomina sobie tamtą instruktorkę. Rany boskie. Nie myślał o Hili od bardzo dawna.

Przyjechała nad Jezioro bez Wody kilka miesięcy po nim. Dziewczyna w jego wieku. Z Miasta na Granicy. Ładna. Bardzo pewna siebie, a mimo to potrzebująca ciągłej uwagi. Pewnego ranka zawołała go, gdy sprzątał damską ubikację, i powiedziała, że Kfir zerwał się ze zmiany, a ona potrzebuje kogoś, kto pomoże jej obrączkować ptaki.

– Potrafisz to zrobić, prawda? – zapytała.

– Nie – przyznał.

Wiedział, że na stacji ornitologicznej przy wjeździe do rezerwatu pracownicy łapią ptaki, zakładają im na nóżki cieniutkie obrączki z numerem na potrzeby badań, a potem wypuszczają na wolność. Ale nigdy nie zaproponowano mu, by w tym pomagał.

– To będziesz tylko chwytać ptaki i je trzymać, a ja im założę obrączki – powiedziała, on zaś skinął głową. W ustach tak mu zaschło, że nie zdołał wykrztusić ani słowa.

Pracowali razem dłuższy czas. W milczeniu. On chwycił trzepoczącego ptaka i trzymał go w dłoniach, a ona wkładała obrączkę i zapisywała wszystko w dzienniku stacji badawczej.

W końcu uznała, że wystarczy. Że mogą skończyć pracę. Wstała i zrobiła obojgu kawę. Za słodką. Za słabą. Być może najgorszą kawę, jaką kiedykolwiek go poczęstowano.

Kiedy upił łyk, powiedziała ze śmiechem:

– Trzymasz kubek tak, jak trzymasz ptaki.

– Jak to? – spytał urażony.

Wtedy obrażał się o wszystko.

– Dlaczego się złościł? – roześmiała się znowu. – Nie miałam na myśli nic złego.

– Naprawdę?

– Chcę powiedzieć, że masz bardzo delikatne ręce. Pokaż mi je na chwilę.

Odstawił kawę i wyciągnął do niej obie dłonie.

– Jaka dziwna linia miłości – zauważyła, przesuwając palcem po wnętrzu jego dłoni.

– Dlaczego dziwna? – znowu się obraził.

– Daj spokój, Naim – powiedziała, przeciągając raz po raz palcem wzdłuż tej linii, co przyprawiło go o gęsią skórę na całym ciele (skąd ona wie, jak mi na imię, zastanawiał się).

– Chciałam tylko... powiedzieć, że twoja linia zaczyna się w połowie. To znaczy, że spotkasz miłość swojego życia dość późno. Chcesz zobaczyć moją linię?

Wyciągnęła do niego dłonie i pochyliła się trochę, a dolinka powstała między jej piersiami znalazła się na wysokości jego oczu.

– Ale ja... – powiedział – nie potrafię czytać z dłoni.

Co za głupiec. Wiele lat później odtwarzał w wyobraźni tę chwilę i poprawiał się: ujmuje dłoń Hili, wodzi palcem po jej wnętrzu, później przenosi palec na jej nagie ramię, a stamtąd wiedzie w dół, wzdłuż kości obojczyków, do piersi, by wysunąć ją ze stanika i okrężyć sutek, różowawy sutek młodej dziewczyny, powoli, aż stwardnieje...

Kurwa, uderza się w twarz. Mocno. Uderzenie śledczego. Na co mu teraz te myśli?

Niech wreszcie wezmą go na przesłuchanie. Lepiej, żeby wypytywali go o coś, czego nie zrobił, niż gdyby miał tęsknić za dziewczyną, która nigdy nie będzie jego.

– Dlaczego robotnicy pracujący z tobą mówią na ciebie Noam, a nie Naim?

– To... Wszyscy tak na mnie mówią. Przyłgnęło do mnie.

– Nie wydaje ci się dziwne, że Arab używa żydowskiego imienia?

– Bo ja wiem... Akurat teraz sporo ludzi u nas nadaje dzieciom imiona, które

brzmia dobrze też po hebrajsku: Rami, Jaara...

– Kombinujesz?

– Nie kombinuję, odpowiadam...

– Żydowskie imię pomaga ci dostawać zlecenia?

– Może.

– Nie może. Na pewno. Sprawdziliśmy to. Część twoich klientów w ogóle nie wie, że jesteś Arabem.

– Nie ukrywałem tego.

– Słuchaj no uważnie...

Śledczy wstaje, okrąża stół i kuca przy Naimie. Za blisko. Z ust zionie mu zjedzonym niedawno falafelem. Kładzie Naimowi rękę na ramieniu, nachyla się tuż-tuż, aż znajdzie się w odległości oddechu od jego ucha, i mówi spokojnym, i przez to tak przerażającym tonem:

– Najwyraźniej nie rozumiesz, z czym masz do czynienia. Wiemy, kim są twoi koledzy. Wiemy, co twój ojciec jadł wczoraj na kolację. Wiemy, dlaczego twoja matka leżała dwa miesiące temu w szpitalu. Mamy informatorów w twojej wsi. W twojej rodzinie. I wewnątrz twojej głowy też. Za każdym razem, gdy sądzisz, że jesteś sam, nie jesteś tak naprawdę sam. Jesteśmy tam z tobą. Dlatego proponuję ci, dla twojego dobra, przestań kombinować. Rozumiesz?

– Tak, rozumiem.

– Doskonale, cieszę się, że to sobie wyjaśniliśmy. – Śledczy wraca na swoje miejsce, ujmuje długopis i zatrzymuje go w powietrzu nad leżącą przed nim kartką.

– Teraz powiedz mi, proszę, kto cię zatrudnia? Dla kogo zbierałeś informacje o jednostce?

– Dla nikogo. Ta jednostka... mnie nie interesuje. Naprawdę.

– To co tam robiłeś z lornetką?

– Obserwowałem ptaki.

Śledczy wypuszcza z ręki długopis i odchyła się na oparcie krzesła. Uśmiecha się.

– Chcesz się czegoś napić, słowiku?

– Chętnie.

– To przestań kombinować. – Opiera się naraz o biurko. Uśmiech znika mu z twarzy.

– Ja nie...

– Odkąd to interesujecie się ptakami?

– Ja nie jestem wy. Jestem pojedynczym człowiekiem.

– Okay. To wyjaśnij, proszę, co ci daje obserwowanie ptaków. Czemu to służy?

– Nie wiem. Trudno to wyjaśnić.

– Będziesz musiał wyjaśnić, jeśli chcesz stąd wyjść.

– Wydaje mi się... Wydaje mi się, że dobrze jest obserwować ptaki, żeby nie chodzić wiecznie ze wzrokiem wbitym w ziemię. Nie żyć przez cały czas swoim małym życiem. Podnieść czasem głowę do góry.

– Super. Podniosłeś więc głowę, ujrzałeś jednostkę wojskową i co dalej?

Anton unosi głowę znad maszyny do pisania. Ktoś stuka do drzwi i nie jest to delikatne, znajome pukanie Katii.

– Tak!?! – mówi, nie otwierając, i słyszy za drzwiami błagalny głos Nikity:

– Anton, rozumiem, że jesteś zajęty, i jestem ostatnią osobą, która chciałaby ci przeszkadzać, ale za pozwoleniem, potrzebna mi twoja profesjonalna pomoc, żeby... no wiesz, dostać się do domu.

Domy na osiedlu Źródło Dumy nie mają klamek po zewnętrznej stronie drzwi. Oznacza to, że zamykają się od razu, jak tylko się je zatrzaśnie. I ktoś, kto wychodzi na dwór, a ze względu na starszy wiek zapomni o kluczu, nie może wrócić do środka. Dlatego o każdej porze dnia i roku istnieje niesłabnący popyt na usługi ślusarza Antona, który przychodzi i odprawia swoje czary-mary.

Po drodze Nikita wyjaśnia, że zapomniał klucza, bo był pogrążony w rozmyślaniach o dwóch nowych scenariuszach, które chce zaproponować wielkiemu Michałkowowi. Anton litościwie przytakuje. Słyszał już mniej przekonujące wymówki. Kiedy docierają na miejsce, Nikita osuwa się nagle na szorstką wycieraczkę na progu, opiera plecami o drzwi i pyta z westchnieniem:

– Może to ma znaczenie symboliczne?

– Co takiego? – pyta Anton z irytacją.

– Te drzwi, które ciągle się przed nami zatrzaśkują – upiera się Nikita.

– Może usiłują dać nam do zrozumienia, że to nie nasze miejsce?

– Uwierz mi – mówi Anton i pochyła się, żeby włożyć drut do zamka

– zajmuję się drzwiami od czterdziestu lat i jeszcze nie spotkałem takich, które by się starały dać mi coś do zrozumienia.

– Zaczekaj. – Nikita go zatrzymuje. – Musisz mnie przez chwilę wysłuchać.

– No, co takiego? – Anton wzdycha i siada obok na ziemi. – Mów w końcu.

– Jesteśmy tu od dwóch lat – zaczyna Nikita. – I nikt nas nie zauważa.

Władze miejskie nie postawiły nawet ławek na naszym osiedlu. Nie mówiąc o tym, że nie zapewniają nam żadnej kultury. Nikogo nie interesuje moja wiedza. Pisałem do wszystkich szkół filmowych. Jest jedna w Dolinie, jedna na Górze i jedna nad Jeziorem. Dołączyłem swój życiorys. Ile osób w tym kraju może pochwalić się tym, że osobiście współpracowały z wielkim Michałkowem? Nie dostałem ani jednej odpowiedzi, ani jednej! A najgorzej jest z kobietami. Myślałem, że po przyjeździe tutaj znajdę sobie kogoś, bratnią duszę. Ale kiedy idę do miasta się rozejrzeć, wszystkie, które spotykam, noszą stroje religijne, a jeśli się do nich odezwę, przechodzą na drugą stronę, jakbym miał szkarlatynę. Wiesz, w mieście jest miejsce, które nazywają kolonią artystów. Poszedłem tam poszukać sobie

jakiejś artystki. Kobiety, która żyje namiętnie, ale też obserwuje swoje życie trochę z boku. I co zobaczyłem? Wszystkie galerie zamknięte na kłódkę, a w domach kolonii artystów gnieźdzą się koty. Powinni to nazwać kolonią kotów. Chciałem zostawić samotność tam, w Rosji, rozumiesz, a ona bez mojej wiedzy wsiadła do samolotu ze mną, a najgorsze, że...

– Powiedziałeś już „najgorsze” o kobietach – przerywa Anton. – Nie może być dwa razy coś najgorszego.

– No dobrze – poddaje się Nikita. – Nie najgorsze. Równie okropne jest to, że od dwóch lat nikt tu nie umarł. Śmierć to przynajmniej jakaś zmiana. Śmierć to pogrzeb. Wzruszenie. Zalewające nas wspomnienia. Źródło inspiracji...

– Chyba że sam umarłeś – wyrywa się Antonowi.

– A... no tak... Faktycznie... – mówi Nikita z wahaniem, a Anton wykorzystuje je, by energicznie chwycić go za ramiona i potrząsnąć ze słowami:

– Nikita, masz misję. Nie przyjechałeś tu bez powodu. Musisz dać tej społeczności coś, czego jej brakuje. Coś, co tylko ty, który pracowałeś tak blisko z wielkim reżyserem filmowym, możesz ludziom dać. Co z tego, że to trochę trwa? Prawdziwy artysta nie załamuje się, gdy napotyka przeciwności, prawda?

– Jasne.

– Jesteś prawdziwym artystą, tak?

– Naturalnie... jasne... – przytakuje Nikita i policzki różowieją mu z zadowolenia.

– To pozwól mi otworzyć drzwi, a ty wejdiesz do domu i zabierzesz się do roboty, dobrze?

– Dobrze.

Nikita wstaje i gdy drzwi są już otwarte, chwytą Antona w objęcia, trochę za mocno, ze słowami:

– Dziękuję ci, dziękuję, bardzo mi pomogłeś.

– To część moich usług – mruczy Anton, trzymając ręce opuszczone wzdłuż ciała.

Po drodze do domu odkrywa, że poprzez uścisk Niki-ta przekazał mu drobną cząstkę swojego zwątpienia. Na progu otrząsa się kilkakrotnie, by się go pozbyć. Ale jego atomy mimo wszystko do niego przylegają.

Po wejściu do domu odkrywa, że Katia poszła spać, nie czekając na niego. To twoja jedyna wada jako żony, powtarza jej z uśmiechem, kładziesz się za wcześnie i wstajesz za późno. Ale teraz nie ma ochoty się uśmiechać. Przeciwnie. Coś z każdą chwilą w nim poważnieje, utwardza się powoli coraz bardziej, i Anton zaczyna się bać, że lód znowu zacznie pękać mu pod stopami. Prace nad budową klubu przerwano kilka dni temu i narzędzia leżą porzucone, bezpańskie. Żołnierze, którzy przyjechali raz, mogą pojawić się znowu. A za kolejnym razem przyjdą po niego. Zabiorą go. Do tego leki, które bierze na dolegliwości intymne, nie

pomagają. Zwyczajnie nie pomagają. Za każdym razem podczas wieczornej przechadzki Anton patrzy na innych mężczyzn idących obok i mówi sobie: oni to robią, a ja nie. Szpilman to robi, Gruszkow to robi i Szkolnik to robi. Widać to po ich chodzie, a jeszcze bardziej po lekkim rozstawieniu nóg, gdy przystają, by ze sobą pogawędzić – można zobaczyć, że robili to ze swoimi żonami dosłownie tuż przed wyjściem z domu. Nie ma co do tego wątpliwości.

Zdrada własnego ciała jest cięższa do zniesienia niż zdrada kobiety, myśli i dzwoni do swego jedyne syna. Rozmowy z Nowosybirskiem są bardzo drogie i nie mogą sobie na nie pozwolić, ale on musi, zwyczajnie musi, usłyszeć teraz głos stamtąd.

Jego jedyny syn jest ojcem. Ojciec Nikołaj. Przełożony największego kościoła w Nowosybirsku. Kiedyś miał niewielki, skromny kościółek, ale po upadku komunizmu tłumy osieroconych ludzi odkryły na nowo Jezusa, i Nikołaj był zmuszony przenieść się do nowego budynku, by sprostać zapotrzebowaniu. To nie do wiary, tato, pisze w listach. Takiego wybuchu wiary chrześcijańskiej nie znaleźmy od czasów imperium rzymskiego, kościoły, które zamieniono na kluby oficerskie, są zamieniane z powrotem na kościoły, w każdym domu, do którego wchodzisz, wiszą ikony z Jezusem i Marią. Ludzie mogą w końcu przyznać na głos, że potrzebują sensu, znaczenia, a nie tylko posłuchu, że są samotni i potrzebują otuchy, którą oferuje religia.

Jego syn formułuje swoje listy jak kazania. To doprowadza Antona do szału. Nie rozumiem, skąd wziął mi się taki syn bez poczucia humoru, skarży się, rozmawiając z Katią, gdy kończy czytać. A potem czyta po raz drugi, żeby odszukać serdeczniejsze słowa.

W domu syna odzywa się automatyczna sekretarka. Odkąd stał się sławny, myśli Anton, nie można się do niego dodzwonić. Odkąd troszczy się o ubogich i pokornych, stracił zainteresowanie bliskimi.

Może i lepiej, że nie ma go w domu, pociesza się Anton. Przecież gdyby odebrał telefon, na pewno zaczęłyby mi prawić kazanie. Oskarżać mnie o wszystkie siedem grzechów głównych, dodając do nich jeszcze kilka. Oryginalnych. Swoich własnych. Jak to, że porzuciłem ojczyznę. I to, że żyję z kobietą bez ślubu. I że w ogóle zawsze pozwalałem kobietom zawracać się z dobrej drogi. (I tylko prawdziwego grzechu, grzechu porzucenia go, gdy był w wieku najbardziej podatnym na zranienie, nie wymienia. O tym nie wspomina nigdy).

Podchodzi do maszyny do pisania, wrywa kartkę z mową pogrzebową, którą napisał dla siebie samego, przekłada ją na drugą stronę i pisze nową mowę. Lżejszą. Dla Nikity. Kiedy kończy, zaczyna chodzić po pokoju po przekątnej, tam i z powrotem, od ściany do ściany, a na koniec zatrzymuje się przy telefonie i próbuje, mimo wszystko, zadzwonić jeszcze raz do Nowosybirska.

– Mirit? – Ben Cuk zwraca się do sekretarki dowódcy jednostki, która

odbiera telefon pod bezpośrednim numerem, który zna tylko on.

– Sagit – poprawia kobieta.

– Mogę mówić z Szoszo?

– Z pułkownikiem Chamielem? – dziwi się sekretarka. – Odszedł rok temu.

Do sztabu głównego.

– A Czompi, oficer informacyjny?

– Od dawna jest w cywilu.

– Kipi? Albo... Chuszchusz?

– Nie znam ich. Kim pan właściwie jest?

– Major Mosze Ben Cuk – stara się włąć w swój głos nieco pewności siebie.

– Niedawno byłem starszym rangą oficerem w tej jednostce, i mam pilną sprawę.

– Proszę powiedzieć, o co chodzi, to pana przełączę – proponuje sekretarka, z wyraźnym odcieniem niecierpliwości.

Przedstawia jej sprawę w ogólnych zarysach, a ona łączy go z głównym oficerem bezpieczeństwa.

Podczas gdy tak czeka, w tle rozlega się muzyka, to się akurat nie zmieniło. Ta sama mechanicznie radosna melodyjka. Wyobraża sobie, jak rozmowa leci przed siebie, pokonuje tunele, komórki, korytarze i drzwi z szyfrowymi zamkami, aż po raz ostatni nurkuje w dół, do siedziby oficera bezpieczeństwa. W tej jednostce im ktoś głębiej znajduje się pod ziemią, tym wyższy ma status.

– Witam.

(Ach, to poczucie własnej ważności, przelatuje Ben Cukowi przez myśl, czy ja też kiedyś byłem taki?)

– Dzień dobry – odpowiada. – Tu major rezerwy Mosze Ben Cuk.

Zapada dłuższa cisza. Odnosi wrażenie, że w tym czasie rozmówca usiłuje go sobie przypomnieć.

– Kto taki? – mruczy na koniec oficer, a w tle Ben Cuk słyszy klikanie myszki komputerowej.

– Major Mosze Ben Cuk – powtarza i gdy znów zapada cisza, z wahaniem rozpoczyna relacjonować sprawę Naima.

– Chwileczkę – oficer przerywa mu w połowie. – Znam tę sprawę. Ale z całym szacunkiem, nie mogę o tym rozmawiać na oficjalnej linii. Mogę powiedzieć tylko, że chodzi o niezwykle poważne podejrzenie o szpiegostwo i działanie na szkodę interesów bezpieczeństwa państwa.

– Ale on tylko...

– Poza tym – oficer znowu mu przerywa – kto był taki mądry i postanowił zbudować tę mykwę akurat tam? To naruszenie zasad bezpieczeństwa pierwszego stopnia.

– Burmistrz Awraham Danino polecił mi...

– Powiedz temu Daninowi, żeby przesunął tę swoją cholerną mykwę

pięćdziesiąt metrów na lewo.

– Przesunąć? – powtarza Ben Cuk z przestachem. – Teraz?! Wie pan, ile w nią zainwestowaliśmy? Fundamenty. Zbrojenie. Wie pan, ile będzie kosztować przesunięcie? I ile to potrwa?

– Wiesz, ile zainwestowaliśmy w opracowanie systemu rakiet „Lewi”, zanim go uziemiono? – rechocze oficer. – Nic na to nie poradzę. Za błędy trzeba płacić.

– Nie rozumie pan... – Ton Ben Cuka staje się błagalny. – Od tej mykwy bardzo wiele zależy. Proszę spróbować pomyśleć o innym rozwiązaniu.

– Daj mi sprawdzić kilka rzeczy – mówi oficer i klika znowu myszką komputerową. – Oddzwonię.

– Kiedy?

– Jutro, najdalej pojutrze.

Oddzwania dopiero po dwóch tygodniach, ale nie przeprasza. Przeciwnie. Narzeka, że ma na głowie znacznie ważniejsze sprawy niż „ta wasza mykwa”, a mimo to...

– Jeśli upieracie się, że budynek musi powstać akurat w tym miejscu – mówi – weźcie robotników, z którymi nie będzie problemu z punktu widzenia bezpieczeństwa, a ja ich sprawdzę. Jeśli okażą się czyści, będziecie mogli kontynuować prace. Tylko musicie się zobowiązać do umieszczenia w budżecie także muru.

– Muru?

– Zasłaniającego widok.

– Ale...

– Próbuję pójść wam na rękę, a ty się targujesz?

Nikita nie umarł. Mimo wspaniałej mowy pogrzebowej, którą napisał dla niego Anton, pozostał przy życiu. Tak więc oboje życzą mu długiego zdrowia i starają się przyspieszyć kroku, aby nie okazało się, że muszą spędzić w jego towarzystwie cały wieczorny spacer. Ale on także przyspiesza kroku, wymija Szpilmana niosącego tranzystor, z którego dobiega transmisja meczu piłki nożnej rosyjskiej ligi, dogania ich, odrobinę zasapany, i czujnie wygląda pierwszej nadarzającej się okazji, gdy będzie mógł powiedzieć:

– A propos... to mi przypomina pewną historię z planu filmowego...

Katia i Anton milczą w nadziei, że jeśli nie dadzą mu okazji, nie będzie miał jak przejść do kolejnej anegdoty o Michałkowie, ale wówczas mijają miejsce budowy klubu, gdzie nagie pręty zbrojeniowe krzyczą o opuszczeniu, i Nikita mówi:

– A propos przerwanych w połowie projektów, to mi coś przypomina, wiecie, ile razy Michałkow rozpoczynał pracę nad *Oczami czarnymi*? Na początku był gotowy scenariusz, ale nie było pieniędzy. Potem zebrał pieniądze, ale nie mógł znaleźć odpowiednich plenerów we Włoszech. Potem znalazł plener, ale w połowie

skończyły się pieniądze. Tak to jest, przyjaciele. Robienie kina to nie sprzedawanie rondli na placu Czerwonym. Ale Michałkow jest tylko jeden, przyjaciele, a on się nie załamuje. Na koniec nie tylko ukończył film, ale dostał za niego nagrodę na festiwalu w Cannes! A Fran-cuzi znają się na kinie!

Katia mocniej przyciska ramię Antona. On wie dlaczego. Przecież wszystko zaczęło się właśnie od *Oczu czarnych*. Ten film wyświetlano w ich klubie, na białym prześcieradle z malutkim rozdarcie w lewym górnym rogu, jak w żałobnej koszuli. Chodziła na wszystkie seanse. Filmy były jedyną rzeczą, prócz grzanego wina ze szczyptą cynamonu, która pomagała jej zapomnieć, przynajmniej na dwie godziny, jak daleko znajdują się jej bliscy i jak bardzo ten sierociniec dla starców, w którym mieszkała, był w gruncie rzeczy smutny, nawet jeśli wszyscy starali się udawać wesołość.

Anton wszedł odrobinę spóźniony i usiadł na miejscu obok niej. Na widowni było wiele pustych miejsc, a on usiadł akurat tam. Pomyślała, że to niegrzeczne. Pomyślała, że Anton jest człowiekiem źle wychowanym, który nie wie, jak jeść, że jego białe mokasyny są zwyczajnie brzydkie i że flirtuje z młodymi pracownicami za każdym razem, gdy tu przychodzi, jakby nie wiedział, że jest starym głupcem, a nie ma nic śmieszniejszego niż taki głupiec. Pomyślała tak, a jednak gdy usiadł obok, przebiegł ją błyskawiczny dreszcz. Drugi dreszcz, dłuższy, poczuła, gdy jego kolano otarło się o jej kolano. Woląca uznać, że te dreszcze to ostatnie symptomy grypy, którą przeszła tydzień wcześniej, odsunęła odrobinę krzesło i usiłowała skupić się na filmie. Ale tak czy owak, pod koniec nie mogła się powstrzymać, by nie zerknąć na niego z ukosa.

Wtedy zobaczyła, że płacze.

Płacz tak bardzo nie pasował do obrazu Antona, jaki stworzyła sobie w głowie, że natychmiast uznała to za jakiś problem medyczny. Zapalenie spojówek. Albo podrażniony gruczoł łzowy.

Po zakończeniu filmu nieliczni widzowie wstali, by wrócić do swoich pokojów, tylko oni pozostali, patrząc na napisy końcowe.

– W gruncie rzeczy – powiedział nagle, nie patrząc na nią – wszystkie filmy Michałkova mówią o tym samym.

– Czyli o czym? – zapytała bez przekonania, nie odwracając się nawet w jego stronę.

– O tragicznej i wspaniałej mocy miłości – odrzekł Anton. – O tym, jak może przenosić góry i burzyć mosty. Jak oślepia ludzi, a jednocześnie otwiera im oczy. I w *Urdze*, i w *Spalonych słońcem*, i także w tym filmie. Jego bohaterów trawi gorączka miłości. I mężczyźni, i kobiety. U niego miłość to chroniczna choroba. Ale też lekarstwo.

– To bardzo ładne, co pan powiedział – zdumiała się po raz pierwszy czymś, co miało zdumiewać ją jeszcze wielokrotnie: jego umiejętnością wypowiedzenia się,

jakby pisał słowa w głowie i pięknie komponował wypowiedzi, zanim wyjdą z jego ust.

Pojawił się ostatni napis, z nazwiskiem reżysera. Wiedziała, że za chwilę nie będą mieli wymówki, by siedzieć dłużej.

– Widziałam, że pan płakał – powiedziała, wciąż nie patrząc w jego stronę. Bezpośredni kontakt ich oczu, obawiała się, sprawi, że ta chwila rozpadnie się na drobne kawałeczki.

– Ech – machnął lekceważąco dłonią – to tylko zapalenie spojówek.

– Tak pomyślałam – zgodziła się.

Doleciał do niej zapach prania. Gęsty i mdlący. W nowym skrzydle budynku, nieukończonym, wciąż rozlegał się dźwięk pracujących wiertarek i stłumiony warkot docierał do ich uszu. Taśma zatrzymała się ze stuknięciem i film zaczął przewijać się do tyłu. Nie ruszyła się z miejsca. On też się nie ruszył. Coś, co rozsunęło się między nimi, było tak delikatne – oboje obawiali się, że jakiegokolwiek poruszenie...

– Dlaczego właściwie kłamię? – Odwrócił się do niej nagle. – Jesteśmy starzy. Wolno nam mówić prawdę czy nie?

– Wolno, ale nie musimy – odparła.

I natychmiast znenawidziła pewną pełną zahamowań kobietę, która w niej żyje i niekiedy przemawia jej ustami.

– Wcale nie mam zapalenia spojówek – powiedział. – Płakałem, bo pomyślałem, że chciałbym poczuć tę siłę, tę burzę chociaż jeszcze jeden raz przed końcowym przystankiem. I nie jestem pewien... Nie jestem pewien, czy to się stanie.

– Na co narzekasz? – wyrwały jej się słowa prawdy. – Przynajmniej czuleś to jeden raz. Są tacy, co nawet tego nie mogą o sobie powiedzieć. Są tacy, co myślą, że takie rzeczy przytrafiają się tylko gwiazdom filmowym.

– Wszyscy jesteśmy gwiazdami kina, Katiu – powiedział, patrząc jej prosto w oczy, a jego twarz była skupiona i poważna, jakby działo się to podczas aktu miłosnego, jakby teraz znajdował się wewnątrz niej. – Wszyscy jesteśmy gwiazdami w filmie, który ktoś robi o naszym życiu!

Parsknęła śmiechem. I natychmiast przeprosiła, bo nie chciała, by pomyślał, że z niego kpi. Po prostu jego twarz, taka... Roześmiała się znowu. On dołączył do niej, nieurażony, i wskazał ręką na ekran:

– To wina tego filmu. Miał na mnie zbyt silny wpływ. Wiesz, powinno się wprowadzić ograniczenia dla widzów powyżej sześćdziesiątki. Młodszy ludzie jeszcze potrafią zapanować nad emocjami. Dlaczego zawsze wprowadza się ograniczenia poniżej pewnego wieku, Katiu? Powinno być na odwrót!

Jeszcze tego samego wieczoru zaprosiła go do swego pokoju, a on ją gładził, przytulał i całował, ale nie chciał się z nią kochać. To dla niego za wcześnie,

powiedział, a ona myślała to, co będzie myśleć jeszcze wiele razy później: że ten mężczyzna jest pełen niespodzianek niczym skrzynia pełna skarbów, i zakochała się w nim ostatecznie z tak wielką siłą, że zniosła odkrycie, iż nie jest żydem, to że z całym swoim radosnym śmiechem zapada czasami, bez ostrzeżenia, w najczarniejszą gorycz, która może trwać nawet tygodnie, a także odkrycie, że z całą swoją inteligencją i nieustającym stukotem maszyny do pisania w gruncie rzeczy był tylko prostym ślusarzem, to że lubi dodawać drobno posiekany czosnek do każdej potrawy, oraz odkrycie prawdziwej przyczyny, dla której nie kochał się z nią tamtej pierwszej nocy.

Teraz, w drodze do domu, mijają pięknego konia o czekoladowej sierści. Nikita znalazł sobie innych, których może zasypywać swymi anegdotami, i idą we dwoje, w milczeniu. Ona ze swoimi wspomnieniami, a on – kto wie z czym? Ufa mu wystarczająco, by umożliwić mu swobodę prywatnych myśli. Nagle on puszcza jej ramię i podchodzi do ogrodzenia.

– Koń, *idi siuda!* – woła. Chodź tutaj!

Koń podbiega dumnym galopem, zachwycająco piękny, a Anton wyciąga rękę przez szpary w ogrodzeniu, łaskocze włoski na jego pysku i szepcze mu coś do ucha.

Wczorajszej nocy, po kolejnej nieudanej próbie, Anton zsunął się z niej, opadł obok na wznak i powiedział:

– Dosyć tego, nie wychodzi mi. Pigułki też nie pomagają.

– Nie szkodzi – zapewniła – naprawdę to nic takiego.

I pomyślała: szkoda, że w łóżku opuszcza go całkiem poczucie humoru, przecież to wszystko jest też odrobinę zabawne.

– To okropne – powiedział. – Nie mogę tak dłużej. Nie mogę tak ciebie widzieć.

– Mnie? – zdziwiła się.

– Ciebie – powtórzył uparcie. – Taka kobieta jak ty... U szczytu rozkwitu... Marnuje czas ze mną... Chcę, byś wiedziała, że jeśli o mnie chodzi, możesz spotykać się... z innymi. Nie mam z tym żadnego problemu. Nie chcę, byś odmawiała sobie przyjemności. Nie ma żadnego powodu. Myślałem, że tu, w Izraelu... nowy początek... ale nie mogę... więc niech ktoś inny...

– Jaki ktoś inny? Skąd znowu ktoś inny? – Roześmiała się otwarcie.

– Znalazłoby się wielu, którzy...

– Kto? – przerwała mu. – Anton, to miłe, że tak myślisz. Bardzo mi pochlebiasz. Ale jestem starszą panią.

– Jestem pewien, że Nikita...

– Anton, zdumiewasz mnie. Myślisz, że spotykam się od razu z każdym gadułą? Co z tego, że on by chciał, to nie wystarczy. Ja też muszę chcieć. A ja nie chcę nikogo innego prócz ciebie.

– Nie wierzę. Chcesz powiedzieć, że nigdy nie przebiegła ci przez głowę myśl o kimś z naszego osiedla? To niemożliwe.

– Masz rację – rzekła, spuszczając teatralnie oczy, a potem zamilkła na dłuższą, romantyczną chwilę, po jakiej na ogół następuje wyznanie.

Poczuła, jak Antona obok niej ogarnia lęk. Jak wewnętrznie się garbi. Przeciągnęła milczenie jeszcze trochę dla własnej przyjemności.

– To koń – powiedziała ostatecznie.

– To... co takiego?

– Muszę ci wyznać, że co jakiś czas nachodzą mnie myśli o tym koniu.

– Jakim koniu?

– Arabie. Tym obok ścieżki. Ma taki piękny zad. A sam wiesz, jak lubię u mężczyzny ładny tyłek.

Anton wyprostował się na łóżku, zajrzał w jej rozbawione oczy – i także roześmiał się na głos.

Kiedy śmiał się już dłuższą chwilę (Anton wrócił! – pomyślała w duchu), powiedział:

– Trzeba pogadać z nim jutro. Zobaczymy, co on na to.

– No i co mu powiedziałaś? – pyta Antona, kiedy odszedł od ogrodzenia padoku i z powrotem wziął ją pod rękę.

– Powiedziałem, żeby nie ważył się do ciebie zbliżyć, a jeśli spróbuje... obetnę mu jaja i usmażę je na kolację na patelni... – roześmiał się Anton. Ona także.

Wysadzana topolami ścieżka kończy się i zaczyna się zejście w stronę osiedla. Anton zwalnia. Wie, że ze względu na problemy z kolanami trudniej jej iść w dół. Kiedyś, gdy rozwiązały jej się sznurowadła, dokładnie w tym miejscu, przykląkł i zawiązał je bez słowa. Żeby nie musiała się schylać.

Pod koniec zejścia na dół, po lewej stronie, sterczą pręty zbrojeniowe budynku klubu. Na ich widok Katia czuje ukłucie smutku, ze względu na Antona. Tak bardzo chciał, by ten klub wreszcie powstał. A tu kolejne rozczarowanie. Czuje także drgnienie nie-pokoju, patrząc na niego, podczas gdy idą powoli naprzód: ile takich rozczarowań jeszcze zniesie, zanim znowu zapadnie się w jedną ze swoich czarnych depresji?

– Pewnie zabrakło im pieniędzy – mówi Anton ponuro. – Zaczęli budowę i okazało się, że kosztuje więcej, niż sądzili. Albo robotnicy zażądali podwyżki. Ale chwilę – w jego krokach znać pączkującą nadzieję – mam pomysł! Dlaczego my, tutejsi mężczyźni, nie mielibyśmy dokończyć budowy własnoręcznie? Przecież Szpilman był tam budowląncem. A siłę w rękach mam także ja, Szkolnik i Gruszkow! W czym problem? Jak wrócimy, od razu do nich napiszę. Jak to, do kogo? Do urzędu miasta! Nie sądzisz, że ucieszą się z tego pomysłu?!

– Jak to, brak zezwolenia? – Danino jest wściekły.

Ben Cuk usiłuje zachować spokój, ale zaczyna odczuwać charakterystyczny, tępy ból w czaszce, poprzedzający moment utraty panowania nad sobą.

– Żaden robotnik, którego wyślę im do kontroli, nie przejdzie jej – wyjaśnia głosem, który drży od wysiłku zapanowania nad drżeniem.

– Na jakiej podstawie? Z jakiego paragrafu? – oburza się Danino.

– Na każdego znajdzie się inny paragraf – mówi Ben Cuk i wyjaśnia: – Jeden palił haszysz, inny spotykał się z arabską dziewczyną, kolejny jest ukrytym homoseksualistą, ojciec tamtego siedział za napad na bank, ojciec innego urodził się w Syrii...

– Co oni mają przeciwko Syryjczykom? – Danino oburza się ze względu na rodzinę swojej matki.

Żydzi z Damaszku, podkreśla z dumą, to jedna z najbardziej wartościowych imigracji, jakie przybyły do Izraela. Pracowici. Rzetelni. Ludzie czynu. Tamci z Halabu to całkiem inna para kaloszy...

– Niech pan da spokój – przekonuje Ben Cuk. – Wszystko to bzdury. Armia zwyczajnie nie życzy sobie, by ta mykwa tam stała, dlatego usiłują umęczyć nas śledztwem, aż sami zrezygnujemy.

Danino milczy. Rozważa jego słowa.

– A może – kontynuuje ostrożnie Ben Cuk – należy uznać to wszystko za znak... znak od Boga... Przecież cadyk Nataniel Hanachba od początku sprzeciwiał się budowie w tym rejonie. Ostrzegał we śnie, że spadnie na nas klątwa. Może to właśnie klątwa, o której mówił... Rozumie pan?

Przerażające spojrzenie, jakie posyła mu Danino, sprawia, że Ben Cuk pojmuje swoją pomyłkę (prawdę mówiąc, wiedział już, że popełnia błąd, na ułamek sekundy przed wypowiedzeniem tych słów, ale czasem człowiek cwałuje w stronę urwiska z szeroko otwartymi oczami).

Żona Danina długo nie mogła zająć w ciążę. Po latach starań, gdy zawiodły wszystkie terapie, zaczęli modlić się na grobach cadyków, licznie rozsianych po mieście i okolicy. Z początku modlili się co tydzień na innym grobie, a kiedy to także nie przyniosło rezultatów, żona uznała, że powinni skupić wysiłki na jednym cadyku, takim, któremu przypisuje się najwięcej udowodnionych sukcesów. Nagle okazało się, że Danino w każdy czwartek zostaje zaciągnięty do tłumnie odwiedzanego miejsca z ogromnym parkingiem, gdzie musi znosić współczujące i plotkarskie spojrzenia całego miasta.

Kiedy zawiódł także cadyk cudotwórca, żona zaczęła utrzymywać, że to wszystko przez niego, przez to, że jest niedowiarkiem. Jeśli nie wierzysz w najgłębszych pokładach duszy, że cadycy to ścieżka komunikacji łącząca nas ze światem wyższym... jaki sens mają wszystkie te karteczki i szmatki przywiązywane do gałęzi?

– W porządku – uznał wtedy – możliwe, że masz rację.

I ze wszystkich sił starał się temu poddać, skupić i wyobrazić sobie w duchu nowo narodzone dziecko, gdy kładł się na grobie, przykładając usta do miejsca, gdzie rzekomo znajdowało się ucho cadyka. Dwa dni po takiej modlitwie, gdy poczuł, że udało mu się popłynąć odrobinę z nurtem rzeki wiary, gdy żadna fala nie wyrzuciła go natychmiast na brzeg wątpliwości, jego żona zaszła w ciążę.

Z medycznego punktu widzenia – stał się cud. Ni mniej, ni więcej. Z pełnym wdzięczności zdumieniem i entuzjazmem przeszli oboje dziewięć miesięcy ciąży, a gdy urodził się synek, ich zachwyty wzrosły: jak to możliwe, że takim ludziom jak oni urodziło się tak śliczne dziecko? Piękne jak anioł. Jak królewicz. Jak dziewczynka. Wszystkie imiona, jakie zamierzali mu nadać – Jochanan po dziadku, Icchak po pradziadku, Uziel po nauczycielu, którzy uczył ich oboje Biblii w liceum – wydawały się jego żonie nieodpowiednie i prosiła, by zaczekać z imieniem do obrzezania lub do chwili, gdy z nieba rozlegnie się boski głos i da im jakąś wskazówkę.

Zanim to nastąpiło, ponieważ wydawało mu się trochę dziwne mówić o dziecku, które budziło w nim tyle ciepłych uczuć, „on”, Danino nazywał go w duchu *januka*, Malec. Gdzie są wilgotne chusteczki Malca? Ile Malec zjadł? Czy Malec uśmiechnął się do nas, czy nam się wydaje?

Malec zmarł po dwóch dniach. Danino trzymał go na rękach. Nagle szybko wzrosła mu gorączka i czym prędzej pojechali z nim do szpitala, ale dotarli tam za późno. Na jego malutkim nagrobku zgodzili się umieścić napis „Malec Danino”, ale to była ostatnia rzecz, co do której się zgodzili.

Podczas nieoficjalnej szuiwy goście siedzieli i milczeli, a żona Danina nie przestawała mówić. Nieszczęście, jakie ich spotkało, mówiła, to kara od Najwyższego za to, że Awraham nazwał nowo narodzone dziecko Malcem. Przecież był kiedyś inny *januka*, przypomniała, synek cadyka zwanego Hamnuna Saba, i także tamten chłopczyk – który zadziwił swą bystrością i rozumem uczniów Szymona Bar Jochaja – zmarł przedwcześnie. Jej mąż w swojej ignorancji obraził Królestwo Niebieskie, mówiła, zwracając się do spuszczonej głów żałobników. Powtarzała wciąż to twierdzenie za każdym razem, gdy pojawiała się nowa fala gości. A po wyjściu ostatniego, gdy w salonie zostały tylko puste plastikowe krzesła, wstała z miejsca, poleciła Daninowi, by odniósł naczynia do zlewu, i nie dodając nic, co by złagodziło wcześniejsze twarde słowa, poszła do swojego pokoju.

Jako najstarszy z ośmiorga rodzeństwa, Danino był skłonny brać na siebie odpowiedzialność za wszystko – a skłonność ta doskonale współgrała z tendencją jego żony obwiniania go o wszystko. Ale nie tym razem. Tej winy nie był gotów wziąć na siebie. Nie przekonywała go historia o obrażeniu Królestwa Niebieskiego. Jeśli już, to ofiara Malca stanowiła dla niego dowód: nie istnieje żadne Królestwo Niebieskie. A nawet jeśli istnieje, jego okrucieństwo jest nieludzko arbitralne.

Przestał więc studiować codzienną stronicę z Gemary, modlić się i chodzić do synagogi i zamiast tego pogrążył się w szeroko zakrojonej działalności publicznej: zakładał stowarzyszenia, zwoływał konferencje, zawiązywał sojusze.

Dwa lata później kandydował do rady miasta jako kandydat bezpartyjny. Na plakatach wyborczych, nad zdjęciem jego twarzy w zbliżeniu, ukazującym piękne błyszczące oczy, widniało hasło: „Awraham Danino, lider, któremu możecie spojrzeć w oczy”. Zwyciężył miażdżącą większością głosów i zajął stanowisko burmistrza, co umożliwiło mu coraz dłuższe przebywanie poza domem i przesądziło o ostatecznym oddaleniu między małżonkami. Nie rozwiódł się z żoną, broń Boże. To nie byłoby dobrze widziane przez wyborców. Ale nie zapomniał jej zarzutów, i za każdym razem, gdy stał przed drzwiami mieszkania, czuł tępe ukłucie sprzeciwu, wydłużał nieco ten moment, i dopiero po chwili kładł rękę na zasuwie i wchodził do środka, z sercem ciężkim jak jego kroki.

Jak na złość, właśnie w okresie jego urzędowania przemysł wokół kultu cadyków rozkwitł na wyjątkową skalę. Wydawało się, że ze wszystkich zakątków kraju wznosiło się wielką falą błaganie o cuda. „Odkrywano” coraz więcej świętych grobów, do miasta przybywało coraz więcej autokarów pełnych ludzi poszukujących remedium na samotność, bezpłodność lub gorycz swego losu w ogóle. Powstawały hostele oferujące przybyszom noclegi, firmy cateringowe dowożące jedzenie do hosteli, cukiernie dostarczające słodkie wypieki firmom cateringowym.

Danino wspierał ten rozkwit we wszystkim, co było konieczne, lecz nigdy nie zgodził się, pod żadnym pozorem, ugiąć kolana przed czymś, co w jego oczach było, prawdę powiedziawszy, bałwochwalstwem.

– Posłuchaj uważnie – mówi teraz do Ben Cuka. – Mykwa na Syberii nigdzie się nie ruszy, zrozumiano? Nie obchodzi mnie ani wojsko, ani Nataniel Hanachba. Nie mamy czasu na te wszystkie bzdury. Widzisz ten list? – Przy tych słowach wymachuje błękitną kopertą poczty lotniczej, którą podniósł z biurka. – To od Jeremiaha Mendelstruma. Przyjeżdża do miasta na Festiwal Klarnetu. W sierpniu. Chce obejrzeć mykwę upamiętniającą imię jego żony. Wiesz, co się stanie, jeśli nie będzie gotowa na czas? Ten człowiek zażąda pieniędzy z powrotem. A z czyjej kieszeni je weźmiemy? Z twojej?

– Co z zezwoleniem od wojska? – upiera się Ben Cuk.

– Podrzucić mi jakieś rozwiązanie. – Danino wpycha dłoń w spodnie, odchyła się na oparcie krzesła. – Za to ci płacę. Po to sprowadziłem cię do urzędu miasta, dałem ci odpowiedzialność, traktowałem jak syna. Nie po to, żebyś siedział, wyplakiwał się i czekał na Mesjasza. Chcesz pomysłu? Poślij im kogoś, kogo muszą zatwierdzić, bo nie będą mieli wyboru, kogoś, kto przeszedł wszystkie te ich kontrole, na przykład kogoś, kto służył kiedyś w tej jednostce.

Miasto Cadyków to miasto znużone codziennym trudem. Ale nocami

w głowach mędrców studiujących święte pisma otwierają się kominy i litery ksiąg Gemary ulatują przez nie do rozgwieżdżonego nieba, wznosząc się coraz wyżej drogami łączącymi światy dolne i górne.

Czasami, gdy litery ulatują do nieba, przez pomyłkę wychwytyją je anteny tajnej jednostki i wojskowi tłumacze są zmuszeni wyłuskiwać je ostrożnie, jedną po drugiej, z arabskich komunikatów, by móc wypełnić swoje zadanie i zdecydować, czy rozmowy nieprzyjacielskich żołnierzy czekających nocą w zasadzce mówią o zbliżającej się wojnie, czy też – znowu – tylko o tęsknocie.

Witajcie, drodzy przyjaciele! Tak energicznie zaczyna pan Mendelstrum swój drugi list, choć nie przechodzi bezpośrednio do kwestii mykwy, jak można by się spodziewać, lecz najpierw relacjonuje całą historię z klarnetem – z lekcjami gry na klarnecie, dokładniej rzecz ujmując, które ostatnio rozpoczął. To znaczy grał na klarnecie jeszcze w dzieciństwie, a jako młody chłopiec zdradzał nawet wybitny talent, ale nurt życia uniósł go daleko od tego hobby, któremu słowo hobby nie oddaje sprawiedliwości, bo przecież klarnet to muzyka żydowskiej duszy i nie można grać na tym instrumencie tylko za pomocą warg i palców, nie tchnąc w niego całego smutku, radości i wiary, jakie człowiek nosi w sercu. Tak wyjaśniał zawsze swej błogosławionej pamięci żonie, gdy namawiała go, by wrócił do gry. Zrozum, mówił, klarnet to święty instrument, lepiej zaczekać, aż będę mógł skupić się na nim naprawdę, niż go bezcześcić. To wymówki, twierdziła, wszystko wymówki, po prostu boisz się, że nie będziesz doskonały, u ciebie nie ma stanu pośrodku, albo się w czymś wyróżniasz, albo nie jesteś tym zainteresowany. Może miała słuszność, a może w ogóle mówiła o sobie, ale faktem jest, że po pierwszej rocznicy jej śmierci, gdy gniazdo znowu opustoszało po wyjeździe dzieci i wnuków, którzy wrócili do swych odległych domów, wyjął klarnet z zakurzonego futerału i grał przez całą noc. Straszliwie co prawda fałszował, ale gra sprawiła, że zrobiło mu się błogo na sercu, i umożliwiła, po raz pierwszy, odkąd owdowiał, wzniesić się na chwilę ponad pustynię żałoby i ujrzeć położony za nią horyzont.

Następnego dnia rano poszukał w internecie – czy w Izraelu słyszeliście już o czymś takim? – żydowskich nauczycieli gry na klarnecie, znalazł nauczyciela imieniem Jona, napisał do niego pocztą elektroniczną i umówił się na pierwszą lekcję w celu odświeżenia dawnych umiejętności jeszcze tego samego dnia. Ale gdy zapukał do drzwi, otworzyła mu kobieta, a gdy zapytał o Jonę, wskazała na siebie, mówiąc, dzień dobry, to ja jestem Jona, a ty pewnie jesteś Jeremiah.

Drodzy moi przyjaciele z Miasta Cadyków! – pisze Mendelstrum. Możecie sobie wyobrazić, że natychmiast nabrałem wątpliwości, powiedziałem jej, że nie sądziłem, iż nauczyciel klarnetu jest kobietą, i gdybym wiedział... To znaczy, może to być kłopotliwe z punktu widzenia prawa żydowskiego, ona i ja, sami w jednym pomieszczeniu. Proszę się nie martwić, powiedziała, nie będziemy sami, i skinęła na mnie, bym poszedł za nią do studia, w którym znajdowały się obok siebie cztery klarnety i jeden saksofon, skrzypce i stojak na nuty, po czym wskazała na duże zdjęcie na ścianie, mówiąc: to Joe. Mój mąż. Błogosławionej pamięci. On będzie przy nas na każdej lekcji.

Włosy zjeżyły mi się na głowie, wyznaje Jeremiah, bo przecież przez całą drogę do domu Jony, na ulicy i w subwayu, a potem znowu na ulicy, on także miał silne wrażenie, że jego zmarła żona towarzyszy mu, idzie obok w swoich

niedużych bucikach, ze swoim szybkim oddechem, zachęca, by kontynuował, by szedł dalej. Bo co masz do stracenia, Jeremiahu? Także gdy wahał się, czy wejść do domu Jony, usłyszał za sobą głos żony: to w porządku, Jeremiah. Może nie jest to odpowiednie z punktu widzenia prawa religijnego, ale to całkiem jak należy z punktu widzenia Najwyższego, uwierz mi, w tej chwili jestem bliżej Niego niż ty...

Proszę, powiedziała Jona, wskazując miękki skórzany fotel, a jego nogi, zmęczone wyprawą, zdecydowały za niego. Usiadł. Głos zmarłej żony powoli odszedł w zapomnienie. Nie umilkł całkowicie, tylko oddalił się, jak dźwięk kroków. Okay, Jeremiahu, posłuchajmy, jak fałszujesz, powiedziała Jona. Muszę wiedzieć, na jakim jesteś poziomie. A on wyjął klarnet, który nie był już zakurzony, bo zadbał o to, by wypolerować go przed lekcją, i zaczął grać.

Tak zaczęła się cała sprawa, a dalszego ciągu może lepiej nie przedstawiać szczegółowo w tego rodzaju oficjalnym liście, jednak prawdę mówiąc – pisze Jeremiah – jego dzieci znajdują się daleko, poza tym zawsze były bardziej związane z matką, a wszyscy przyjaciele oddalili się z biegiem lat, i czuje, że musi opowiedzieć komuś, by nadać realność temu, co się wydarzyło, bo jeśli nie, może przez pomyłkę widzieć we wszystkim, co mu się ostatnio przytrafia, wytwory wyobraźni starego człowieka.

W pierwszych tygodniach Jona traktowała go jak surowa nauczycielka. Poprawiała jego zbyt słaby uchwyt, ganiła, gdy uznała, że nie przygotował się odpowiednio do lekcji. Przerywała raz po raz, kiedy zboczył z wytyczonej ścieżki dźwięku. Pokrzykiwała, gdy na chwilę odpadał ze skali. Co prawda nie umknęło jego uwagi, że na ich lekcje ubiera się bardzo starannie, ale zakładał, że jej elegancki ubiór i delikatny makijaż, podkreślający zieleń oczu, wypływają z wielkiego szacunku, jaki żywi wobec samej czynności gry na instrumencie, nawet tak niepewnej jak jego. Także zwyczaj przedłużania lekcji poza wyznaczoną godzinę przypisywał licznym popełnianym przez siebie błędom: dla tak skrajnego przypadku braku talentu, pokpiwał sam z siebie, godzina to za mało.

Zwrot nastąpił podczas dwunastego spotkania – liczył wszystkie lekcje, czekał na nie, zamieniły się w rytm wyznaczający całe jego życie, lekcja, przerwa, lekcja, przerwa, lekcja...

Zatrzymała go machnięciem ręki w połowie wariacji Webera. Wyjął spomiędzy warg ustnik klarnetu, a jego palce zastygły na przyciskach w oczekiwaniu na wskazówki, ale ona powiedziała z zamkniętymi oczami: zostaw. Sądził, że ma na myśli instrument, i położył go na krześle, ale ona otworzyła swoje kocie zielone oczy i powiedziała: zostaw ją, Jeremiah. Wybacz mi, że to mówię, ale... grasz jak martwy. Nie możemy kontynuować w ten sposób. Rozumiem... Rozumiem, że bardzo kochałeś swoją żonę.

Opuścił głowę i skinał, czubek jego podbródka niemal dotykał piersi.

Podnieś wzrok, poprosiła. Widzisz Joego? Wskazała na wielkie zdjęcie męża. Joe był jedyny w swoim rodzaju, powiedziała. Brzmiał w świecie swoim własnym dźwiękiem. Kiedy przyjdzie czas, opowiem ci o nim, jeśli zechcesz. Ale on nie żyje. Także twoja żona nie żyje. A ty musisz zdecydować, czy chcesz żyć. Wybacz mi, że mówię to w ten sposób, ale na klarnecie nie można grać bez pasji.

Po tych słowach położyła dłoń na jego ręce. I nie cofnęła jej przez pełną minutę. Potem pogładziła trzykrotnie jego dłoń długim, uzależniającym dotknięciem i naraz wycofała rękę – z przestachem? zdecydowanie? – i powiedziała: Teraz graj!

Tego dnia grał tak jak nigdy wcześniej: czuł, że klarnet śmieje się i płacze, jakby był prawdziwą ludzką istotą. Czuł, jak instrument wydłużał się coraz bardziej z każdym wydobywającym się dźwiękiem. Miał wrażenie, jakby dźwięki przekraczały dystans między nimi i ośmiały się uczynić to, czego jemu samemu nie przyszłoby na myśl nawet spróbować: dotknąć ją, pogłaskać, wprawić ją w drżenie.

Aby rozwiać podejrzenia – po tamtych trzech ruchach ręki, gdy pogłaskała jego dłoń – Jona nie dotknęła go więcej. Przeciwnie, odsunęła krzesło trochę dalej. Opuściła rzęsy, zasłaniając przed nim zieleń oczu. A gdy zegnali się na progu, udaremniła szansę na pożegnalny pocałunek, cofając się o krok w tył i machając na pożegnanie, szybkie, krótkie machnięcie dłoni pozostającej blisko ciała. Wydawało mu się, że zlekła się naglej bliskości, która powstała między nimi, i starała się przywrócić samej sobie równowagę. A pewnego razu, gdy przyszedł trochę za wcześnie, zobaczył, jak z błyszczącymi oczami żegna w drzwiach innego ucznia, młodszego, i zastanawiał się, czy także czasami głaszcze jego rękę, czy nie jest to taktyka, którą stosuje wobec wszystkich uczniów, by lepiej grali.

A przy tym – dochodzi teraz do sedna sprawy, mając nadzieję, że zrozumieją jego długą (liczy, iż nie nazbyt długą) dygresję, poświęconą historii klarnetu...

Na początku ostatniej lekcji poinformował Jonę, że niestety nie będzie mógł przyjść w drugim tygodniu sierpnia, gdyż planuje wybrać się do Miasta Cadyków w Ziemi Świętej, by obejrzeć nową mykwę, którą ufundował. Co ona na to? Dokładnie w tym samym tygodniu, kiedy on wybiera się do Miasta Cadyków, odbędzie się tam międzynarodowy Festiwal Klarnetu i faktycznie kilka dni wcześniej do jej skrzynki pocztowej trafiło oficjalne zaproszenie, by wzięła w nim udział. Zapraszano ją tam w minionym roku, jak również w poprzednim, lecz dotychczas zawsze odmawiała. Zniechęcała ją długa podróż. Samotna. W samolocie. Zawieszonym między ziemią a niebem. I mającym skłonność do wpadania w dziury powietrzne. Zniechęcały ją zagrożenia, jakie krył w sobie pobyt w tym kraju, który jest święty nie tylko dla żydów, lecz także dla wyznawców innych religii.

Może pani przyłączyć się do mnie i będziemy nawzajem dbać o swoje

bezpieczeństwo, zaproponował. To bardzo ładnie z pana strony, powiedziała, i rzuciła onieśmiałe spojrzenie na portret męża. Niech mi pani wybaczy, że to mówię, ale musi pani zdecydować, czy chce pani żyć, zacytował jej dawne słowa. Uśmiechnęła się, lecz poczuł, że jej wahanie jeszcze nie stopniało.

– Sama nie wiem – rozłożyła ręce. – Muszę się zastanowić. Do sierpnia zostało sporo czasu, prawda?

W kwestii czasu chce właśnie na zakończenie – za pozwoleniem swych przyjaciół w Mieście Cadyków – zająć praktyczne, a nawet bezpośrednie stanowisko. Dziwi go, że odkąd przekazał ustaloną sumę, nikt nie skontaktował się z nim, by zawiadomić go o postępach projektu. Wie doskonale od swoich kolegów, którzy przekazywali dary pieniężne na rozmaite cele w Ziemi Świętej, że nie jest to przyjęte. Przeciwnie. Są informowani o wszystkim regularnie, w uporządkowany sposób. I musi powiedzieć, że ta głucha cisza, na jaką natrafia z drugiej strony, budzi w nim obawę, by nie powiedzieć lęk: może pieniądze zostały przesłane w niewłaściwe miejsce? Może powstał jakiś problem przy budowie mykwy, który przed nim ukrywają? Chciałby wierzyć, że jego obawy są próżne, ale ucieszyłby się niezmiernie, mogąc otrzymać aktualne informacje o przebiegu prac. Tak czy owak, pragnie zauważyć, iż bardzo zależy mu na czasie, gdyż nie bierze nawet pod uwagę, że z winy Miasta Cadyków mógłby zawieść nadzieje dwóch kobiet: jego ukochanej żony i tej, która obudziła w nim ponownie chęć do życia. Spodziewa się zatem zastać po przyjeździe czynną mykwę i prosi, by za wszelką cenę nie sprawili mu zawodu.

– Rozczarowujesz mnie, słowiku – mówi oficer śledczy.

Wstaje. Obchodzi stół. Naim spina się, czując gęsią skórę na całym ciele.

Śledczy przysiadła na stole. Jego kolana znajdują się blisko twarzy Naima, za blisko, zwraca się do niego z góry na dół, a woń falafela unosi jego słowa w stronę Naima.

– Nie rozumiesz, że każdy zmarnowany przez ciebie dzień to kolejny rok w więzieniu? – mówi śledczy i naraz wyciąga rękę, gładząc go po policzku delikatnymi ruchami.

Po co on to robi? Naim znowu przechodzi dreszcz, a śledczy dodaje:

– Potrafimy pomóc komuś, kto pomaga nam. Ale ty cały czas trzymasz się swojej śmiesznej wersji, a tak nie da się iść naprzód. Rozumiesz, co do ciebie mówię?

Naim kiwa głową. Śledczy gładzi go po policzku jeszcze raz, a potem nagle chwyta go za podbródek. Mocno. Więzi jego spojrzenie w swoich sowych oczach.

– Pytam jeszcze raz: po co ci lornetka?

– Obserwowałem ptaki.

– Wiesz, co? Niech ci będzie. – Śledczy naraz puszcza podbródek Naima.

Naimowi wydaje się, że weźmie rozmach i walnie go pięścią w szczękę, ale zamiast tego śledczy wraca za biurko, ujmuje długopis i wbija czubek w leżącą przed nim kartkę.

– Jakie ptaki obserwowales? Będę notować.

– Podać panu nazwy?

– Tak.

– Ptaków?

– Tak.

– Dobrze, więc był tam kobuz. Był też sokół śniady i orlik krzykliwy.

– Pięknie, mów dalej, dlaczego przerwałeś?

– Żuraw zwyczajny... kłaskawka zwyczajna... gajówka zimowa... zięba zwyczajna...

– Poczekaj. Z-i-ę-b-a z-w-y-cz-a-j-n-a. To brzmi fascynująco. Opowiedz mi trochę o tej ziębie.

– Opowiedzieć?

– Tak, czym się wyróżnia?

– Ma szerokie skrzydła. Z białym paskiem. Po hebrajsku nazywa się *parusz*, „rozdzielony”, bo w okresie wędrówki samce i samice rozstają się na kilka tygodni. Samiec żyje wtedy samotnie.

– Fiu, fiu... Widzę, że wykułeś wszystko na pamięć. Naprawdę, superlegendę ci opracowano. A teraz na serio: kto ci zlecił obserwację jednostki? Podaj nazwiska swoich kontaktów, a nie nazwy ptaków.

– Nie znam żadnych kontaktów. Przysięgam, że tylko obserwowałem...

– Szkoda, słowiku. Nie tęsknisz za matką? Za maluchią, którą ci przyrządza w każdy piątek? Chcesz spędzić tu całe życie?

Nie zadają sobie trudu, by poinformować Naima, kto go odwiedza, mówią tylko „widzenie” i wyprowadzają go z celi. W wyobraźni widzi matkę i ojca, a przez chwilę także kobietę ze snów, długonogą, o twardym spojrzeniu, i z trudem ukrywa rozczarowanie, gdy okazuje się, że czeka na niego Ben Cuk. Czego on chce od niego akurat teraz?

Zapytać o samopoczucie.

Czuje się fatalnie, dzięki. Znęcają się nad nim, podejrzewają go bezpodstawnie i doprowadzają do obłędu, żeby przyznał się do czegoś, czego nie zrobił. Przecież Ben Cuk wie, że interesuje się ptakami. Tylko dlatego miał przy sobie lornetkę.

Ben Cuk potwierdza, że to wie, zdobył dla niego nawet numer „Skrzydeł”, to miesięcznik Towarzystwa Ornitologicznego. I kupił mu nowe wydanie przewodnika. Proszę, obie rzeczy trochę się pogniosły w torbie, ale dadzą się wyprostować. I przeprosza za ozdobne opakowanie. W sklepie to mu się wydało odpowiednie.

– Dziękuję – mówi Naim. – To naprawdę bardzo miło z pana strony. Ale jeszcze lepiej byłoby, gdyby mnie pan stąd wyciągnął.

– Staram się – przekonuje Ben Cuk. – To nie jest proste w przypadku tej jednostki. Jest bardzo... ściśle chroniona.

Teraz obaj milczą. Naim kręci się na krześle. Obecność Ben Cuka go przygnębia. Prawdę mówiąc, w wewnętrznym niepokoju tego człowieka zawsze było coś, co go przygnębiało. Ale w pomieszczeniu aresztu śledczego czeka go gorszy ciężar: samotność.

– A... co z mykwą? – pyta na koniec. Nie ma już w nim ciekawości. – Ktoś będzie kontynuował moją pracę?

– Ja – przyznaje Ben Cuk. – Poza mną w jednostce nie chcieli zatwierdzić nikogo.

– Pan? Ale pan nie umie... Przecież nie ma pan żadnego doświadczenia – dziwi się Naim.

– W kibucu... wcześniej... wiesz, w moim poprzednim życiu... pracowałem trochę przy budowach, zbudowałem nawet jedno skrzydło w zakładzie produkującym sandały. Chociaż faktycznie, mykwa to dla mnie coś nowego. Więc zasięgam rady. Czytam książki. Na razie postawiłem mur, zasłaniający widok na jednostkę. Ale jutro muszę zacząć pracę nad samym budynkiem i niektórych rzeczy jeszcze nie rozumiem. Na przykład, wysokość okien. Są jakieś przepisy w tej kwestii czy też każdy postępuje wedle swojej woli?

– Okna należy umieścić wysoko, ze wszystkich stron budynku, otwory wentylacyjne wewnątrz pomieszczeń też muszą znajdować się u góry. Żeby nikt, broń Boże, nie mógł zajrzeć z zewnątrz.

– Skoro już... To ile cel... przepraszam, ile kabin zrobiłbyś, gdybyś miał dwanaście jednostek kąpielowych?

Naim odpowiada na wszystkie pytania. Chętnie, wyczerpująco. A Ben Cuk chłonie odpowiedzi, wydobywa „mapę mykw”, którą specjalnie narysował, i zaznacza na niej rozmaite rzeczy, a gdy chowa ją z powrotem do kieszeni koszuli, czuje, że powinien powiedzieć coś wielkodusznego, by zrewanżować się Naimowi za jego dobroć, dlatego zaczyna opowiadać o pewnym cadyku, Eleazarze z Modiim, który w czasie żydowskiego powstania przebywał z Bar Kochbą w mieście Betar i był przez niego niesprawiedliwie podejrzewany – ale podczas opowieści przypomina sobie z przerażeniem zakończenie. Otóż Bar Kochba uznał Eleazara za winnego zdrady i zabił go kopnięciem. Milknie więc, a po chwili zaczyna snuć przypowieść o pszczole, ze strachu żądłacej byka, na którym przysiadła, by odpocząć – ale także ta historia rwie się i zamiera, zanim dotrze do puenty. Na koniec nie pozostaje mu nic innego, jak poklepać Naima po ramieniu ze słowami:

– Wyjdiesz stąd, wierz mi, prawda zawsze w końcu zwycięża.

– Mam nadzieję – odpowiada Naim.

– W każdym razie – Ben Cuk sam sobie nie wydaje się przekonujący – będę nadal starał się ci pomóc.

– W porządku – mówi Naim.

Trudno zdecydować, jakie zabarwienie ma jego ton: drwiące czy pełne wdzięczności.

Później wraca do swojej celi. Rozrywa ozdobne opakowanie przewodnika ornitologicznego i kładzie się blisko okna, pod kątem umożliwiającym widzenie maleńkiego skrawka nieba. Nie ma w sobie żadnych oczekiwań. Nie ma pragnień. Nie ma w ogóle myśli.

Przelatuje para jaskółek. Potem para pliszek. A po nich samotny dudek. Z postrzępionym czubkiem.

Katia nie wie, jak długo tym razem potrwa depresja Antona, lecz tymczasem to ona wychodzi na spacer z Danielem w sobotnie poranki. Na początku chłopiec usiłuje z nią rozmawiać – najwyraźniej tak sobie zwykle gadają z Antonem – ale z jej milczenia wnioskuje, że o pierwszej porannej godzinie musi być sama ze swoimi myślami, i poprzestaje na spacerze w milczeniu.

Mądry chłopiec z jej wnuczka. To mądrość tych, którzy potrafią przetrwać, myśli. Cóż, nie ma większego wyboru. Jego ojciec i matka go zadręczają. Zanim skończył dziesięć lat, zdążył przeprowadzić się już siedem razy! Czuliśmy, że dobrze nam zrobi nowy początek, mówi Tania za każdym razem z tym samym przekonaniem. Ale dla dziecka każdy taki „nowy początek” to kolejne rozstanie, z każdym rozstaniem do jego serca spływają krople smutku, które z czasem nawarstwiają się w stalaktyty smutku, a jego serce jest małe, nie ma w nim miejsca na stalaktyty. Nie rozumie, dlaczego nie zadbają choćby o to, by miał młodsze rodzeństwo, które przeprowadzałoby się razem z nim, łagodząc przy okazji nieco presję, jakiej jest poddawany. Danik dostał tylko dziewięćdziesiąt dwa punkty na teście z matematyki, powiedziała Tania tydzień wcześniej. „Tylko dziewięćdziesiąt dwa”?! Czego oni od niego chcą? I dlaczego nie zaprowadzą go do dentysty? Są tak zajęci swoim kawałkiem tortu, że nie zauważają, iż trzeba wyprostować synowi zęby? Nie zdziwiłaby się też, gdyby się okazało, że zauważyli, ale nie chcą wydawać pieniędzy. Stać ich na wielki nowy telewizor, ale na leczenie dziecka? Nigdy w życiu!

Katia myśli o tym wszystkim, jednak w rozmowie z Tanią nic nie mówi. Rozmowa z ludźmi, którzy łatwo wpadają w złość, jest jak chodzenie po ostrzu noża. Poza tym jej córka w ogniu kłótni jest zdolna zabronić Danielowi przyjeżdżać do nich tylko dlatego, żeby pokazać, kto tu rządzi. Tego z kolei ona nie zniesie, zwyczajnie nie zniesie, tak bardzo kocha to dziecko, które idzie u jej boku w milczeniu, niosąc w każdym ręku patyk i co jakiś czas wbijając oba patyki w ziemię i odpychając się do przodu jak górski wspinacz.

Wyciąga rękę i gładzi go po delikatnych włosach. W odpowiedzi na jej dotyk on lekko przechyla głowę i uśmiecha się, a ona przypomina sobie, co Anton zawsze powtarza, nie jesteśmy jego rodzicami, nie możemy go wychowywać, możemy jedynie poświęcić mu dużo uwagi, gdy tu przyjeżdża, by wiedział, że zawsze jest tu mile widziany, nieważne, jaki stopień dostanie z matematyki, a jednocześnie spróbować otworzyć przed nim nowe horyzonty: nauczyć go, jak się otwiera zatrzaśnięte drzwi, pokazać, że z większości rzeczy w życiu można się śmiać, grać z nim w szachy.

W tę sobotę – przypomina sobie Katia ze smutkiem – nie grali w szachy ani razu. Anton nie dostał odpowiedzi na propozycję, że mężczyźni z osiedla zbudują własnoręcznie klub, i z tego powodu, a może nie tylko z tego powodu, jest zmęczony. Bardzo zmęczony. Jak wytłumaczyć dziecku, że Anton ma depresję? Nie da się. Mówi się, że jest bardzo zmęczony. Chłopiec wie, że to kłamstwo. A może nawet wie, że by zrozumieć, co skrywają te słowa, musi przestać być dzieckiem.

Idą dalej obok siebie ścieżką wysadzaną topolami, ona i syn jej córki, który jest podobny do swego ojca. Katia cieszy się, że może znowu tędy iść po wielu dniach, gdy Anton nie kładł jej ręki na ramieniu kilka minut przed zachodem słońca, pytając: pójdziemy, Kotik?

To nie tak, że nie wiedziała, że do tego dojdzie. Słowa „a nie mówiłam” tkwią w jej gardle od tygodni. Ale nie mówi tego Antonowi, bo nie jest już małą dziewczynką i wie, że wszystkie te „a nie mówiłam” nie przydadzą się żadnemu mężczyźnie. Ani kobiecie. Tylko podsycają złość.

Nie ma sensu zaprzeczać: mówiła mu jeszcze tam, że ich miłość, choćby i najsilniejsza, jemu nie wystarczy. Powiedziała: nie będziesz miał nic do roboty w państwie żydowskim, i to cię unieszczęśliwi. Powiedziała, że wypiera to, iż ma problem. Że jego czarne nastroje to choroba. Powiedziała, że jego propozycja, by z nią wyjechać, jest bardzo romantyczna, ale ona się na to nie zgadza. Dla niego.

On odparł, że ona nie będzie decydować za niego. Że w jego wieku może podjąć samodzielną decyzję. W noc przed wyjazdem, gdy walizki były już spakowane, a kontenery wysłane do Izraela, powiedział:

– Nawet jeśli to błąd, Katiu, to będzie wspaniały błąd.

– Wiesz, Anton nie może zobaczyć tych maków – mówi teraz do niej Daniel, wskazując na trzy czerwone kielichy błyskające wśród zielonej trawy.

Ona to wie.

– Ale jeśli ja mu je pokazuję, on nagle je widzi! – mówi chłopiec. – To naprawdę dziwne!

– Chodźmy dalej, wnuczku – prosi Katia.

Nie może długo stać ze względu na problemy z ko-lanami.

– Wiesz, że Anton umie rozmawiać z krowami? – Chłopiec wskazuje na

dwie duże krowy pasące się w dolinie.

Nie, tego nie wiedziała.

– Podchodzi do nich bardzo blisko, wcale się nie boi! I rozmawia z nimi w ich własnym języku! W języku muu!!! – śmieje się.

Kiedy się śmieje, jego oczy robią się skośne i wtedy staje się odrobinę podobny do niej.

– No, Daniku – pyta ostrożnie Katia – jak się ma ta dziewczynka z twojej klasy, Sonia?

– Szoni – poprawia Daniel z irytacją. – I rozmawiam o niej tylko z Antonem.

– A ze mną... ze mną nie można?

– Daj spokój, babciu, proszę.

Daniel to jedyne, co się podoba Antonowi w nowym kraju. Cała reszta to w jego oczach jedna wielka farsa: w radiu rosyjskie piosenki, do których przeklejono hebrajskie słowa. Religijni mężczyźni noszący garnitury w środku lata, faceci pijący kawę z mlekiem, arabska potrawa „falafel”, którą Żydzi postanowili ustanowić swoją potrawą narodową, tablica na osiedlu pełna ogłoszeń reklamujących przedstawienia dla dzieci, chociaż nie ma u nich ani jednego dziecka, kolorowe sandały ortopedyczne, w których chodzą wszystkie miejscowe kobiety, chociaż ich nogi wyglądają w nich tak brzydko. I kibuc, produkujący te sandały, który zaprosił mieszkańców osiedla Źródło Dumy na własny koszt na wycieczkę z przewodnikiem mówiącym po rosyjsku, podczas której słuchali o ideologii komunistycznej jego założycieli, a później zaprowadzono ich do zakładu, by mogli kupić sandały po promocyjnej cenie do wyczerpania towaru. I zdumienie dyrektora fabryki, wysokiego mężczyzny o imieniu Izrael – jakie to idiotyczne nazywać człowieka tak samo jak kraj – gdy usłyszał, że nie mają ochoty kupić ani jednej pary, nie, bardzo dziękujemy, przywykli nosić się elegancko, a w ich wieku trudno zmienić przyzwyczajenia. I nazwy leków w aptece, akamol, deskamol, kakamol, szef opozycji, który nazywa się jak mały chłopczyk, słabutki deszcz i śnieg, który szybko zamienia się w wodę, i ojciec Daniela, którego nazywa „wieżą” – wszystko było dla niego zabawne, zasługujące na śmiech.

Śmiała się razem z nim, zastanawiając się, kiedy skurcz śmiechu na jego twarzy zastygnie. Kiedy zamknął się w pokoju po przyjeździe żołnierzy, była na to przygotowana, ale wtedy jakoś udało mu się utrzymać na powierzchni, teraz natomiast...

Jest przekonana, że wie, co było ostatnim gwoździem. On twierdzi, że to nie to, że to nie było aż tak ważne, ale jest pewna, iż to przez klub, który *municipalitet* zaczęła budować i przestała. Możliwość posiadania klubu szachowego pobudziła jego wyobraźnię. Na półkach – wyliczał szczegółowo swoje plany – będą mogli ustawić książki. Każdy przyniesie część swojej domowej biblioteki. Co jakiś czas będą mogli także wyświetlać filmy. A może Jasza zgodzi się zagrać dla wszystkich

na skrzypcach, co ty na to?

To brzmi wspaniale, odpowiadała, bo wiedziała, że głód kultury go wyjałowił. Jak można – skarżył się w ciemności przed zaśnięciem, bo za dnia nie pozwalał sobie nigdy na skargi – jak można żyć bez przedstawień, bez koncertów, bez czegoś, co odróżnia jeden dzień od drugiego. Ona zaś mówiła, masz absolutną rację – chociaż jej pragnienie kultury nigdy nie było tak wielkie jak jego. W większości przypadków rozmowa z nim przy świetle księżycy zaspokajała tę potrzebę. Ale wiedziała, że to dla niego niezbędne, i razem z nim śledziła powolne postępy prac budowlanych. Teraz wszystko ustało, urząd miasta nawet nie odpowiada na jego listy, a on siedzi przez całe dni w pokoju i ogląda telewizję, chociaż nie rozumie ani słowa, a jeśli ktoś na osiedlu utknie przed drzwiami, zbiera siły i idzie mu pomóc, ale nie zostaje, żeby napić się czegoś jak kiedyś, lecz wraca natychmiast do domu, a w domu nie ma siły nawet przesunąć serwety, której malutki trójkąt zwisa, zasłaniając górną część ekranu, i także to ona musi dla niego robić.

– Popatrz, babciu. – Daniel dotyka jej ramienia. – Wydaje mi się, że znowu zaczęli budować klub.

– Nic podobnego. – Katia przygląda się rozrzuconym deskom oraz rozsypanym cegłom i mówi: – To tylko w twojej wyobraźni.

– Nie, babciu! – upiera się chłopiec. – W zeszłą sobotę nie było tu muru.

– Nie wydaje mi się, żeby...

– I patrz! – woła triumfalnie Daniel, ucieszony swym sukcesem detektywa.

– Są ślady stóp!

Katia podchodzi bliżej. Chłopiec ma rację, ślady są świeże.

– Sama nie wiem... – mówi z wahaniem.

– Wracajmy i powiedzmy Antonowi...

– Pod żadnym pozorem – oponuje przestraszona Katia.

– Ale, babciu, dlaczego?

– Bo jak potem wyjdzie, że się mylisz, będzie rozczarowany.

– Ale teraz się ucieszy!

– Tak, ale... Danielu, gdybym powiedziała, że ci kupię lody, a potem zabroniła ci je zjeść, nie byłbyś na mnie zły? Nie powiedziałbyś, babciu, przecież mówiłaś, że mi kupisz?

– To nie jest dobry przykład, babciu.

– Dlaczego?

– Bo mam już dziesięć lat. I już nie lubię tak bardzo lodów. I... pierożków też nie.

– Nie lubisz moich pierożków z mięsem?

– Już nie... tak bardzo.

– To dlaczego tak się nimi zajadasz, kiedy je robię?

– Żeby ci zrobić przyjemność.

– Zaraz, to co lubisz?

– Falafel.

– Falafel?

– Tak, nigdy nie robisz mi falafela. A Anton ciągle jest zmęczony. I nie ma u was żadnych gier. Prawie. Tylko szachy. I nie rozumiem, dlaczego muszę jeździć do was cały czas. Dlaczego nie jesteście jak inni dziadkowie? Dlaczego nie zamieszkacie z nami? Kiedy was pytam, mówicie jedno, a kiedy pytam mamę, ona mówi co innego. Jak jest naprawdę?

– Czasami nie ma jednej prawdy, dziecko – mówi Katia. – Zwłaszcza gdy chodzi o rodzinę. Rodzina to skomplikowana rzecz. A u nas to już naprawdę poplątanie z pomieszaniem.

– Znowu te same odpowiedzi? Mam ich dość. I mam dość chodzenia tą ścieżką. Może pojedziemy do miasta kupić falafel?

– Dobrze – wzdycha Katia. – Pojedziemy do miasta. Ale obiecaj, że nie powiesz Antonowi nic o klubie, w porządku?

Znowu nadeszły dni miesięcznej nieczystości Menuchy. Ostatnio Ben Cuk ma wrażenie, że czas między jednym a drugim okresem się skraca. Że Menucha go oszukuje. W gruncie rzeczy jest o tym przekonany. Ale nie ośmiela się nic powiedzieć, w obawie, by nie odebrała mu także tego jednego zbliżenia, rzeczowego i pozbawionego przyjemności, które przyznaje mu łaskawie w piątkowe poranki, kiedy dzieci są w przedszkolu, raz w miesiącu. Po wszystkim on zawsze zostaje w łóżku, opróżniony, ale niezaspokojony, podczas gdy ona czym prędzej odsuwa się i idzie do łazienki. Żeby nie doszło do stanu zapalnego, wyjaśnia. On czeka na nią pod kołdrą, nagi, chociaż wie, że ona nie wróci. Wie, że po kąpielu wytrze się, ubierze i weźmie natychmiast do przyrządzania marynowanego łososia, czym zajmuje się w każdy piątek.

On wie, że wcale tak być nie musi. Dlatego wszystko się w nim buntuje. Wie, że połączenie ciał mężczyzny i kobiety może prowadzić do uniesienia. Przecież miał kiedyś łąnię, której miłością się upajał. *Ajelet Ahawim*. Udało mu się wygnać ją ze swoich myśli na siedem lat, a teraz, nie bardzo rozumie dlaczego, znowu udało jej się do nich wnikać.

Danino zwolnił go ze wszystkich obowiązków w urzędzie miasta, polecając:

– Dokończ budowę mykwy. To teraz priorytet.

Tak więc z samego ranka jedzie na miejsce budowy i wraca po zmroku, ale gdy uderza dłutem, myśli o Ajelet. Wierci wiertarką i myśli o Ajelet. Instaluje rury i myśli o Ajelet.

W pierwszych dniach próbował jeszcze walczyć z prądem, starał się skupić na czymś innym, uciekać się do modlitwy, ale za każdym razem gdy chciał się modlić, oko, którym czytał, przeskakiwało po literach jej imienia, alef, jod, jod,

lamed, taw, jakby były tajnym szyfrem ukrytym w modlitwie, i przekonywał sam siebie, że może to znak od Najwyższego, może powinien raz na zawsze poddać się tym nieczystym wspomnieniom i w ten sposób zmyć je ostatecznie, oczyścić się.

Wspomnienia nie są tak wyblakłe, jak można oczekiwać. Choć minęło już siedem lat, są żywe i barwne, w jego nozdrzach przetrwały także zapachy, jak delikatna woń gnijących owoców, która unosiła się przy wejściu do jej domu tamtego pierwszego razu, gdy zadzwonił do drzwi i rozległy się tony *Eleanor Rigby* zamiast zwyczajnego dzwonka. Poprosiła Izraela o taki dzwonek, a Izrael, który miał dwie prawe ręce, zainstalował go, bo na początku był nią jeszcze stale zaabsorbowany, śledził ją wiecznym wygłodniałym wzrokiem, zanim zaczął patrzeć przez nią jak przez powietrze, jakby była kolejnym sandałem na taśmie fabrycznej zakładu, którego jest dyrektorem – jak ona nienawidzi tych sandałów, powiedziała potem Moszikowi, kiedy wystarczająco zbliżyli się do siebie, nie cierpię ich zapachu, który stał się jego zapachem, nienawidzę tego ortopedycznego stylu, nie może już słuchać spokojnie słowa „ortopedyczny”, następnym razem, gdy ktoś obok niej je wypowie, zacznie krzyczeć, nienawidzi modeli z wielką, wulgarną sprzączką i nowych, bez sprzączki, wie, że jej buty na wysokich obcasach przyciągają spojrzenia, że nie pasują do surowej ideologii kibucowej i są zbyt seksowne, przyznaj sam, że cię podniecają, widzę, jak gapisz się na moje nogi, nie przestawaj nigdy tak na mnie patrzeć, to właśnie u ciebie lubię, to u ciebie pokochałam już za pierwszym razem, pamiętasz?

Stał pod drzwiami jej domu po raz pierwszy, słuchał *Eleanor Rigby* i czekał, aż Izrael otworzy. Ale gdy drzwi się otworzyły, stanęła w nich ona i powiedziała, że Izrael jest na zebraniu. On odparł, że szkoda, bo właśnie zamierzają grać w kosza. Zapytała, czy mogłaby się przyłączyć. Wymamrotał, że na ogół grają sami faceci... i nie wie, co inni powiedzą... a ona przerwała mu z pogardą: jeśli będziesz kierować się tym, co inni powiedzą, nie zajdziesz w życiu zbyt daleko. Wejdz, powiedziała, tylko się przebiorę, i nie kończąc zdania, odeszła kawałek dalej i zaczęła zdejmować bluzkę, ukazując ramięczka stanika, on zaś wszedł do środka, założył ręce za plecami, jak posłuszny uczeń, i zaczął przyglądać się ogromnej płytotece – jego oczy przesuwwały się po nazwiskach piosenkarzy, nic nie rejestrując – i wtedy wróciła, w krótkich spodenkach Izraela i w jego wojskowej koszulce, i spytała:

– Idziemy?

Zebrani na boisku mężczyźni przyjęli jej przybycie z lekkim zdumieniem, ale nikt nie odważył się odmówić synowej sekretarza kibucu, więc przyjęli ją do jednej z drużyn, a ona grała chaotycznie, ale odważnie, i nawet trafiła do kosza z podania od Moszego, a później wystawiła w górę kciuk na znak podziękowania, a po zapadnięciu zmroku, który położył kres grze, czekała na niego na ścieżce, stojąc w sposób, który, jak zauważył później, był jej pozą oczekiwania: długie

opalone nogi miała skrzyżowane, ręce oparte na wąskich biodrach zdradzały niecierpliwość. Odprowadził ją pod dom i uznał, że pożegnają się pod drzwiami, bo na tym etapie wciąż jeszcze bardziej go przerażała, niż pociągała, ale w kibucu nikt nie zamykał drzwi na klucz i weszła od razu do środka, nie oglądając się za siebie, jakby było całkowicie oczywiste, że on pójdzie za nią. Potem zdjęła koszulkę Izraela i znowu zwróciła się w jego stronę tyłem z ramiączkami od stanika, który tym razem był biały, a nie czarny, a po tym, jak wyszła spod prysznicy w samym ręczniku, poleciła mu, by także wziął prysznic, bo przez niego śmierdzi w całym pokoju, podała mu czysty ręcznik i pokazała, gdzie jest gąbka, i dopiero gdy skończył się myć i wycierać, dotarło do niego, że nie ma czystych rzeczy, by się przebrać, i w chwili, w której wahał się, czy się wstydzić, czy poprosić, drzwi uchyliły się i powiedziała:

– Trzymaj, to dla ciebie... – podając mu krótkie spodenki robocze Izraela.

Ale nie podała mu koszulki.

Kiedy wyszedł, ona siedziała na łóżku, naga, ręcznik leżał rozpostarty obok niej i zanim zdążył przeprosić i uciec z powrotem do łazienki, podniosła na niego oczy barwy miodu, lśniąco jasno w opalonej twarzy, i powiedziała:

– Popatrz na mnie. Twoje spojrzenie jest mi potrzebne. Nie udawaj niewiniątka. Widziałam cię, nowy. Widziałam, jak patrzyłeś na mnie wcześniej. I to spojrzenie znowu jest mi potrzebne.

W pierwszych tygodniach potrzebne było jej tylko spojrzenie. A później, żeby gładził jej długie włosy, tak jak gładzi się małą dziewczynkę: od czoła do ciemienia powolnym, przeciągłym ruchem. Później chciała tylko, żeby położył się przy niej, bliźniutko. Żeby trzymał ją za rękę. I odpowiadał na pytania, jakich poza nią nikt mu nie zadawał. Co zapamiętałeś o swojej matce? Niewiele. Ale może cokolwiek, mimo wszystko? Sukienkę. Pamiętam, że miała zieloną sukienkę. Jasny czy ciemny zielony? Nie wiem. A o ojcu? Nic. To niemożliwe, żeby nic, spróbuj sobie przypomnieć, dla mnie. Dlaczego to takie ważne dla ciebie? Bo ty jesteś dla mnie ważny, głupku. Nie potrafię, miałem tylko cztery lata. Mimo wszystko dziwne, że ktoś nie pamięta nic o swoim ojcu.

– A ty coś pamiętasz?

– Pamiętam prawie wszystko.

– To dlaczego nic mi nie opowiadasz?

– Powoli...

Mówiła i milkła, kładła palce na jego palcach i bawiła się nimi, wdzierając się do przestrzeni między palcami i wycofując, sprawiając, że przy każdym jej dotyku przebiegały mu dreszcze po całym ciele. Na tym etapie nie potrzeba mu było nic więcej. A ona, którą od czternastego roku życia posuwali chłopcy w Mieście Piasków, poili alkoholem, obmacywali i przekonywali, żeby nie była oporna, zauważyła, że jego cierpliwość pociesza ją i drażni jednocześnie, odsunęła

tamtą dawną dziewczynę i za każdym razem uczyła go kolejnej tajemnicy o sobie, jak bardzo lubi, gdy się ją całuje w płatek ucha, i jak matka zawsze kochała bardziej jej starszą siostrę, i jak mocno można pociągnąć ją za włosy, tak by zabolalo, ale nie za mocno, i co czuła na pogrzebie swojego ojca, i jak następnie dołączyła do grupy młodzieżowej organizacji syjonistycznej Nachal tylko po to, by uciec z domu jak najdalej, i jak udało się jej przekonać koordynatora, by posłał ją do pracy na plantację, a nie do domu dziecięcego, i skąd można wiedzieć, czy jej pupa ma dziś ochotę na głaskanie czy raczej na ukąszenie, i dlaczego jest pewna, zwyczajnie pewna, że poza tym wszystkim jest jeszcze coś, za tym analnym, banalnym światem, stojącym jawnie przed naszymi oczami, i czy kibuc, który zabił w nich judaizm, nie powinien zaoferować im w zamian czegoś prawdziwego, a nie zostawiać ich tak, skonsternowanych, i co znajduje się w przestrzeni między domem a melodią *Penny Lane*, napełniającą najczystszy szczęściem każdego, kto jej słucha, i dlaczego muzyka, jej zdaniem, jest jedyną religią, w którą jeszcze warto wierzyć, i jeśli istnieje Bóg, to najprawdopodobniej jest didżejem.

Dopiero po dwóch miesiącach, na końcu kibucu, w wyjątkowo deszczowy poranek, gdy do ich uszu dobiegał dźwięk spienionej wody w potoku, kochali się. Dla obojga był to pierwszy raz. Dla niej – pierwszy raz, gdy spała z mężczyzną, którego naprawdę pragnęło zarówno jej ciało, jak i dusza, dla niego – pierwszy raz w ogóle. A później przyszło wiele takich razy: w dzień, gdy Izrael był w fabryce, u niej w domu, z *Come together* nastawionym na pełny regulator, by zagłuszyć wydawane przez nią dźwięki; nocami, kiedy Izrael spał w łóżku „jak wór kartofli”, pod osłoną paproci i szmeru wody na brzegach potoku lub w porzuconym od czasu wojny Jom Kipur schronie, do którego Ajelet zdobyła klucz, albo w pralni na starych, dygoczących pralkach, albo w niezamieszkanym pokoju kwater dla ochotników, do których można było wejść przez rozdarte drzwi z siatki. Jej apetyt na ryzyko nie znał granic. (Poza stodołę. Nie zgadzała się pod żadnym pozorem, żeby sypiali ze sobą w stodole: bo było to jej zdaniem zbyt banalne, i też dlatego, że źdźbła słomy kłuły ją w plecy). Jednocześnie, jakimś cudownym zrzędzeniem – „opatrność miała nas w opiece”, mówili, jakby wtedy dopiero poznali to określenie – przez cały rok nikt poza dziadkiem Menachemem ich nie przyłapał, a dziadek Menachem i tak nie rozmawiał z nikim w kibucu, tak że nie było ryzyka, iż rozniesie się to dalej.

W czwartki Izrael jeździł do Miasta Grzechu na spotkania z handlowcami, a oni jechali oddzielnymi autobusami do Miasta Portowego, by oglądać razem smutne filmy. Moszik jechał autobusem o wpół do piątej i czekał na nią przed wejściem do łuszczącego się budynku kina, aż przyjedzie autobusem o piątej. Kiedy szła w jego stronę, czuł uderzenia serca aż w kolanach, ale nie wolno mu było jej objąć. Pod żadnym pozorem. Upierała się nawet, by kupowali osobno popcorn. Dwa małe kartoniki.

To ona wybierała filmy. Zawsze smutne. Zawsze takie, które widziała wcześniej.

Chcę, żebyś ty też je zobaczył, wyjaśniała, gdy się dziwił. Chcę obejrzeć je jeszcze raz z tobą.

Siadali razem w jednym z kątów sali, tuż przy ścianie. I także wtedy, gdy byli prawie sami, nie dotykali się.

Oglądali razem *Tacy byliśmy zakochani*, *Ptaśka*, *Świat według Garpa*. Wszystkie te filmy były według niego dobrym wyborem i za każdym razem trącały w nim jakąś strunę. Na filmie *Czworo przyjaciół* nawet uronił łzę, i nie był jedynym, który płakał. Tylko tego mu brakowało, nowemu w kibucu, by uznano go za bekse. Ale była tam piosenka Raya Charlesa, *Georgia on my mind*, i inne, trudne do wyjaśnienia rzeczy: może w ogóle najbardziej poruszają nas nie te filmy, które dotyczą naszego obecnego życia, lecz te, które przewidują przyszłość.

Kiedy na zakończenie filmu zapaliły się światła, obrócił do niej twarz, a ona na widok jego lśniących oczu zapytała:

– Płakałeś?

Przytaknął powoli, onieśmielony, a ona uśmiechnęła się z dumą i pogładziła go po słonym policzku, w jednej chwili naruszając wszystkie żelazne reguły, które sama narzuciła, nachyliła się do jego ucha i szepnęła:

– Nic mnie tak nie kręci jak płaczący mężczyzna.

Pod koniec ostatniego tygodnia przed rozpoczęciem jego służby wojskowej powiedziała Izraelowi, że jedzie na seminarium poświęcone „Obrazowi obcego w kinematografii” i wynajęła pokój w hotelu Szczyty w Mieście na Granicy. Postawiła sobie za cel doprowadzić do tego, by aż jęczał z rozkoszy, bo przecież nie powinno tak być, że zawsze tylko ona wydaje dźwięki, a on milczy. Jęczał więc, by ją uszczęśliwić, ona zaś była szczęśliwa i chciała kochać się z nim wciąż od nowa, we wszystkich znanych pozycjach, a także kilku nowych, by zapewnić jego wyobraźni pokarm na trudne dni, jakie czekają go na wartach i na kursie oficerskim, który sama przeszła, a gdy na koniec padli na wznak na hotelowe łóżko, przysunęła twarz do jego twarzy, bardzo blisko, i wyjawiała coś, czego nie wyjawiała jeszcze nigdy nikomu.

Nawet Izraelowi nie opowiedziała o tamtej nocy z ojcem. W każdym razie nie wszystko. Mówiła, nie odwracając wzroku ani na sekundę, jakby w momencie odwrócenia wzroku miała ją opuścić cała odwaga. Dolna mięsista warga, dzięki której pocałunki były tak cudowne, drżała przez cały czas.

– Jesteś wstrząśnięty? – zapytała na koniec.

– Nie.

– Nie ma sprawy, jeśli będziesz chciał to trochę przetrwać. Nabrać dystansu – powiedziała i sama odsunęła się odrobinę na brzeg łóżka.

– Nie chcę oddalać się od ciebie – zaprotestował, przytulając ją. Mocno. I po

raz pierwszy, odkąd się poznali, stała się w jego objęciach małą dziewczynką.

Po kilku sekundach, gdy słyhać było tylko dźwięk klimatyzatora w pokoju hotelowym, usłyszał jej głos dochodzący spomiędzy jego ramion, łaskoczący nieliczne włoski na piersi:

– Uważaj na siebie w wojsku, dobrze?

– Dobrze – przytaknął od niechcienia, mówiąc do tyłu jej głowy, a ona wysunęła się naraz z jego objęć i znów stała się Ajelet starszą o całe sześć lat.

– Posłuchaj uważnie – odezwała się. – Uważaj nie tylko na rakiety i miny. W kibucu nikt ci tego nie powie, ale ja ci powiem: największe niebezpieczeństwo w wojsku to zagrożenie dla psychiki. Nie dla ciała.

– Dobrze, w porządku, będę uważał – przyrzekł.

Pochyliła się i pocałowała go w usta, i znowu się kochali, z wielką czułością. Zetknięcie się ich ciał było na ogół burzliwe, czasem całował ją aż do bólu, ale tamtego jednego razu byli niezwykle delikatni, powolni i zmysłowi.

Rano z hotelowego śniadania przyrządziła mu prawdziwy prowiant na drogę, kanapki z pastrami i kiszonym ogórkiem zawinięte w białą serwetkę, i jabłko, odprowadziła go na odległość dwóch przecznic od punktu mobilizacyjnego i zmusiła, by przysiągł, że o niej nie zapomni, że nie zakocha się w jakiejś podoficerce dziewicy, a potem popchnęła go, niech już idzie, zanim się rozplacze. Już w autobusie, wśród innych świeżych rekrutów, którzy podobno byli jego rówieśnikami, ale nagle wydali mu się bardzo dziecinni, zaczęła boleć go z tęsknoty przepona, zbliżył do nosa palce, na których wciąż pozostały ślady jej zapachu, a potem włożył je do ust, by poczuć jej smak, później przygryzł z całej siły, może to zagłuszy ból, ale nic nie pomagało, i z każdą minutą rozumiał coraz jaśniej, że nie wytrzyma trzech lat takiej tęsknoty, wykluczone, dlatego zaraz po przyjeździe do jednostki poprosił o specjalną rozmowę z oficerem rekrutacyjnym, oświadczył bezwstydnie, że ma szmery w sercu, które udawało mu się ukrywać przed komisjami wojskowymi aż do tej chwili, a oficer zganił go za źle wybrany moment, lecz skierował na badania, stamtąd wysłano go na kolejne badania, i na koniec wrócił do innego oficera, który wcale nie robił mu wymówek, tylko wyliczył ograniczone możliwości, jakie roztaczają się przed nim jako posiadaczem szmerów w sercu, a on poprosił o przydział do służb wywiadu, nie wiedząc, co w rzeczywistości to oznacza, ale wydawało mu się, że służba w wywiadzie umożliwi częstsze widywanie się z nią, a później poszedł na kurs oficerski i dokładał wysiłków, by osiągnąć jak najlepsze wyniki końcowe, ponieważ obiecywano, że absolwent, który otrzyma najwyższą ocenę, będzie mógł wybrać dowolne miejsce przydziału, łącznie ze służbą w pobliżu domu, ale na koniec „wyróżnienie” otrzymał bratanek szefa kursu, jego zaś skierowano na dalekie, najdalsze południe, skąd przez cały rok słał do niej gęsto zapisane listy, które docierały do skrzynki pocztowej wynajętej przez nią w sekrecie w Mieście na

Granicy, aż w końcu jego błagania zostały wysłuchane, i na drugą część służby przeniesiono go do Tajnej Jednostki, o której Wiedzą Wszyscy. Dzięki temu mogli widywać się niemal codziennie.

W dni, w które Izrael wyjeżdżał z kibucu, Ajelet przyjeżdżała po niego, znajdowali jakiś zakątek w dolinie i parkowali pod drzewami oliwnymi. Ona brała na siebie podkład muzyczny – King Crimson byli znakiem, że tego dnia woli, by wszystko rozwijało się trochę wolniej, a Szalom Chanoch sugerował, iż wszystkie znane sposoby są dozwolone. On zaś był odpowiedzialny za prowiant – Ajelet przepadała za lukrecją, we wszystkich postaciach, i za świeżym sokiem jabłkowym.

W dni, kiedy Izrael zostawał w domu, byli natomiast zmuszeni czekać ze spotkaniem do zmroku; a gdy zapadł, Ajelet mogła stanąć wśród zarośli ze skrzyżowanymi nogami, z rękami opartymi na biodrach. Zanim on znowu mógł poczuć bicie serca w kolanach, gdy szedł w jej stronę.

Jednej z takich nocy, na brzegu potoku, gdy wspólnie zajadali dojrzałe winogrona, powiedziała:

– Jestem w ciąży. Z tobą.

Przestał na chwilę żuć. Przełknął. Potem zapytał:

– Skąd wiesz, że to nie dziecko Izraela?

– Bo z nim nie sypiam.

– W ogóle?

– W ogóle.

– Ale dlaczego... nic nie widać?

– To sam początek. Najwyżej czwarty tydzień.

– Co zamierzasz? – zapytał, choć już się domyślał po tym, jak jej głos stał się nagle niepewny, niemal rozpaczliwy, a dolna warga, którą tak cudownie było całować, zaczęła dygotać.

– Kończysz służbę za dwa miesiące – powiedziała. – Możemy stąd uciec. Wyjechać jak najdalej z krainy Co Ludzie Powiedzą i razem wychowywać nasze dziec-ko. Oczywiście, jeśli chcesz. Chcesz?

Do tej chwili wraca w myślach wciąż na nowo i jej wspomnieniem torturuje sam siebie.

Następnego dnia wyjechała z kibucu. Nie zadzwoniła, nie zostawiła listu, nie dała mu okazji, by pożałował decyzji. Ostatnią osobą, która ją widziała, była sekretarka lekarza, który przeprowadził aborcję. Ta kobieta powiedziała swojej siostrze, mieszkającej w kibucu, że Ajelet była smutna i zamknięta w sobie, gdy wychodziła z kliniki. Ale one wszystkie takie są, dodała. I westchnęła westchnieniem, w którym więcej było współczucia na pokaz niż prawdziwego.

Później światelko Ajelet roztopiło się we mgłę pogłosek. Podobno widziano ją z ogoloną głową w Indiach. Albo opowiadano, że zarabia na życie jako gejsza

w Tokio. Że znajduje się na oddziale zamkniętym w szpitalu psychiatrycznym w Sydney i karmi się pigułkami.

Skłócony sam ze sobą i nieogolony Ben Cuk chodził chwiejnym krokiem po kibucowych alejkach, szukając cząsteczek jej zapachu, które jeszcze pozostały w kilku miejscach, gdzie się kochali, a uszy miał nastawione na wszelkie głosy: może nadeszła nowa informacja o niej?

Co jakiś czas mijał go na ścieżce Izrael, stanowiący swego rodzaju jego lustrzane odbicie – również przygarbiony i nieogolony – a Ben Cuk, przechodząc, kiwał mu głową i myślał: z jedynym człowiekiem, który mógłby mnie tutaj zrozumieć, nie mogę porozmawiać.

Pewnego dnia, gdy nie mógł znieść dłużej bólu w przeponie, złożył podanie o urlop bezpłatny i kupił bilet na samolot, podjąwszy stanowczą decyzję, że pojedzie jej szukać, padnie na kolana, będzie prosić o przebaczenie i błagać, by wróciła. Ale kilka dni przed wyjazdem do kibucu wrócił z Indii ktoś z wielkim plecakiem i masą zdjęć i jakby mimochodem między jedną a drugą opowieścią o narkotykach rzucił, że widział Ajelet, no, tę z organizacji, która była żoną Izraela – mieszka tam w istnym pałacu z jakimś pułkownikiem z ambasady, takim wielkoludem, całe dni pluska się w jego prywatnym basenie, je to, co ugotują jej jego służący. Ktoś inny, kto także wrócił niezbyt dawno temu, powiedział, kurczę, teraz gdy to mówisz, faktycznie wydaje mi się, że widziałem ją kiedyś na bazarze. Nawet pomachałem na przywitanie, ale szła z jakimś olbrzymem, który wszystko zasłaniał, i nie zauważyła mnie.

Ta to zawsze potrafiła się urządzić, orzekła trzecia osoba, a serce Moszika przebiegł bolesny skurcz, krew naprawdę zastygła mu w żyłach. A co, myślałeś, że taka dziewczyna zostanie sama? – biczował się. Miałeś jedyną okazję i ją zaprzepaściłeś. Twój pociąg odjechał.

Przez całą noc trzymał w ręku bilet lotniczy – jeden głos wzywał, by jechać i walczyć o jej serce, drugi nawoływał do zachowania spokoju. Po co miałby nagle gdzieś jechać? Dlaczego akurat teraz? Kto mu zagwarantuje, że o nim nie zapomniła? Co ma jej do zaoferowania, obcy przybysz, tej dziewczynie mieszkającej w pałacu?

O świcie przeważył drugi, racjonalny głos. Podarł energicznie bilet. Na drobne kawałeczki. Robiąc to, próbował przekonać sam siebie, że postępuje właściwie.

Pod koniec roku przedłużył kontrakt z armią i otoczył się mnóstwem przezroczy nałożonych na mapy na ścianach, ale otchłań, która rozwarła się w jego duszy, pogłębiała się coraz bardziej. On także wierzył, jak Ajelet, że musi być coś poza tym, co namacalne, poza sandałami ortopedycznymi, tyle że dla niego tym czymś była ich miłość i to, jak ich ciała rozmawiały ze sobą i milczały razem. To był ostateczny dowód, że wszystkie tamte chwile, samotność, izolacja w gronie

rówieśników, całe to gryzące pragnienie zaznania czegoś innego, niejasnego, ale innego, nie było samooszukiwaniem się i że naprawdę można doświadczyć świata w sposób wyższy, ostrzejszy niż to, co mu proponowano. Ale to wszystko zrozumiał dopiero po jej odejściu, a w godzinie próby, do której wracał wciąż na nowo, zwlekał z reakcją na jej propozycję. Może rozkoszował się mocą, którą nagle mu dała, mocą podjęcia decyzji. A może przeciwnie, wycofał się przed odpowiedzialnością złożoną na jego barkach. Może to był lęk przed jej charakterem. Pewnego razu został dłużej w jednostce na przeciągającej się naradzie oficerów i gdy wreszcie wsiadł do samochodu, wymierzyła mu policzek ze słowami:

– Nigdy więcej nie spóźniaj się bez zawiadomienia, słyszysz? Nie masz pojęcia, jakie myśli przebiegały mi przez głowę, gdy na ciebie czekałam, nie masz pojęcia!

Kiedy w radiu przerywano w połowie piosenkę Szaloma Chanocha, by nadać reklamy, pomstowała na prowadzącego i przeklinała matkę jego matki, a gdy w święta dzwoniła do niej jej własna matka, rozmawiała z nią z okrutną, przejmującą dreszczem ostrością. Tak, być może bał się tej strony jej charakteru. A może wtedy dwudziestolatek nie mógł wiedzieć, że każdy on i każda ona mają swoją mroczną stronę, i ważniejsze pytanie brzmi, ile światła znajduje się po jasnej stronie. A może wszystko razem to bzdury, a on zwyczajnie obawiał się tego, co ludzie powiedzą. Tak czy inaczej...

Zwiększa obroty wiertarki wiercącej dziurę w ścianie mykwy, by powstrzymać galopadę myśli, ale to nie pomaga i one dalej pędzą ku przepaści...

Tak czy inaczej, zwlekając z decyzją, utracił być może przeznaczoną sobie drugą połowę, której wybór ogłosił czterdzieści dni przed jego narodzeniem głos dochodzący z Nieba, a do tego dodał drugi grzech, przesądzając o losie ich dziecka. Mogliby teraz mieć dziecko... siedmioletnie...

Na litość boską, jaka to różnica, jakie dziecko mógł-byś mieć? Ogarnia go gniew na samego siebie. Liczy się, że ma dzieci teraz!

Ujmuje końce *cicijot*, wychodzi z mykwy i dzwoni do domu. Menucha odbiera, a on prosi do telefonu synów.

– Stało się coś? – dziwi się jego żona.

– Nie, nic, tak tylko... tęsknię – mówi.

– Starszy bawi się z kolegą, nie chcę mu przeszkadzać – odpowiada żona.

– To zawołaj młodszego – prosi Ben Cuk, niemal błagalnie.

Młodszy syn bierze słuchawkę, ale nie umie jeszcze przykładać mikrofonu do ust i jego głos dochodzi słabo, z oddali:

– Tata?

– Tak, kochanie.

– Tata?

– Tak, to ja, jak się masz, synku?

– Tato, gdzie jesteś?

Kiedy Ben Cuk rozmawia z kimś przez telefon, ma zwyczaj go sobie wyobrażać. Jego twarz. Sposób, w jaki chodzi po pokoju ze słuchawką w rękę. Zawsze zakładał, że wszyscy tak robią, aż pewnej nocy, gdy opowiedział o tym Ajelet, oświeciła go, rozbawiona, że to jego prywatna mania. Także teraz, rozmawiając z synem, wyobraża go sobie, ale – dzieło szatana – przed oczami postać dziecka zmienia się w obraz syna jego i Ajelet, nienarodzonego dziecka, którego delikatne rysy twarzy przypominają rysy Ajelet, ale sztywne i gęste włosy są podobne do włosów ojca.

Dlaczego akurat teraz wróciła do moich myśli, zastanawia się. W taki sposób, z taką mocą? Co Najwyższy próbuje mi powiedzieć? Czuje żar wewnętrznego ognia. Synkowi odpowiada:

– Jestem w pracy, kochany. Tatuś pracuje.

Anton twierdzi, że wszystko bierze się z reakcji chemicznych w mózgu. Mówi, że to fala mętnej wody, która zwyczajnie musi sama opaść. Ona nie oponuje, bo to zapewne wyjaśnienie, z którym łatwiej mu żyć. Ale wie, że gdy przyszła do niego w niedzielę, po tym, jak na własne oczy przekonała się, że prace zostały wznowione, a z klubu dobiegają odgłosy robót budowlanych, w jego oczach znów zapaliła się charakterystyczna iskra, w której lśni ciekawość, pasja i pomysłowość.

Minęła kolejna doba, zanim udało mu się wstać z łóżka, a wtedy sam udał się na miejsce. Wciąż w kapciach, ale już żwawszym krokiem, rzucił jedno spojrzenie na nowe mury, wrócił do domu, położył na stole kartkę papieru i narysował tabelę: kolejność rozgrywek w pierwszym sezonie. Potem poprosił, by poszła razem z nim na spacer, w trakcie którego chciał zawiadomić sąsiadów.

Przez cały miesiąc chodzili po domach, by się przekonać, kto ma ochotę przystąpić do ligi szachowej. To trwało miesiąc, bo u nich na osiedlu nie ma zwyczaju zachodzić do kogoś i natychmiast uciekać. Trzeba posiedzieć, napić się koniaku, zjeść kiszonej kapusty z gotowanymi ziemniakami, na deser wypić kawę bez mleka i zjeść napoleonkę z masą kremu, a w trakcie przerzucać się żarcikami. Narzekać. Snuć opowieści. Tak dowiedzieli się, że Anna Nowikowa kupiła bilet do Nowego Jorku i wyjeżdża za dwa miesiące, by się tam rozejrzeć, że córka Galiny i Miszy poprosiła, by zamieszkali z nią w Mieście na Pustyni, ale trudno im wytrzymać tamtejszy klimat. To znaczy, pał sześć oni, ale nie ma szansy, by Ruslan i Lolita, ich psy rasy chow chow, przetrwały taki skwar bez zrzucenia futra, a przecież to właśnie futro sprawia, że tak przyjemnie na nie popatrzeć!

Nikita zdradził po trzecim kieliszku wódki dwa pomysły na filmy zainspirowane życiem na ich osiedlu i wyznał, że waha się, który przedstawić wielkiemu Michałkowowi (ale nie wspominajcie o tym nikomu, dobrze?).

W pierwszym scenariuszu szpieg KGB przyjeżdża do Izraela i zamieszkuje na ich osiedlu, by obserwować jednostkę wojskową, ale później przywyka do ciepłego klimatu, zakochuje się w miejscowej dziewczynie i stara się zapuścić tu korzenie. Tyle że jego dziewczyna nie jest osobą, za którą on ją uważa, i wszystko się komplikuje. W drugim scenariuszu okazuje się, że na ich malutkim osiedlu naprawdę jest coś, co sprawia, że ludzie nie umierają. Pewien starszy człowiek, którego brat bliźniak zmarł jeszcze tam, w Rosji, wciąż stara się popełnić samobójstwo, by dołączyć do brata, ale w żaden sposób mu nie wychodzi.

– No to który pomysł wydaje się wam lepszy? – pyta Nikita.

Katia odpowiada, że ona woli pierwszy, bo jest w nim miłość, a Anton, że drugi.

– Dlaczego? – płoszy się Nikita, a Anton parska śmiechem:

– Żeby zamącić ci w głowie.

Szpilmanowie, następni w kolejności, opowiedzieli, że ich wnuk został przydzielony do tajnej jednostki wojskowej, do specjalnego wydziału rosyjskojęzycznego, i teraz podczas każdego wieczornego spaceru zanoszą mu pod bramę kiełbasę i kiszony ogórek, a on wyłania się z głębi ziemi, by porwać jedzenie i powiedzieć, żeby nie ważyli się przychodzić ponownie.

– Obiecuję – Anton skierował rozmowę na właściwe tory – że w naszym klubie zawsze będziecie mile widziani!

– Chwileczkę – rzucił nagle sceptyczny Szpilman – skąd taka pewność, że ten budynek jest przeznaczony na klub? Coś w ogóle na to wskazuje?

– To kwestia dedukcji! – odparł ze wzburzeniem Anton i dodał: – Jeśli boisz się, że ze mną przegrasz, to powiedz od razu. Nie owijaj w bawełnę.

– Jeszcze zobaczymy, kto z kim przegra – odgryzł się Szpilman, wyjął z kieszonki koszuli wieczne pióro i dopisał swoje nazwisko do listy graczy.

Gruszkow wypłakiwał im się na swoją żonę, która od przyjazdu do Izraela uzależniła się od tej nowej rzeczy, internetu, nie rozmawia z nim w ogóle, nie sypia z nim i ciągle jest zmęczona, bo gra do świtu w pokera z rywalami z całej Rosji.

– Nie winię jej – powiedział Anton, a Gruszkow, który spodziewał się choć odrobiny empatii, zastygł z uniesionym w połowie drogi do ust widelcem, z nabitym na niego soczystym kawałkiem śledzia. – Nie winię jej – wyjaśnił Anton – bo do dziś nie mieliśmy tutaj nic do roboty, ale wkrótce to się zmieni. Powstanie tu klub kultury, a w ramach klubu będą odbywać się rozgrywki ligi szachowej.

– Szachowej? – ożywił się Gruszkow. – Moja żona akurat bardzo lubi szachy. W Rosji była mistrzynią kobiet.

– To przekaz jej to, gdy się obudzi – poprosił Anton. – I powiedz, że wpisałem ją do turnieju, dobrze?

Do końca miesiąca lista wypełniła się nazwiskami, a tabela rozgrywek pierwszego sezonu była gotowa (obok Anton zawsze dopisywał imię Daniela, choć

wiedział, że chłopiec będzie mógł dołączyć do niego tylko w weekendy, a Katia pomyślała, że kocha go właśnie za takie drobiazgi). Pozostało tylko czekać na otwarcie klubu.

Co wieczór sprawdzali postępy w pracach budowlanych. Stały już cztery stabilne ściany, zasłaniając to, co działo się w środku, a metalowe ogrodzenie zagradzało wstęp na teren, jednak sądząc po ilości narzędzi i stopniu wykończenia fasady, można było wnioskować, że termin ukończenia jest bliski.

– Mam dobre przeczucie – mówi do Katii Anton.

Idą ścieżką wysadzaną topolami, a po prawej stronie, za ogrodzeniem, bryka koń z pięknym zadem, przeskakując bez wysiłku przez skały.

– Mam przeczucie – obejmuje ją mocniej w pasie i przyciska do siebie – mam przeczucie, że wszystko we mnie się budzi.

– To wspaniale – odpowiada Katia, ale nagle ogarnia ją znużenie... zmęczenie jego nastrojami, wciąż w dół albo w górę, jak na huśtawce...

Zmęczenie tym, że jego brak równowagi zmusza ją, by była stabilna cały czas, wiecznie rozsądna, wiecznie konsekwentna...

Zmęczenie tajemnicami z jego przeszłości, a to, że ich z nią nie dzieli, sprawia, że są tak silnie obecne...

Zmęczenie mężczyznami w ogóle, bo z początku wydaje ci się, że będą o ciebie dbali, a potem zawsze kończy się tym, że to ty dbasz o nich...

Gdybym tak mogła, myśli Katia, wsiąść na tego konia i pojechać za wszystkie ogrodzenia, za góry, jakbym była znowu młodą dziewczyną. Jakbym była siedemnastolatką, która nie wie jeszcze zbyt wiele o mężczyznach, a przyszłość jest dla niej jedną wielką zagadką.

Po powrocie do domu Katia dzwoni do swojej córki jedynaczki, mieszkającej w Mieście Wina.

– Mam dobre wieści – mówi jej jedyna córka tonem zwiastującym złe nowiny.

– No, co takiego?

– Aleks dostanie podwyżkę. Dzisiaj się dowiedział. Nie tyle, o ile prosił, ale dostanie.

– Świetnie.

– W przyszłym roku może będziemy mogli przeprowadzić się do większego mieszkania. Budują teraz w mieście nowe osiedle Laureatów Nobla. Ładna nazwa, prawda? I są tam dobre ceny. A i tak mamy wrażenie, że przyda nam się nowy początek.

– To wspaniale – mówi Katia.

Obie milkną. Zamiast słów poprzez linię telefoniczną przepływają myśli.

Teraz, myśli Katia, powinna zaproponować, żeby z nimi zamieszkała, po przeprowadzce do nowego mieszkania.

Spodziewa się, myśli jej córka jedynaczka, że zaproszę ją, by zamieszkała z nami w nowym mieszkaniu.

Anton nigdy nie zgodzi się zamieszkać z nimi, myśli Katia, ale mimo wszystko...

Aleks i Anton w jednym domu, myśli jej córka, to zwyczajnie nie wyjdzie...

Jest dokładnie taka sama jak jej ojciec, myśli Katia, ucieka w chwilach prawdy.

Ten cały Anton, myśli jej jedyna córka, ślusarz, który uważa się za Kasparowa. Gdzie mu do mojego ojca.

Milczenie między nami, myśli Katia, przekroczyło granicę, za którą chwile milczenia stają się już krępujące.

Milczenie między nami, myśli jej jedyna córka, przekroczyło granicę, za którą chwile milczenia stają się przygniatające.

– A co tam u Danika? – przerywa milczenie Katia (i myśli, że to jak w matematyce: jeśli a kocha b i również c kocha b , to najbezpieczniej dla a i c jest rozmawiać o b).

– Chciałabym, żeby trochę częściej wychodził na dwór z kolegami – mówi jej córka jedynaczka. – Martwię się o niego. Przez cały czas tylko siedzi w domu i czyta książki.

Jak ma mieć kolegów, skoro co roku przeprowadzacie się w nowe miejsce i odrywacie go od przyjaciół, myśli Katia.

A na głos mówi:

– Gdyby cały czas bawił się na dworze, narzekałabyś, dlaczego trochę nie poczyta.

– Prawda! – śmieje się jej jedyna córka.

Kiedy się śmieje, słyhać, że jest piękną kobietą.

– Chcesz z nim porozmawiać? – pyta.

– Co za pytanie – Katia na to.

Daniel podchodzi do telefonu. Słyszy, jak zbliżają się jego drobne kroki.

– *Kak die-ła, babuszka?* – mówi. – Tęsknię za tobą.

– Niedługo się zobaczymy – zapewnia Katia i w duchu dziwi się, z jaką łatwością chłopiec wyraża uczucia.

– Co czytasz, Daniku? – pyta. – Mama mówiła, że siedzisz z nosem w książce.

– Janusza Korczaka. Dostałem od Antona. Powiedz – ciągnie – czy on nadal jest... zmęczony?

– Już nie.

– Jednak miałem rację! – wykrzykuje radośnie Daniel.

– W związku z czym? – Katia nie jest pewna.

– W związku z klubem – mówi chłopiec. – Znowu zaczęli go budować,

prawda?

– Czerwony orzeł! Czerwony orzeł! – ryczą głośniki w Tajnej Jednostce, o której Wiedzą Wszyscy, a chwilę później bębenki przeszywa wycie syreny. Gdyby Ben Cuk nie znał tego dźwięku tak dobrze, pewnie by się przeraził. Ale to jedyna przerwa, na jaką sobie pozwala, siedzi więc dalej, co jakiś czas sięgając do słoika z kiszonymi ogórkami przyrządzonymi przez Menuchę. Mur, który postawił, zasłania widok na jednostkę, ale on dokładnie wie, co się dzieje o tej godzinie we wnętrzu ziemi: dyżurny oddział organizuje się, a oficer dowodzący przynagla ich do pośpiechu. Niebawem głośniki nadadzą komunikat „dwie minuty”, i rozumieją, że nie zostało im zbyt wiele czasu, by dotrzeć do bramy jednostki. Z miejsca, w którym siedzi, Ben Cuk nie może dostrzec grupy żołnierzy biegnących do bramy, ale może ich sobie wyobrazić. Jeden z nich na pewno teraz się potknął. Drugi zapomniał zapiąć paska od hełmu. Trzeci ma na nogach białe tenisówki, bo ortopeda zwolnił go z obowiązku noszenia wojskowych butów. Wszyscy to rozleniwieni żołnierze wywiadu, okularnicy, bez doświadczenia bojowego. W przypadku prawdziwego alarmu zostanie powołana komisja śledcza, ale mimo to – szkolenie podstawowe to szkolenie podstawowe, posłuszeństwo to posłuszeństwo, wojsko to wojsko.

Przez pięć lat trzymał się tej logiki, by nie osunąć się do szeolu. Przez pięć lat każdego ranka czyścił buty najczarniejszą z past i wieszał na szyi blaszkę nieśmiertelnika, wpychał zielony beret na przeznaczone mu miejsce pod pagonem – aż pewnego dnia runął w dół.

Nie było żadnych znaków ostrzegawczych. Tamtego dnia myślał o Ajelet tylko pięćset trzydzieści trzy razy. Nie więcej niż przeciętnie. W radiu nie puszczano *Eleanor Rigby*. Do jednostki nie przybyła nowa żołnierka, której zapach przypominałby mu tamten. Także data nie miała specjalnego znaczenia: to nie była rocznica ich pierwszego spotkania. Ani jej urodziny. Ani dzień, w którym odeszła.

Rozpacz ma najwyraźniej własny punkt wrzenia, w którym zmieniają się stany skupienia wszystkiego. A pęczniejąca bańka niekiedy jest niewidoczna dla oka.

Wstał i wyszedł z pokoju odpraw w połowie narady na temat rocznej oceny oficerów wywiadu. Burzliwy spór toczył się wokół kwestii, czy gdy przyjdzie im przedstawić potencjalną eskalację sytuacji na granicy, mają używać określenia „nie jest wykluczone” czy też „nie należy odrzucać możliwości” – i nagle poczuł, że ma dość całej tej mętnej niejednoznaczności, panującej w wojsku od czasów zaniedbań z wojny Jom Kipur, która odbijała zbyt głośnym echem jego wewnętrzny chaos. Bez słowa odszedł od stołu konferencyjnego, nacisnął kłamkę, na zewnątrz, na zewnątrz. Nie poszedł do siebie po mapę, ale wszedł od razu do windy i nacisnął „0”, a winda zaczęła przedzierać się na górę między podziemnymi bunkrami, tunelami i korytarzami i w końcu wyniosła go na poziom gruntu. Wyszedł na

słońce, po raz pierwszy od rana. Zaczerpnął powietrza. Przez chwilę sądził, że tylko tego potrzebował. Odrobiny powietrza.

Ale chwilę później nogi poniosły go przed siebie, w stronę bramy. Nigdy wcześniej nogi nie niosły go same, zawsze to on nimi kierował. Co jest, Ben Cuk, mieliście dzisiaj krótki dzień? – zawołał do niego wartownik, ale Mosze nie odpowiedział. Popchnął z całej siły furtkę dla pieszych i minął betonowe zapory szybkim krokiem, który po kilku sekundach przeszedł w bieg. Po jednej stronie rozpościerała się zamiesz-kana przez ptaki dolina, po drugiej wznosiły się ruiny starożytnej fortecy, a on biegł między nimi jak linoskoczek na linie. Na skrzyżowaniu, skąd można było pójść na prawo do punktu widokowego, z którego widać było Niekiedy Białą Górę, lub na lewo do osiedla Źródło Dumy, jego nogi postanowiły iść przed siebie, wprost do gęstego lasu, ledwo zaznaczoną ścieżką pobielonych kamieni, wiodącą zakosami w dół. W pewnej chwili ścieżka całkiem stopiła się z otoczeniem, lecz Ben Cuk nie zatrzymał się ani nie zwolnił, bo kto zwalnia, ten upada, i biegł dalej, bez określonego kierunku, wśród gęsto rosnących drzew, między plamami światła i cienia, miażdżąc stopami drobne gałązki, podrywając do lotu odpoczywające motyle, płosząc lisy, zahaczając o drapiące go gałęzie, z krwią ciekącą po ramionach i po łydkach, a wielki krzyk wznosił się z głębi bunkrów jego duszy ku przeponie, do piersi, i do niewielkiej delty między arteriami w gardle: już nie mo-gę dłu-żej!

Dłużej! Dłużej! Dłużej! – odpowiedziały mu jego własnym krzykiem góry, a on padł na ziemię, mamrocząc: ratunku, ratunku. Leżał twarzą do ziemi, nosem zarył między suche gałązki, jakby kopał sobie grób.

Kiedy oprzytomniał, słońce chyliło się ku zachodowi. Miękkie światło zalewało las i w odległości kilkudziesięciu metrów od miejsca, w którym leżał, na zboczu, połyskiwało coś błękitnego. Wstał i natychmiast znów się przewrócił, z zawrotem głowy. Znowu się dźwignął, tym razem wolniej, i bardzo powoli ruszył w stronę niebieskiej plamy. Była to pieczara, oznaczająca miejsce pochówku świątobliwego Chezekiasza i jego żony, jak informowała malutka zardzewiała tabliczka umieszczona tam przez Komitet Opieki nad Świętymi Grobami. Przy wejściu do jaskini, w cieniu sosny, ktoś ustawił czarne plastikowe krzesło.

Słońce złociło szczyty gór, a suche i chłodne powietrze koilo jego zadrapania. Siedział tak długie minuty, czekając, aż uciszy się bicie serca, a później wstał i wszedł do środka. Na zakurzonej półce niedużej szafki opierało się o siebie kilka tomów Księgi Psalmów, a kilka innych drzemało w stosie na stole z ułamaną nogą. Wziął jeden z tomów do ręki, ale go nie otworzył. Sprawily to lata wychowania w kibucu. Trzymał książkę w jednej ręce, a drugą opierał się o grób. Lecz gdy spróbował zamienić ręce, książka wyslizgnęła się i upadła na ziemię, otwarta. Wtedy Ben Cuk ją podniósł. I przeczytał pierwszy wers, na jaki padł jego wzrok.

Kiedy tak czytał, obudziło się w nim uśpione wspomnienie z dzieciństwa: ojciec w jarmułce na głowie czyta na głos dokładnie ten sam werset z Księgi Psalmów po śmierci matki. Jego ojciec? Nosił jarmułkę? Dlaczego nikt mu tego nie powiedział?! Usiłował uchwycić się koniuszka tego wspomnienia, wydobyć je w całości na zewnątrz, ale było zbyt słabe i ulotne, umknęło jego świadomości i znów pokryło się pyłem zapomnienia.

Przeczytał znowu:

„Wybaw mnie, Boże, bo woda sięga mi po szyję, ugrzązłem w mule topieli i nie mam nigdzie oparcia, trafiłem na wodną głębinę i nurt wody mnie porywa”.

Nazajutrz po dniu pracy nie wrócił do kibucu, lecz skierował kroki do jaskini z grobem świątobliwego Chezekiasza i jego żony. W jednej ręce niósł puszkę niebieskiej farby, w drugiej pędzel. Tym razem nie biegł, lecz szedł powoli, zauważając szczegóły, które umknęły jego uwadze we wzburzeniu dnia poprzedniego. Oto niewielka kępa cedrów – co robi w sosnowym lesie? Najwyraźniej drzewa jakoś tu zabłądziły. Oto kita lisa czmychającego między wielkimi głazami. A nawet nieduża tabliczka, której nie zauważył wczoraj, przybita do drzewa, wskazująca kierunek do jaskini z grobem. I ścieżka, prawdziwa ścieżka, wspinająca się pod górę, na próg jaskini.

Odciski jego wojskowych butów wciąż widniały na ziemi obok czarnego plastikowego krzesła. Zmiótł z siedzenia igliwie, które zdążyło opaść w ciągu zeszłej doby, usiadł i objął spojrzeniem las i góry za nim. Widoczność była niezwykle ostra i przejrzyste powietrze odświeżyło jego spojrzenie: wydawało mu się, że widzi wszystko po raz pierwszy. Na przykład to, że gałęzie drzew są tak blisko siebie, iż niemal się stykają, ale nigdy na tyle, by sobie przeszkadzać nawzajem. Skąd wiedzą, kiedy się zatrzymać, zastanawiał się, a odpowiedź doszła do niego echem od gór: we wszystkim jest porządek. We wszystkim jest cel i ktoś, kto tym kieruje. Teraz powiał wiatr, dokładnie w odpowiedniej mierze. A gładzące go promienie słońca grzeją dokładnie tak mocno, jak trzeba. Wszystko jest takie, jak powinno, i każda rzecz ma swoje właściwe miejsce we wszechświecie, łącznie z nim. Bo tu, a nie w żadnym innym miejscu, chce teraz być.

Przez dłuższą chwilę przysłuchiwał się, jak wiatr porusza gałęziami drzew, i własnemu oddechowi, zwalczył silną chęć zapalenia papierosa – bez wątpienia była to chwila, która zachęcała do zaciągnięcia się papierosem – wstał i zabrał się do pracy. Odświeżył warstwę wyblakłej niebieskiej farby pokrywającej sklepienie grobowca. Delikatnymi ruchami, niczym artysta, a nie malarz pokojowy. Później wysprzątał otoczenie z pozostałości po ogniskach i opakowań po chipsach, a w końcu pociągnął sklepienie jeszcze raz, drugą warstwą farby.

Kiedy skończył, zbliżał się zachód słońca. Ujął Księgę Psalmów, usiadł na krześle i zaczął czytać. Nie po kolei. Według tego, co najpiękniejsze. Od „Szczęśliwy mąż, który nie idzie za radą występnych, nie wchodzi na drogę

grzeszników i nie siada w kole szyderców” jego oczy przebiegły do „Poganie wpadli w jamę, którą wykopali, noga ich uwięzła w sidle przez nich zastawionym”, potem do „Niech Pan będzie ucieczką dla uciśnionego, ucieczką w czasach utrapienia” i „Jak długo, Panie, całkiem o mnie nie będziesz pamiętał? Dokąd kryć będziesz przede mną oblicze?”.

W kolejnych dniach co jakiś czas łapał się na tym, że bezwiednie mamrocze wersety. W filmach, które oglądali razem z Ajelet, bohaterowie w chwilach kryzysu jechali do domu rodzinnego, by zaczerpnąć nieco siły od rodziców; i on także tak robi, choć jego dom został zburzony, a rodziców nie ma wśród żywych – dzięki Księdze Psalmów wraca do domu dzieciństwa: powoli zaczynał pojmować, że starożytne słowa to tajny szyfr umożliwiający mu dostęp do skarbcza pełnego wspomnień, o których nie wiedział, że może z nich czerpać.

Jest z ojcem w synagodze. Ojciec odkłada dla niego część chałki na szabat. Mały Moszik bawi się rzemykami od filakterii i zawiązuje je sobie na nodze, a ojciec bezskutecznie tłumi śmiech.

Co wieczór, po skończonej zmianie, kierował kroki do pieczary z grobowcem. Wykonywał rozmaite naprawy. Wymienił półki w szafce. Postawił stół na nogi. Ustawił książki zgodnie z datą wydania i zainstalował specjalny, bezpieczny stojak na wieczną lampkę, aby pieczara była niczym dusza, zawsze rozjaśniona od wewnątrz.

Pomysł ten zaczerpnął ze *Szczegółowego przewodnika po grobach świętych cadyków* pióra Cwi Wilnaja, który znalazł w jedynej księgarni w Mieście na Granicy. Sprzedawczyni miała zachęcający błysk w oku i rozpięte dwa górne guziki bluzki. Zapytała, czy interesują go inne książki na ten temat. Skinął głową, a ona wyszła ze swego miejsca za kasą, dotknęła delikatnie jego ramienia i powiedziała: proszę za mną. Podczas gdy oprowadzała go po malutkim sklepiku, raz wspięła się na czubki palców, by sięgnąć po książkę z wysokiej półki, a jej bluzka uniosła się lekko, odsłaniając talię, innym razem, gdy pochyliła się, by wyjąć książkę z dolnej półki, jego oczom ukazały się wypięte gruszkowate pośladki.

Dopóki nie wkroczyłeś na królewską drogę, nie zbaczaj, ostrzegął Ben Cuk samego siebie i powstrzymał się przed zadzwonieniem pod numer, który zapisała na paragonie. Zamiast tego używał go jako zakładki podczas lektury *Szczegółowego przewodnika po grobach świętych cadyków*.

Pod koniec przewodnika trafił na osobliwą opowieść o cadyku Chezekiaszu i jego żonie. Okazało się, że ów Chezekiasz, który należał do pierwszego pokolenia tanaitów, mędrców Talmudu, był kupcem tkanin. Kiedy zmarła jego żona Lea, opłakiwał ją przez siedem dni, wedle zwyczaju, ale ósmego dnia, gdy powinien podnieść się z żałoby, nie zrobił tego. A gdy nie wstał również dziewiątego ani dziesiątego dnia, wezwano pospiesznie najważniejszego męża tamtych czasów,

który ucałował jego czoło ze słowami: dlaczego nie podnosisz się z żaloby, Chezekiaszu? Chezekiasz odrzekł: rabbi, mój świat ogarnęły ciemności, odkąd moja żona odeszła. Podnieś się – nakazał wielki mąż – i pójdź, pomagaj ubogim swego miasta, a każdy dobry uczynek, który sprawisz, będzie kolejnym światełkiem zapalonym w mroku twego serca. I tak się stało. Kupiec wyprzedził wszystkie towary, żył w całkowitej prostocie i spędził resztę swych dni na udzielaniu pomocy. Na przykład, gdy rozerwał się sandał pewnej kobiety w szabat i nie można było przynieść jej innego ze względu na szabatowy „zakaz wynoszenia przedmiotów”, Chezekiasz kładł swoje ręce pod stopami kobiety, która stąpając po nich, mogła dojść do domu. Do tego stopnia stał się pokorny! Dlatego także wyrzekł się żalu po śmierci żony. A kiedy umarł w sędziwym wieku, pochowano go obok niej. Od tamtej pory, pisze Cwi Wilnaj, do ich wspólnego grobu pielgrzymują wszyscy ci, którzy pragną znaleźć idealnego współmałżonka.

Ze wszystkich grobowców, pomyślał poruszony Ben Cuk, padłem na kolana akurat przed grobem człowieka o złamanym sercu. Jeśli to nie jest znak, powiedział sobie, to co nim jest?

Po upływie miesiąca wyjął z książki karteczkę z numerem telefonu sprzedawczyni z księgarni, wyrzucił ją do śmieci i udał się do Miasta Cadyków w poszukiwaniu rabina.

Dość tego, mówi sobie Daniel w duchu. Nie będzie prosić ani błagać. Jeśli nie chcą go wybrać do drużyny, ich prawo. Ale on ma swój honor. Nie będzie podnosić ręki, jakby tamci byli nauczycielami, a on ich uczniem. To w końcu tylko chłopcy z jego klasy, chociaż lepsi od niego w grze w piłkę. Na każdej lekcji wuefu jest to samo. Kwadrans przed końcem nauczyciel pozwala Eranowi Turkiemu i Cachiemu Brenerowi sformować dwie drużyny, a reszta siedzi na ławkach i czeka, aż tamci przeprowadzą selekcję.

To jasne, że także dzisiaj zostanie ostatni. W końcu Cachi Brener wybierze go, bo nie będzie miał wyjścia. I każe mu stanąć na bramce, bo tam Ruski wyrządzi najmniej szkody (nie mówi tego, ale Daniel wie, że o to chodzi).

Ale nie będzie się płaszczyl, jak inne dzieci. Nie będzie wołać „ja”, „weź mnie”.

Z wyprostowanymi plecami i uniesioną głową zejdzie, żeby stanąć na bramce, i będzie się bezgłośnie modlić, by żadna piłka nie poleciała w jego stronę.

– Dlaczego Szoni miałyby zwrócić na mnie uwagę – pyta Antona podczas jednej z ich rozmów – jeśli w niczym się nie wyróżniam?

– Jak to, *duraczok*? Pewnie, że się wyróżniasz.

– W czym?

– W miłości. A mężczyzna, który umie kochać, zawsze będzie mieć powodzenie u kobiet.

Wypowiedzi Antona brzmią wspaniale, kiedy je mówi, rozmyśla Daniel (ma

czas na myślenie, bo piłka znajduje się teraz po drugiej stronie boiska), ale potem, gdy wracam do szkoły, odkrywam, że nie są warte ani kopiejki: jak mam mieć powodzenie u Szoni, jeśli ona nie wie nawet, że istnieję, a poza tym co będzie, kiedy na koniec roku przeniosę się do innej szkoły?

Tak, on też słyszał rozmowę mamy z babcią: tata dostał podwyżkę. W mieście buduje się nowe osiedle. Na nowym osiedlu są większe mieszkania.

Wie także doskonale, co to oznacza: kartonowe pudła. Tragarzy, którzy pakują te pudła do wielkiej cię-żarówki. Tatę klóćącego się po rosyjsku o wysokość napiwku z tragarzami. A potem: wielka ciężarówka pełna kartonowych pudeł jedzie do nowego domu, a oni jadą za nią swoim małym samochodem, on siedzi na tylnym siedzeniu i trzyma mocno telewizor, żeby nie spadł. A potem: inny pokój. Inne łóżko. Kilka bezsennych nocy, zanim nie przyzwyczai się do hałasów, które nowy dom wydaje nocami (każdy dom wydaje nocą swoje własne dźwięki).

A później, po wakacjach letnich, nowa szkoła, oczywiście. W której nie będzie Szoni.

Nie zapytają go o zdanie. Nie upewnią się, czy w ogóle odpowiada mu pójsie do innej szkoły, w której nie będzie Szoni. To go denerwuje. Bo do tego, żeby wypełniać po hebrajsku formularze do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, jest dość duży, ale kiedy trzeba podejmować decyzje rodzinne, *glasnost*’ zostaje zniesiona i jego zdanie nie jest brane pod uwagę bardziej niż zdanie suczki Albiny (jego wymyślonego psa – nie chcą kupić mu prawdziwego psa, chociaż prosił o to kilka razy).

Czas się kończy, muszę jakoś sprawić, żeby Szoni mnie dostrzegła, zanim zacznie się lato, myśli, gdy nauczyciel odgwizduje wreszcie koniec lekcji. Wtedy dołącza do grupy chłopców, którzy zmierzają z powrotem do klasy.

Przez całe dwa lata Mosze Ben Cuk próbował przynależeć. Zintegrować się. Płynąć z różnymi nurtami w Mieście Cadyków. Fale jednak zawsze wyrzucały go z powrotem na brzeg odrębności.

W jednej grupie byli dla niego zbyt surowi: każdemu jego krokowi towarzyszyły spojrzenia przywódców społeczności, którzy jakby czekali na najmniejsze potknięcie, umożliwiające im kręcenie głowami z dezaprobatą. Sposób, w jaki trzymał modlitewnik, w których momentach klaniał się podczas odmawiania modlitwy *szmone esre*, to że nie wiedział, kiedy zrobić krok na zakończenie, nawet broda, którą tak pracowicie zapuszczał – wszystko ich jakoś rozczarowywało. Zdawało mu się, że nie ma znaczenia, co robi, nieważne, jak bardzo będzie się starać – dla nich zawsze będzie drugiego sortu. To wszystko trochę za bardzo przypominało mu spojrzenia, które śledziły go, gdy wchodził do jadalni w kibucu.

W innym ugrupowaniu, którego członkowie szczylicili się swoimi *open minds*, wszyscy mówili po angielsku, przez co czuł się gorszy, bo jego angielski nie

był aż taki *brilliant*. W kolejnych dwóch grupach zażądano, by zdecydował, czy jest sefardyjczykiem czy aszkenazyjczykiem. Ja jestem taki... pół na pół, usiłował wytłumaczyć, ojciec był z jednych, a matka z drugich... Większość dzieciństwa spędziłem z przyszywanym dziadkiem, Rosjaninem, ożenionym z kobietą, której rodzina pochodziła z Turcji... Rozumiecie, to trochę skomplikowane...

Nie zrozumieli.

Powoli ogarnęło go znużenie. Skoro tak wygląda sytuacja, gdy w końcu próbuje do czegoś przynależeć, mówił sobie, jaki sens w ogóle ma wysiłek „naprawienia swojego postępowania”? Co mu przyjdzie z wszystkich tych narzuconych odgórnie zakazów?

Jeszcze tego samego dnia wieczorem pojechał do Miasta na Granicy, poszedł do księgarni i zapytał sprzedawczynię, kiedy kończy pracę. Czekał na nią przy stoisku z szalarnią naprzeciwko. Poszli razem do niej.

Ale rano, gdy jechał z jej mieszkania do pracy, poczuł, jak rozwiera się w nim ziejąca przepaść błędu, i przysiągł sobie, że dość, koniec, ostatni raz dał się skusić złemu popędowi.

To nie był ostatni raz.

Z biegiem lat, gdy będzie opowiadać sobie historię swego „umocnienia”, będzie wolał usunąć z wewnętrznego protokołu wszystkie potknięcia, które przytrafiały mu się po drodze, cały ten ruch wahadłowy: to, jak w piątki szedł specjalnie do sklepu i zamiast papierosów kupował trzy lody na patyku w różnych smakach. Od chwili nastania szabatu lizał je powoli, najwolniej, jak tylko się dało, a potem ssał sam patyczek, aż wyssał ostatnią kropelkę słodczy, i zaczynał żuć w ustach drewniane drzazgi, po kilku minutach odwijał z papierka lód o innym smaku, znowu lizał go powoli i znowu zostawiał patyczek w ustach na długo, obracając go w palcach, ssąc i wyjmując, jakby nie był tylko namiastką...

Faktem jest, że w większości przypadków cały ten wysiłek był nadaremny. Bo po południu wymykał się z opuszczoną głową do szebabników, chłopaków, którzy porzucili religijne obyczaje. I żebrał.

Tamten wieczór, gdy wiedziony fałszywym impulsem, zmienił strój studenta jesziwy na dzinsy i koszulkę i pojechał do klubu Logos w Tel Awiwie, by posłuchać występu Szaloma, wypił o wiele za dużo, chcąc zaimponować barmance, i przebierał palcami na strunach wyimaginowanej gitary, chociaż nigdy w życiu nie grał na gitarze, klaskał rękami nad głową i wrzeszczał głośniejsz od innych, że „Mesjasz nie przyjdzie ani nie zadzwoni”.

Impulsywna podróż do Miasta Piasków na kilka dni przed ślubem z Menuchą: to, jak godzinami jeździł po ulicach, z otwartym oknem i wykręconą szyją, w nadziei, że wypatrzy gdzieś Ajelet.

Z wojska także nie odszedł od razu. Długo nie mógł przekroczyć tego Rubikonu i wciąż stał w rozkroku jedną nogą na każdym brzegu.

Za dnia udawał jeszcze, że uważa pracę w wywiadzie za istotną: wymagał od podwładnych, by zbierali kolejne strzępki informacji z podsłuchiwanym rozmów, i nanosił na mapy oraz przezrocza ruchy sił nieprzyjaciela. Ale kwestie, które nigdy wcześniej go nie niepokoiły, teraz wypływały na wierzch i unosiły się na powierzchni, mąciły jego spokój, gdy tak nakładał kolejne przezrocza: czemu to wszystko służy? Rejestrować, jak siły nieprzyjaciela przesuwają się stąd tam i z powrotem – czy to ma być najbardziej istotna rzecz, którą on, Mosze Ben Cuk, będzie robić w tym życiu?

Nocami nie mógł spać. Studiował stronicę Biblii i Gemary, przerywał, zastanawiał się i wracał do lektury. Samodzielnie, nie w chawrucie, grupie. Pozwalał, by starożytne słowa raz po raz otwierały przed nim skarbiec wspomnień z dzieciństwa. „Dlatego opuści człowiek ojca i matkę...”, czytał, i nagle widział matkę w zielonej sukience, gra na flecie bocznym, a on leży w łóżku pod kołdrą, może jest chory, a ona mu gra, ale co takiego? Nie udaje mu się dosłyszeć melodii. A to co? Brzuch ciężarnej kobiety? Jego matka była w ciąży? Co się z nią stało? Może to była jej „choroba”? Nagle, w środku melodii, wchodzi ojciec w wojskowym mundurze, wraca z wojny, dotyka jej brzucha. Jaka to wojna? Jom Kipur? Czy to w ogóle pasuje do lat? Jak to możliwe, że ojciec nie ma jarmułki? Przestał ją nosić w wojsku? Czy to jakiś inny ojciec, który przez pomyłkę zawędrował do jego wspomnień?

O świcie zamykał oczy i czuł, naprawdę to czuł: tutaj, między tymi kartami, kryje się jego jedyna szansa na ocalenie. Przybysz z zewnątrz na zawsze pozostanie przybyszem z zewnątrz, ale jeśli wytrwa w pobożności, przynajmniej będzie mieć Najwyższego, rozwiązanie problemów wszystkich nowych przybyszów, który będzie mu towarzyszył i zawsze będzie po jego stronie.

Po porannej modlitwie pił kawę z fusami i jechał do jednostki, gdzie jednym uchem wysłuchiwał meldunków podkomendnych, mechanicznie kiwał głową na polecenia swoich przełożonych i wychodził na bardzo długie południowe przerwy, które wykorzystywał do nadrabiania godzin snu na tylnym siedzeniu samochodu.

Ale każde udawanie ma swój koniec i wreszcie dowódcy mieli dość obniżonej produktywności jego oraz jego wydziału i zaproponowali mu wcześniejsze przejście do cywila na dogodnych warunkach.

Kilka tygodni po tym, jak zwrócił do jednostki cały sprzęt poza kilkoma zdjęciami lotniczymi o wartości sentymentalnej, ujrzał w lokalnej gazecie ogłoszenie o konkursie na stanowisko osobistego asystenta burmistrza. Proszę bardzo, powiedział sobie, oto twoja okazja, żeby stać się jak Aba Chezekiasz. Działać dla dobra innych. Unieważnić siebie, a przez to także unieważnić swój ból.

– Szkoda twojego czasu, cadyku – powiedział sprzedawca w kiosku, gdy poprosił o długopis, by zakreślić ogłoszenie. – Wszyscy tam w ratuszu to kombinatorzy, są całe wydziały, w których pracownicy noszą to samo nazwisko,

rozumiesz, do czego piję?

– Przekleństwem tego miasta jest klimatyzacja! – Podczas rozmowy o pracę Danino roztoczył przed nim strategiczną wizję. – Zanim ludzie z równin zaczęli zakładać u siebie klimatyzację, przyjeżdżali do nas każdego lata, by oddychać górskim powietrzem, i miasto przyzwoicie się z tego utrzymywało. Teraz to inna epoka. Trzeba znaleźć nowe drogi rozwoju. Być kreatywnym. Potrzeba mi kogoś, kto będzie moją prawą ręką – powiedział, kładąc lewą dłoń na jego ramieniu. – Kogoś z doświadczeniem na stanowisku dowódczym, człowieka praktycznego, który wprowadzi w czyn wszystkie moje plany. W tym mieście wszyscy czekają na zbawienie, a ja potrzebuję kogoś, kto stoi twardo obiema nogami na ziemi.

– Ale ja jestem tu nowy – powiedział Ben Cuk. – Ja nie... Nikogo tu nie znam.

– To właśnie twoja zaleta, *ja ibni*. Przychodzisz czysty. Nie wiąże cię zobowiązanie wobec żadnej grupy i żadnego patrona.

– Poza samym Najwyższym – pospiesznie wtrącił Ben Cuk.

– Naturalnie – pospiesznie zgodził się Danino.

Od początku funkcjonował jako człowiek Danina do specjalnych poleceń. Także w Mieście Cadyków przydarzają się świeckie problemy i okazało się, że Ben Cuk musi wywozić zdechłe koty, zapalać zgasłe latarnie, organizować od podstaw obumarły wydział zieleni miejskiej, przewozić z miejsca na miejsce baraki z prefabrykatów, a przy tym uczy się poznawać miasto i jego język, bo każde miasto ma swoje prywatne narzecze. Kiedy mieszkańcy Miasta Cadyków mówią „spotkajmy się pod tablicą”, mają na myśli tablicę z drogowskazem u wejścia na deptak. Zapytani o drogę do tego czy innego osiedla nie zaczynają objaśniać, lecz pytają „a do kogo pan jedzie?”. W mieście jest tylko jedno skrzyżowanie z sygnalizacją świetlną, wyposażoną w zielone i czerwone światło. Bez żółtego. I setki, jeśli nie tysiące, skarbonek na jałmużnę. W sklepiku spożywczym. W kiosku. Przy wejściu do przychodni. Przy wejściu do publicznej toalety. Przy każdej z dziesiątek mykw. U wejścia do każdej z dziesiątek jesziw. Brzęk spadających na dno skarbonki monet akompaniuje miastu przez wszystkie dni tygodnia, jak metronom, i do tego rytmu dopasowują się także inne dźwięki: uderzenia trzepaczek o zakurzone dywany na balkonach, krótkie klaksony taksówkarzy pod domami klientów, dłuższe sygnały kierowców furgonetek, gdy wycofują pojazdy, latem melodyjka samochodu z lodami, stukot gradu o dachy domów zimą, mężowie gniewający się na swoje żony, kobiety wołające dzieci do domów, po raz drugi, trzeci, czwarty, muzyka dobiegająca z pojazdu organizacji Chabad, łopot skrzydeł historii, blues starych kontenerów, strzały na miejskiej strzelnicy, wiertarki, kosiarki, wychowawczynie w szkole podstawowej – wszystkie dźwięki miasta stapiają się w jeden zgiełk, zdumiewająco harmonijny, który stopniowo narasta, przechodząc w huk, w miarę jak mija tydzień, aż do

nastania szabatu, gdy ze wszystkich domów wznoszą się pieśni pochwalne i dziękczynne, a po nich zapada cisza. Która także jest rodzajem dźwięku, ze swoim własnym rytmem.

W szabatowe wieczory Ben Cuk był zapraszany na kolację do domu Danina, a w sobotę, po modlitwie *musaf* w synagodze, miał zwyczaj iść na piechotę do grobu świątobliwego Chezekiasza i jego żony, w gęstym lesie, i tam kierować do Nieba osobistą modlitwę: aby Najwyższy dał mu siłę przetrwać szabat wyłącznie o lodach na patyku. Niech sprawi, by zapomniał o dawnych błędach i dawnych miłościach. I niech pomoże mu zbudować w Izraelu własny dom.

Menuchę ujrzał w pewien sobotni wieczór po zakończeniu szabatu na jednej z uliczek Starego Miasta, pośrodku grupy dziewcząt idących od strony Domu Sierot. Była ładna. Nosiła szare pończochy. Kiedy spojrzał na nią, odwróciła spojrzenie dopiero po chwili i wydawało mu się, że w kącikach jej ust zaigrał nawet cień uśmiechu. Zaczął o nią wypytywać. Powiedziano mu, żeby wybił sobie z głowy. W Domu Sierot pracuje tylko jako wolontariuszka. W istocie należy do jednej z najstarszych rodzin w mieście. A on przecież w gruncie rzeczy dopiero co się nawrócił. I przecież mówi się, że „w miejscu, w którym stoją nawróceni, nie mogą stanąć prawdziwi cadycy”.

– Zapomniano ci o tym powiedzieć? – zapytał go ktoś kpiąco. – Nie mogą stać obok siebie, żeby przez pomyłkę nie doszło do ślubu.

Mimo wszystko uparł się, żeby się z nią spotkać. Było w niej coś szlachetnego. Wszystkie jej koleżanki chodziły, jakby chcąc umniejszyć swoją osobę, ona kroczyła wyprostowana. Wspólny znajomy zaaranżował przelotne spotkanie. Wracала z sierocińca, on czekał na rogu, pod latarnią, paląc papierosa. Kiedy się zbliżyła, odrzucił papierosa i zaczął iść ku niej, a jej przyjaciółki rozpierchły się na wszystkie strony. Spojrzał na nią przenikliwie i powiedział:

– Interesujesz mnie.

– U nas tak się nie mówi – odparła.

– To jak się u was mówi?

– Zaczynamy rozmowę od błahych spraw – wyjaśniła. – Temat tygodniowej parszy. Skandal z rabinem Deri. Lokalne plotki.

– To cię naprawdę interesuje? – zapytał. – Wszystkie te błahostki?

Milczała. Zarumieniła się. Spuściła oczy. Poczł, jak bardzo jest niewinna, a przez to odczuł także, jak bardzo sam jest nieczysty. Zaczł wypytywać ją o przyjaciółki, o siostry. Opowiedziała o nich trochę. Same dobre rzeczy. Jedna ma złote serce, druga jest bardzo bystra, trzecia pracowita.

– Kiedy możemy się znów zobaczyć? – spytał, zauważywszy, że Menucha rozgląda się na boki z obawą.

– U nas ludzie nie umawiają się tak zwyczajnie – odrzekła.

– Ale jeśli przypadkiem przystanę tu w przyszłym tygodniu o tej samej porze

pod tą samą latarnią, przejdziesz tędy przypadkiem?

– Tak – powiedziała.

I w jej oczach zapaliła się figlarna iskierka.

– Ale – zauważyła rzeczowo – lepiej, żebyś nie stał w świetle.

Spotkali się kilka razy w tajemnicy. Naturalnie, nie dotykali się. Czasem mimowolnie ramię musnęło ramię. Czubek buta trącił czubek drugiego buta. Nic ponad to, uchowaj Boże.

– Jak minął ci dzień z dziećmi? – pytał za każdym razem, bo zauważył, że mówiąc o sierotach, Menucha jest rozmowniejsza: opowiada o świetnych pomysłach jednego dziecka, o psotach innego. A pewnego dnia jej twarz rozjaśniła się wyjątkowym blaskiem i zanim zdążył zapytać, powiedziała z dumą: tego dnia rano poszli z dziećmi pomalować grób świętego rabina, przywódcy chasydów, wysłuchali też krótkiego wykładu licencjonowanego przewodnika i okazuje się, że jest wiele rzeczy, o których nie wiedziała nawet ona.

– Co takiego na przykład? – zainteresował się.

– Na przykład, że cadyk mówił językiem ptaków. Nauczył się go w czasie, gdy na dłużej porzucił towarzystwo ludzi, by mieszkać samotnie w górach, a później używał go w chwili potrzeby. Wzywał ptaki do siebie. Albo gdzieś je posyłał. Umiał tak ułożyć wargi, naśladowując precyzyjnie głos każdego ptaka, aż ten mu odpowiedział.

– Jaka piękna legenda – powiedział.

Oburzyła się z prawdziwym gniewem, jej oczy stały się nagle intensywnie błękitne:

– Legenda? Mamy świadectwa jego uczniów, że naprawdę tak było. Co, nie wierzysz im?

– Wierzę ci – pospiesznie starał się ją ułagodzić.

Jest taka śliczna, gdy się złości, pomyślał. Pomyślał także: nikt nigdy jej nie okłamał. Nikt jej nie porzucił. Nie odrzucano jej z niechęcią. Nic dziwnego, że jest taka niewinna. Może jeśli dość długo będę przebywać przy niej, stanę się taki sam. Przestanę być twardym jerozolimskim kamieniem, pełnym wątpliwości i porowatym, a stanę się gładką tablicą. Tydzień później, gdy przyszła na ich miejsce spotkań, od razu zobaczył, że jest inna niż zwykle. Z początku nie chciała powiedzieć, o co chodzi, ale powoli doszedł do tego, co się stało: u synka Nachli, jej siostry, która mieszka w Świętym Mieście, poprzedniego dnia zdiagnozowano ostatecznie i oficjalnie autyzm. Już trzecią jej siostrę spotyka to w ostatnich latach. Są jeszcze dwie dziewczyny, kuzynki, których dzieci też... To samo... Na razie trzymają to w rodzinie, by uniknąć negatywnego wpływu... na swaty, sam wiesz, ale w tym mieście nie da się niczego zachować w tajemnicy przez dłuższy czas.

– Z pomocą Najwyższego wszystko się ułoży – powiedział.

– Z pomocą Najwyższego – powtórzyła za nim i zbliżyła się do niego

odrobinę, tak że jej cień niemal dotknął jego cienia.

– Może nawet „z mocnego wyjdzie słodycz” – zacytował.

On także podszedł bliżej.

– Może z mocnego wyjdzie słodycz. – Przechyliła głowę, co prawda bardzo lekko, ale w świetle latarni ich cienie zlały się ze sobą. Jej oczy, które sekundę później wpatrzyły się w jego oczy, świadczyły, że także zrozumiała: skaza genetyczna, odkryta w jej rodzinie, otworzyła im furtkę nadziei.

Zaraz następnego dnia poszedł spotkać się z jej ojcem. Nie chciał wypuścić z rąk kolejnej okazji. Rozmowę rozpoczął od wstępnej wymiany grzeczności. Sprawa rabina Ariego Deri. Treść tygodniowej parszy. Potem zwrócił się do niego tymi słowami:

– Mam oszczędności z okresu służby w wojsku i zapewniony etat w urzędzie miasta. Mogę dać pana córce i wnukom dobrą przyszłość. I pomóc całej rodzinie.

– Do jakiego nurtu należysz? – zainteresował się ojciec Menuchy.

– Ja... Wciąż jestem poszukujący – zająknął się Ben Cuk, ale przypomniał sobie, że rabin nie wie jeszcze, o czym on wie, i powtórzył bardziej zdecydowanie:

– Należę do nurtu Najwyższego.

– Będiesz považał moją córkę, żrenicę mojego oka? – upewnił się rabin.

– Całym sercem – zapewnił Ben Cuk.

Ojciec ujął jego dłoń i przez dłuższy czas przesuwiał palcem po rozwidlających się liniach, a później długo przypatrywał się jego twarzy. Z początku skupił się na nosie, później na uszach, policzkach i wargach, a Ben Cuk czuł, że wszystkie jego ukryte cechy od-słaniają się przed tym człowiekiem, i jakakolwiek próba poinformowania go o własnych przymiotach byłaby zbędna.

Na koniec rabin odwrócił wzrok i powiedział:

– Nie jest łatwo być nawróconym. Jedną nogą tkwi się w przyszłości, drugą w przeszłości, a w dole rozpościera się otchłań dezorientacji i zagrożenia.

Ben Cuk skinął głową, myśląc: jakie smutne, że to takie prawdziwe.

– Przecież okiełznania złych skłonności – ciągnął ojciec Menuchy – trzeba uczyć się od bardzo młodego wieku, potem jest trudniej.

Ben Cuk spuścił wzrok, myśląc: najgłębsze zrozumienie można spotkać w najmniej oczekiwanych miejscach.

Ojciec pokręcił głową, jakby wydawał wyrok, nie, nie w naszej szkole, to nie może się wydarzyć – ale im bardziej przedłużało się to kręcenie, Ben Cuk zaczął się zastanawiać, czy nie wyraża czegoś przeciwnego: może, zapaliła się w nim nadzieja, ojciec Menuchy kręci głową jak ktoś, kto stopniowo akceptuje, wbrew sobie, jakiś wyrok.

– Cóż, chłopcze, ustalmy coś. – Ojciec na koniec ujął jego podbródek i uniósł go do góry. – Będiesz dalej poszukiwał we własnym rytmie. A tymczasem wystrzegaj się złego i czynń dobro. Tego jesteś w stanie dotrzymać?

– Tak – pospiesznie obiecał Ben Cuk. – Oczywiście.

– A co do modlitwy... z całym szacunkiem, módl się w naszej synagodze, dobrze?

– Naturalnie. Bez dwóch zdań.

Wzięli ślub trzy miesiące później. Z jego strony zjawili się nieliczni goście. Z jej strony setki. W noc poślubną on przyszedł do niej. Delikatnie. Żeby jej nie spłoszyć. Mimo wszystko była wystraszona. Śmiała się, że ją łaskocze. Potem nagle się rozplakała. Mówiła, że to ze wzruszenia. Poprosiła, żeby zgasił światło, bo wstydzi się, że będzie ją oglądał. Potem poprosiła, by zapalił, bo kiedy go nie widzi, ma wrażenie, jakby była z obcym mężczyzną. Zapalił więc światło, zobaczył, jak gładka i jedwabista jest jej skóra, próbował głaskać ją we wszystkich odpowiednich miejscach, ale pozostała sztywna i spięta. Na koniec dał spokój, położył się obok niej i spytał:

– Czego się boisz?

Nie patrząc w jego stronę, rzuciła pytanie:

– Z iloma kobietami byłeś wcześniej?

Roześmiał się z ulgą:

– To o to chodzi?

– Dlaczego się śmiejesz? Co w tym zabawnego?

Szybko spowaźniał i odpowiedział:

– Tylko z sześcioma.

– Tylko – przedrzeźniała go z drwiną. – Istny święty.

– Jakie to ma znaczenie – zaprotestował. – To, co było wcześniej, jakby nie istniało.

– Mimo wszystko może czymś się zaraziłeś? – upierała się.

– Niczym się nie zaraziłem, to jest spowodowane – przejęzyczył się i zaraz poprawił: – Sprawdzone.

Poczuł, jak jego członek się kurczy. Nic dziwnego, że ona tak się zachowuje, pomyślał, to jej pierwszy raz.

Powiedział:

– Nie musimy koniecznie dzisiaj tego robić, kochanie. Mieliśmy długi dzień, pewnie jesteś zmęczona, możemy się tylko przytulić.

– Ale to micwa – zaprotestowała słabo.

– To prawda, ale na wszystko jest czas – tłumaczył. – Możemy to zrobić jutro, nic złego się nie stanie.

– Jesteś pewien? To ci na pewno nie przeszkadza? – Utkwiła w nim wzrok.

To mała dziewczynka, ożeniłem się z dziewczynką, przeleciało mu przez myśl i poczuł, jak w jego piersi wzbiera pragnienie, by otoczyć ją opieką.

– Wcale – zapewnił i objął ją ramieniem.

Okrył ich starannie kołdrą.

Po miesiącu udało im się kochać po raz pierwszy, przy pomocy substancji, które wygładziły trudną drogę. Ale wciąż ją bolało.

– Nie wiem, dlaczego tak mam – powiedziała zduszonym głosem i skuliła się na skraju łóżka.

– Wszystko w porządku – zapewnił. – To musi trochę potrwać.

– A jeśli zawsze tak będzie? – Okrywająca ją kołdra zadrzała. – Może mam jakąś wadę? W końcu mnie zostawisz.

– Nigdy cię nie zostawię – przyrzekł.

Powtarzał to wciąż przez cały pierwszy rok ich małżeństwa, podczas którego każda próba uprawiania seksu kończyła się łzami.

Później przestali próbować. To znaczy dalej spełniali przykazanie raz w miesiącu, ale z pełną świadomością obu stron, że to dla niej żadna przyjemność. Że nie jest w stanie czerpać z tego radości. Nie miał pojęcia dlaczego. Czasami zastanawiał się, czy z innym mężczyzną także nie byłaby spragniona miłości fizycznej, chociaż wydawało mu się, że w gruncie rzeczy go kocha. Cieszy się, że jest przy niej. Mimo wszystko po roku rozmów i zmieniania pozycji próby rozwiązania tej zagadki go zmęczyły i zaczął przekonywać sam siebie, że to dla niego lekcja. Przecież miłość fizyczną miał już raz w życiu. I źle się to skończyło. Bardzo źle. Może teraz Najwyższy postanowił zesłać mu miłość innego rodzaju: mogą siedzieć oboje na balkonie z widokiem na cmentarz, prowadzić swobodną rozmowę bez czających się pod powierzchnią podtekstów, bez oczekiwania, że padną jakieś bezkompromisowe prawdy. Mogą uśmierzać ukłucia porażki i wygładzać ostre brzegi wątpliwości. Mówić „niezbadane są drogi Pana” i „to wszystko ku dobremu”, wierząc w to całym sercem. Czerpać realne pocieszenie ze świadomości, że kłopoty będące ich udziałem stanowią część większej całości, której nie są w stanie zobaczyć. A gdy chłodny wiatr wieczorny, wiejący od strony cmentarza, sprawia, że skóra na ciele pokrywa się gęsią skórką, można wrócić do środka, do ciepłego domu.

Długie lata czepiał się tych powiedzeń: „niezbadane są drogi Pana” i „wszystko ku dobremu”, jak ktoś, kto chwyta się kurczowo dwóch rogów ołtarza, a teraz nagle, w ostatnich tygodniach, jego uchwyt osłabł. Czuł, że z każdym mijającym dniem jest coraz słabszy, a on wyrównuje ściany mykwy i wymawia jedynie imię Ajelet. Zagubionej, zakręcone, zaskakującej Ajelet. Pechowej, pomyłonej, pogardliwej i pogardzanej. To na pewno znak, że wróciła, mówi sobie. Dlaczego akurat teraz? Przez siedem lat udało mu się ustrzec i nagle nawiedził go dybuk? Nie ma innego wyjaśnienia. Ajelet jest gdzieś blisko. To jej obecność w okolicy, może w kibucu, a może tu, w Mieście Cadyków, mąci jego dnie i noce, przywiewa mu do nozdrzy jej zapach w supermarkecie, na placach zabaw, w środku dnia na ulicy, poddając go próbie, którą musi wytrzymać, po prostu musi...

Ale przypuszczenie, że ona jest w pobliżu, które nagle nabiera wagi faktu, podsycia coraz bardziej tęsknotę i Ben Cuk zaczyna szukać Ajelet w każdej kobiecie na ulicy. Wpatruje się w nie w sposób, na jaki nie pozwalał sobie od siedmiu lat. Mierzy je bezwstydnie wzrokiem od kostek nóg po czubek głowy, pod zakrywającymi je warstwami ubrań, skromnych nakryć głowy i chust szuka zarysów ciała, wąskich bioder i odrobinę opadających pośladków, długiej szyi i zbyt szczupłych ramion. Iskry spojrzeń, tryskające z jego oczu, rozniecają w całym ciele feerię płomieni, których nie udaje się ugasić. Ostre poczucie winy sprawia, że ogień pali się coraz żywiej, jak wtedy, gdy ktoś wyleje na palenisko kropelkę oliwy. Płonący w nim żar wypełnia mykwę, w której pracuje w pocie czoła, jest wchłaniany przez ściany, rozgrzewa powietrze na zewnątrz, w szerokiej dolinie oddzielającej ich od jednostki wojskowej, a na prądach ciepłego powietrza unoszą się ptaki, wysoko w górę, z łatwością, która je same zadziwia.

Samczyk zięby zwyczajnej przylatuje do Izraela trzy tygodnie przed swoją partnerką. Ona pozostaje na wschodzie i zwleka jakiś czas, zanim wyruszy w ślad za nim. Samczyk w tym czasie zajmuje się swoimi sprawami. Dziobie ziarenka. Co jakiś czas rozkłada skrzydła z białym paseczkiem, by polecieć do innego źródła nasion. Nie liczy dni, które pozostały do powrotu towarzyszki, i nie wpatruje się w niebo, by zobaczyć, czy nadlatuje. Natomiast samiec zięby niezwyczajnej...

Naim rozmyśla w swojej celi, czytając przewodnik ornitologiczny, na czole ma czerwoną pręgę od desperackiego walenia głową w ścianę tego ranka, a w jego wyobraźni rysuje się ponownie postać długonogiej kobiety o przenikliwym spojrzeniu...

Niezwyczajny ptak wpatruje się w niebo. Mniej więcej co pół minuty. Nie smakuje mu ziarno, gdy nie ma przy sobie partnerki. Może nawet dojść do tego, że oderwie się od stada i polecą z powrotem na wschód, w przeciwnym kierunku, w nadziei, że spotkają się w połowie drogi, a potem może pomylić się w nawigacji i spaść bez sił do morza. Niezwyczajny ptak może myśleć przy tym, spadając w otchłań ku śmierci, że warto było spróbować.

Po wyjściu z kliniki Ajelet przez dłuższą chwilę stała nieruchomo na ulicy, nie wiedząc sama, dokąd pójść. Ginekolog zalecił kilkudniowy odpoczynek w łóżku, ale nie przychodziło jej do głowy żadne łóżko, w którym mogłaby naprawdę odpocząć. Na filmach, które oglądali z Moszikiem w Cinema-teque w Hajfie, w chwilach załamania młodzi bohaterowie jechali do domu, do rodziców, by tam na nowo nabrać sił. Ale dla Ajelet kontakt z rodziną mógł jeszcze bardziej podkopać jej siły. Dom w Mieście Piasków został zburzony, a na jego ruinach postawiono wysoki apartamentowiec. Jej matka mieszkała gdzie indziej, z innym mężczyzną, i jeśli Ajelet pojedzie do niej teraz i opowie, co się stało, wyda westchnienie, w którym więcej będzie rozpaczy niż empatii, i powie: jesteś dokładnie taka sama jak twój ojciec, wiecznie byliście ze wszystkiego

niezadowoleni, a potem zaczepi pierwszą osobę, jaka się jej nawinie, nieważne jaką, najważniejsze, że będzie mogła mówić o Ajelet w trzeciej osobie, i zacznie opowiadać, jak to już w dzieciństwie jej córka była taka, jak wyrzucała do śmieci kanapki, które dostawała do szkoły, a na przerwie prosiła o kęs inne dzieci, jakby w domu ją głodzono, jak w Purim zadreżczała ojca, ciągnąc go od sklepu do sklepu, bo żadne przebranie nie było dla niej dość dobre, a w dziewiątej klasie samodzielnie podjęła decyzję, że woli uczyć się eksternistycznie, ale także w ten sposób nie skończyła nauki, wołała palić haszysz ze swoim towarzystwem z Nachal, i chociaż złapała w tamtym kibucu naprawdę wartościowego chłopaka, sól ziemi, proszę bardzo, to także udało się jej zmarnować.

Nie, podsumowała Ajelet w duchu. Miasto Piasków nie wchodzi w grę. A w kibucu czeka Moszik, który wbił jej nóż w serce, i Izrael, któremu ona wbiła nóż w plecy, nie mówiąc o tym, że sekretarka ginekologa jest siostrą jednej z kobiet z kibucu i za kilka dni, najwyżej kilka tygodni, wszyscy połączą fakty, a wtedy za każdym razem, gdy wejdzie do stołówki, będzie celem wbijanych w nią spojrzeń, których ukłucia bolą bardziej niż cios nożem, bo przecież synowa sekretarza kibucu zdradzająca męża – zdradza całą ideę...

Weszła do najbliższego banku i wypłaciła skromną sumę ze wspólnego konta.

– Nie przeszkadzają mi długie połączenia – wyjaśniała kilka minut później w biurze podróży. – Najważniejsze, żeby było tanio.

Na lotnisko pojechała autostopem. Wciąż bolało ją trochę w dole brzucha. Ale zignorowała to. W sklepie wolnocłowym kupiła tylko nieduży notes. Napiła się wody z kranu w łazience. Potem, w samolocie, zamówiła trzy szklanki coli. Przemknęło jej przy tym przez głowę, że praca stewardesy to jakieś rozwiązanie. Ale potem pomyślała, że samolot to w gruncie rzeczy inny rodzaj kibucu i bycie stewardesą to żadne rozwiązanie. Siedzący obok mężczyzna usiłował ją podrywać. Mówił coś. Uśmiechał się. Nie odpowiadała. Jakim cudem nie widzi, że jest pusta w środku. Jak mężczyźni nigdy nic nie dostrzegają. Tylko siebie samych. Nawet Moszik. Jak zamilkł raptownie, gdy skończyła mówić. Uciekał przed jej wzrokiem. Opuścił ręce wzdłuż ciała. Nie dotknął jej ani razu, nawet przelotnie, tam, nad brzegiem potoku. Ani gdy wracali do kibucu. Musi wyrzucić go z myśli. Musi go znienawidzić. Tymczasem, myślała, nienawidzi przede wszystkim samej siebie. Rzuciłaby się z samolotu, gdyby okienko nie było takie małe. Tak. To właśnie powinna zrobić – zapisała pierwsze linijki w notesie – wyrzucić pokręconą, zepsutą Ajelet i stworzyć nową, naprawioną.

Wylądowała w Tokio. Zadzwoiła do Michal, koleżanki z organizacji młodzieżowej.

Z udawanym entuzjazmem oznajmiła:

– Oto jestem!

– Coś podobnego! – zdumiała się Michal.

Ajelet nie rozumiała, dlaczego Michal się tak dziwi. Przecież zawiadomiła ją wcześniej przez telefon o zamiarze ucieczki.

– Nie wierzyłam, że starczy ci odwagi – rzekła Michal. – To znaczy, żeby porzucić Izraela.

– Odwaga to w gruncie rzeczy inne określenie braku wyboru – odparła Ajelet.

– No to przyjeżdżaj, Janis Joplin – powiedziała Michal głosem pozbawionym tęsknoty. – Stęskniłam się za tobą.

Zaczęły pracować razem. Na ulicy. Stały na jednym straganie. Z różnymi drobiazgami. Klóciły się przez cały czas. O drobiazgi. W organizacji młodzieżowej Ajelet była tą, która budziła powszechny zachwyt, która okręcała sobie wokół małego palca wszystkich chłopaków i która na koniec zdobyła serce Izraela. Michal zaś była jej cieniem. Teraz wykorzystwała nową sytuację, by ją upokorzyć. Miło, rzecz jasna. Wszystko milutko i per „siostró”. Idź. Przyjźdź. Zrób. Nie rób. Popatrz, jak wkręciłaś tego klienta. Jesteś świetną sprzedawczynią. Po co rozmawiasz z nim po hebrajsku? Mów po angielsku, siostró. Po co mówisz do niego po angielsku? Mów po japońsku. Co, nie zajrzałaś do rozmówek, które ci dałam? Nie zajdziesz daleko z takim podejściem. To nie kibuc. To walka o przetrwanie. Przerwałaś? Dlaczego przerwałaś? Posłuchaj, Ajelet, może ten biznes nie jest dla ciebie. Naprawdę. Może bardziej pasowałaby ci praca hostessy. Nie trzeba stać przez cały dzień. Można co jakiś czas się położyć. Jeśli dobrze pamiętam, nigdy nie miałaś z tym problemu. Przepraszam. Nie chciałam cię urazić, siostró.

Starzy przyjaciele są naszym domem. A czasami więzieniem, zapisała Ajelet w notesie.

Po dwóch miesiącach zaczęła odczuwać mocny ból w krzyżu. Leżała w łóżku, nie mogąc pracować. Michal, o dziwo, troszczyła się o nią z całego serca. Zamówiła masaż leczniczy u znajomego Niemca. To świetny facet, powiedziała, ale uważaj. W pewnym momencie oznajmił, że zamierza wstąpić do klasztoru w Indiach, i zapyta, czy mogłabyś być jego ostatnią kochanką. Mówi to wszystkim dziewczynom w mieście. Kilka już dało się nabrać.

Przyszedł Klaus. Wysoki i brzydki. Ugniatał całe jej ciało. Składał ją i otwierał, chwycił i naciągał, aż skurcz mięśni zelżał. Później usiadł obok na łóżku, skręcił papierosa i zdradził, że zamierza spędzić dziesięć lat w klasztorze, by nauczyć się panować nad swoją świadomością. Ajelet roześmiała się na głos. Roześmiała się głośno po raz pierwszy, odkąd zostawiła Moszika. Naturalnie nie przespała się z Klaussem. Skończyła z facetami. Przynajmniej na razie. Podziękowała za masaż i cmoknęła go w policzek.

Tydzień później zjawił się z plecakiem przy ich stoisku, by pożegnać się

przed wyjazdem do klasztoru w Indiach. Zapytał, czy przypadkiem Ajelet nie chce się do niego przyłączyć. Dlaczego nie, pomyślała, i popatrzyła na Michał, dlaczego nie, dlaczego nie, wołało jej ciało.

– Mam zaczekać, aż się spakujesz? – zapytał.

– Nie mam niczego – powiedziała.

– Już żyje pani jak w zakonie, madame – roześmiał się Klaus.

– Szkoda, siostró. – Michał pożegnała się z nią słabym uściskiem. – Właśnie teraz, gdy zaczęło nam dobrze iść.

W klasztorze spędziła dwa lata. Może wydawać się, że długo, ale to tylko dzień, kolejny dzień i kolejny dzień. Nauczyła się panować nad swoją świadomością. Nauczyła się oddychać przeponą i w ten sposób dotleniać mózg. Nauczyła się powtarzać mantry po wielokroć, aż wszystko zasnuwa się mgłą, jak wtedy, gdy człowiek wpatruje się w jeden punkt przez dłuższy czas. Nauczyła się przywoływać sny. Sycić się garścią ryżu. Radować na widok ziemniaków. Nauczyła się, że można okiełznać chciwość i że jedna z najcieńszych możliwych granic dzieli spełnienie od desperacji. Tylko jedno jej się nie udało: przestać myśleć o Mosziku. Widziała jego twarz w twarzach mnichów. Słyszała jego kroki na stopniach wiodących na szczyt góry. Ogarniały ją niepowstrzymane ataki pożądania w najmniej odpowiednich momentach. Podczas cotygodniowej rozmowy z mistrzem. Podczas postu. W nocy, gdy budziła się z ręką wsuniętą między uda. W końcu poszła po radę do mistrza. Czekala trzy miesiące, aż zgodził się ją przyjąć na prywatną rozmowę. Wreszcie Klaus, który tymczasem został jego osobistym pomocnikiem, zawiadomił ją, że szacowny nauczyciel czeka na nią w swej siedzibie o piątej rano. O piątej rano wyznała mu, że tęsknota za tamtym chłopakiem nie rodzi się w jej myślach. Jej źródło jest gdzieś indziej, poza świadomością, a może pod nią. Nie umie jej umiejscowić. Powiedział, że nie ma takiej rzeczy, która by nie była świadomością. Odparła, że nie jest już pewna, czy w to wierzy. Milczał. Powtórzyła, że nie jest pewna, czy w to wierzy, bo co w takim razie z ciałem. Wciąż milczał. Spuścił wzrok. Zrozumiała, iż daje jej znak, że spotkanie dobiegło końca.

Nazajutrz opuściła klasztor na górze o poszarpanym wierzchołku. Poczula wielką ulgę, gdy furgonetka z zaopatrzeniem unosiła ją coraz dalej. Mam doświadczenie w ucieczkach, zapisała w notesie. Z radia w szoferce dobiegały dźwięki muzyki. Prosty, wesoły, wpadający w ucho rytm. Jak to możliwe, pomyślała, kołyszac się do taktu, że tak długo żyłam bez muzyki?

– Gdzie właściwie mam panią zawieźć, Miss? – zapytał kierowca po pewnym czasie.

– Nad morze. Jak najbliżej morza – odparła bez zastanowienia.

Kiedy była mała, w piątki chodziła z ojcem na kamienistą plażę. Tylko ona. Jej matka i siostra nie lubiły morza.

– Jak można nie lubić morza? – dziwiła się w rozmowach z ojcem, a on kiwał głową. To był ich magiczny czas. Cotygodniowy zjazd stronnictwa ojca i Ajelet. Ojciec dorastał nad morzem i znał wszystkie kraby i muszle i potrafił o nich opowiadać, jeździł na morskich falach, jakby samo jego ciało było deską surfingową, umiał ochronić ją przed meduzami w sezonie meduz i nabrawszy powietrza, nurkować bez rurki na wiele minut (kiedyś sprawdziła rekord w Księżde rekordów Guinnessa i w następny piątek zmierzyła mu czas – był krótszy zaledwie o dziesięć sekund). Tak że gdy znalazła go w pokoju, bladego jak pióra sowy płomykówki, na jedną chwilę przejęła ją nagła nadzieja, że tylko wstrzymał powietrze na bardzo długo, a za chwilę wypuści je z płuc i zacznie się z niej śmiać, Lelet, Lelet, czemu tak się przestraszyłaś?

Podróżując kolejnymi furgonetkami, dojechała ostatecznie nad morze. W nadbrzeżnej restauracji siedziało trzech Izraelczyków. Po raz pierwszy w tej epoce usłyszała hebrajski. Jeden przypominał Moszika swoim jędrnym, umięśnionym ciałem. I tygrysim krokiem. Opadła na poduszkę i słuchała ich rozmowy, wykorzystując fakt, iż nie mieli pojęcia, że ich rozumie. Dwóch rozmawiało o jej ciele. Omawiali wady i zalety. Ten podobny do Moszika milczał zawstydzony, ze spuszczonej rękami, i w tej samej chwili wiedziała, że się z nim prześpi. Flirtowała z nim po hiszpańsku, który to język znała od ojca, i kochała się z nim po hiszpańsku na pojedynczym materacu w swojej chacie, i dopiero gdy opuściło ją napięcie, po raz pierwszy jęknęła po hebrajsku. Zaskoczenie chłopaka było kompletne. Później trochę się rozzłościł. Obraził, że tak zabawiła się jego kosztem. By go przeprosić, wzięła do ust jego członek, wciąż mokry od jej soków, myśląc, że w gruncie rzeczy wcale nie przypomina Moszika. Po tym jak skończyła go ssać, zasnął obok, oddychając ciężko, a ona wyjęła notes i zapisała: Nigdy nie wiemy, jak głęboko ktoś utkwiał nam w sercu, dopóki nie spróbujemy go wyciągnąć.

O świcie, zanim chłopak się obudził, spakowała się i wyjechała. Pisała w notesie, w trzęsącym autobusie, koślawymi literami: Na tej plaży nie ma ratownika.

Pojechała na inne wybrzeże, o którym rozmawiali podsłuchani Izraelczycy. Podobno można tam spotkać chemika z laboratorium, który produkuje zakazane substancje na amerykański rynek i daje je ludziom do wypróbowania. Za darmo.

Wypróbowała rzeczywiście jeden z jego wynalazków: płyn w torebce, która wyglądała jak torebka z mlekiem czekoladowym, i sam płyn też je przypominał. Kilka minut po pierwszym łyku okazało się, że rozmawia z ojcem. Siedzieli we dwójkę na ciężkiej kłębiastej chmurze, z takich, które gromadzą w sobie deszcz, a obok, na innej chmurze, siedział jej mistrz z klasztoru. Ojciec wyglądał na bardzo spokojnego i nie utracił spokoju także, gdy zadała najważniejsze pytanie: dlaczego? Otworzył usta, by odpowiedzieć, lecz wtedy jej guru zaczął wołać: „nie ma takiej

rzeczy, która by nie była świadomością, nie ma takiej rzeczy, która by nie była świadomością, nie ma takiej rzeczy...”, a to zagłuszyło głos jej ojca i sprawiło, że nie dosłyszała odpowiedzi.

Nabyła u alchemika trzydzieści torebek mleka czekoladowego i po wypiciu każdej następnej przybliżała się nieco do usłyszenia odpowiedzi, była dosłownie o włos – ale za każdym razem inny głos zagłuszał głos ojca. Po miesiącu zasłała. Napój czekoladowy ją odwadniał i odbierał apetyt, nie piła wystarczająco dużo płynów i w ogóle nie jadła. Szpital, do którego zawiozła ją para Izraelczyków przebywających na tej samej plaży, był brudny, uciekła z niego, gdy tylko kroplówki przywróciły ją do życia, i udała się znów do chemika.

On zaś powiedział:

– Dość, piękna dziewczynko, to niebezpieczne. Musisz przestać.

Podeszła do niego tak blisko, że poczuł jej oddech, i powiedziała:

– Musisz dać mi więcej. Dla jeszcze jednej torebki jestem gotowa zrobić wszystko, łącznie ze wszystkim.

Przestała pisać w notesie.

Izraelscy turyści, którzy zobaczyli ją w stanie kompletnego uzależnienia, zaalarmowali ambasadę. Przybyła specjalna ekipa zajmująca się trudnymi przypadkami, którą kierował podpułkownik w stanie rezerwy Gad Ronen, ogr o groźnym spojrzeniu, który wziął ją na ręce i zaniósł do specjalnego helikoptera. Albo przynajmniej tak jej później opowiadał – sama niczego nie pamiętała. Na tym etapie jej świadomość zasnuwały chmury.

– Byłaś lekka jak mała dziewczynka – opowiadał później, podczas jednego z izraelskich śniadań, które specjalnie dla niej przyrządzał.

Nie wierzę temu człowiekowi, zapisała w notesie, gdy wyszedł do pracy w ambasadzie. Zbyttno budzi zaufanie.

Pewnego ranka, gdy została sama w wielkim domu, zadzwoniła z jego telefonu do kibucu. Palec drżał jej na klawiszach, włoski na ramionach się zjeżyły. Powiedziała, że chce rozmawiać z Moszikiem. W sekretariacie odpowiedziano: nie mieszka już w kibucu. Przeniósł się do Miasta Cadyków.

– Miasta Cadyków?!

– Tak, stał się religijny, uwierzysz? Odszedł z wojska i ożenił się z córką rabina. Nawiasem mówiąc, Izrael też się ożenił. Z Michal. Z tą dziewczyną, która była razem z tobą w organizacji. Po wojsku pojechała do Japonii handlować biżuterią. Jasne, że ślub odbył się w kibucu. Na trawniku przed jadalnią. Było wspaniale. A co u ciebie? Wiesz, chodziły rozmaite słuchy...

– Wszystko to prawda – potwierdziła.

I odłożywszy słuchawkę, pomyślała: nie mam już na świecie nikogo.

Kiedy tamtego dnia podpułkownik Gad Ronen wrócił do domu, znalazł karteczkę wetkniętą w klawiaturę komputera: proszę, nie próbuj mnie ratować.

Tylko ja mogę siebie uratować.

Dwa tygodnie później otrzymał informację o pięknej izraelskiej dziewczynie zebrzącej na wielkim bazarze w południowym regionie kraju. Ma podartą bluzkę i zaszczute spojrzenie. Poleciał tam helikopterem i znów wziął ją na rękę. I zabrał ją do siebie. Podczas gdy spała w jego łóżku, w śnieżnobiałej pościeli, próbował ustalić, czy można przewieźć ją samolotem do Izraela, ale jego informatorzy potwierdzili, że naprawdę nie ma nikogo. Jej ojciec popełnił samobójstwo, gdy miała szesnaście lat. Od tamtej pory zerwała stosunki z matką. Jej jedyna siostra przebywa w szpitalu.

Po obudzeniu powiedziała:

– Prosiłam, żebyś mnie nie ratował, zgadza się?

– To moja praca – odparł. – Za to Ministerstwo Spraw Zagranicznych mi płaci.

– No dobrze – ustąpiła. – Ale żebyś wiedział, nie ma szans, abym kiedykolwiek cię pokochała. Na filmach zawsze się tak zaczyna i na koniec dziewczyna mięknie, a potem żyją długo i szczęśliwie aż do wejścia filmu na ekrany, ale z nami tak nie będzie, jasne? Moje serce nie jest zwyczajnie zamrożone. Ono jest martwe.

Mieszkała u niego dwa lata. Może wydawać się, że długo, ale to tylko dzień i kolejny dzień, i kolejny dzień.

Oglądali razem izraelską telewizję dzięki antenie satelitarnej. Gotowali razem obfite piątkowe posiłki. Pomagała mu pisać memoranda. Nauczył ją pilotować helikopter (było bosko, poza chwilami, gdy nachodziła ją ochota, by roztrzaskać się o górskie zbocze). Zapraszali do domu jego znajomych z pracy. Chodzili do kina i trzymali się za rękę w ciemnej sali. To znaczy on trzymał ją za rękę.

Napisała w notesie: Oboje czekamy na nawigatora.

A także: Pod pustą przestrzenią archeolog duszy odkrył inną, wcześniejszą pustkę.

Napisała: To nieładnie, Ajelet. Przynajmniej prześpij się z tym wielkodusznym człowiekiem.

Nie przespała się z nim. Jej konflikt z własnym ciałem był zbyt głęboki. Gniew na mężczyznę zbyt wielki. Poza tym nigdy nie pociągały jej ogry o groźnym spojrzeniu.

Spali w osobnych pokojach. Czasem gościł u siebie kobiety i doprowadzał je do rozkoszy. Wiedziała, że robi to tylko po to, by obudzić jej zazdrość, i powiedziała:

– Nie jestem zazdrosna. Bo cię nie kocham. I nigdy nie będę cię kochać.

– Wiem – odpowiedział.

Zapisała w notesie: Może pasujemy do siebie lepiej, niż się z pozoru wydaje.

Ja nie mogę kochać, a on nie potrafi doprowadzić do tego, by go pokochano.

Kiedy skończył służbę w ambasadzie i wysłano go z powrotem do Izraela, zaproponował, by wróciła razem z nim.

Powiedziała:

– Nie mogę. Jeszcze nie. To zbyt bolesne.

Dodała także:

– Dzięki za wszystko, Gadi. Ale przyszła chwila, żeby dać spokój.

Została sama w wielkim domu. Opłacił wynajem za rok z góry, żeby nie znalazła się na ulicy. Okazało się, że bez niego się nudzi. Nie tęskni, lecz jest znudzona. Zaczęła wypożyczać książki w ośrodku organizacji Chabad. W oddzielnym pomieszczeniu mieli tam biblioteczkę dla turystów. Długie półki wypełnione książkami, które podróżnicy przywozili z Izraela, książki wydane w ciągu ostatnich sześciu lat, gdy wędrowała po obcych krainach. Ogarnął ją wilczy głód czytania, czuła, że książki przypominają jej o tym, jak to jest być istotą ludzką. Czytała jedną w dwa dni i natychmiast zapełniała pustkę nową.

Zapisała w notesie: Calusieńki świat jest bardzo wąskim mostem. A przęsłami tego mostu są książki.

W trzy miesiące przeczytała wszystkie powieści dostępne w bibliotece. Żeby nie wpaść do czarnej wody pod mostem, zaczęła wędrować po ulicach, szukając izraelskich turystów, z którymi mogłaby się wymienić książkami. W zamian proponowała własne. Proponowała darmowy nocleg w wielkim domu. Raz zaoferowała swoje ciało turyście – przywiózł on powieść Grosmana, na której szczególnie jej zależało. Ale także ta możliwość wyczerpała się po pewnym czasie (wszyscy przywozili z Izraela cztery, pięć tych samych bestsellerów). Ostatecznie okazało się, że wraca do biblioteki w ośrodku Chabadu. I podchodzi do jednej półki, której unikała do tej chwili jak ognia: półki z literaturą religijną.

Kiedy nie ma wyjścia, to nie ma wyjścia, dodawała sobie ducha. A poza tym, myślała, skoro Moszik znalazł w tym jakiś sens, może to nie jest takie straszne.

Pozostało tylko zainstalowanie świetlówek i gotowe. Ben Cuk zwleka odrobinę, z satysfakcją przygląda się swemu dziełu, a następnie wspina się na drabinę i podłącza długie kable. Po kolei. Później naciska przełączniki, żeby sprawdzić, czy wszystko działa. Jedna żarówka się przepaliła, wkręca więc zapasową, którą przygotował zawnazu, i znowu naciska przełącznik. Światło zalewa pomieszczenie. Półki aż lśnią. Schodki zapraszają.

Po wielu miesiącach pracy pierwsza mykwa na Syberii jest gotowa.

Wczoraj był tu przedstawiciel rabinatu, który bąkał coś na temat wyjścia awaryjnego, które nie jest odpowiednio umiejscowione, ale zatwierdził całość. (A co miał zrobić? Są całkowicie uzależnieni od budżetu, jaki przyznaje im Danino).

Ben Cuk zdejmuje ubranie, i kładzie schludnie złożone na jednym

z taboretów, które umieścił tu specjalnie w tym celu. W domu doprowadza Menuchę do szału swoim bałaganiarstwem, ale tutaj wszystko jest tak nowe i porządne, że nie chce naruszyć panującej harmonii. Zanim zanurzy pierwszą gołą nogę w wodzie, odmawia błogosławieństwo. Jego tekst wisi oprawiony nad drzwiami, ale on nie potrzebuje przypomnienia.

„Bądź błogosławiony Panie, Królu Świata, który uświęciłeś nas przykazaniami i nakazałeś nam obmywanie się w wodzie...”

„Obmyj mnie zupełnie z mojej winy i oczyść mnie z grzechu mojego... Stwórz, o Boże, we mnie serce czyste i odnow w mojej piersi ducha niezwycięzonego... Przywróć mi radość z Twojego zbawienia i wzmocnij mnie duchem ochoczym... Oto jestem gotowy uczynić micwę obmycia się w wodzie w myk-wie o czterdziestu sea, by uświęcić świętość Błogosławionego Pana”.

W szkole średniej Ajelet miała nauczycielkę re-ligii, która przynosiła do klasy wielkie pudło musli. Co kilka minut wkładała do niego rękę, wyjmowała garść ziaren i szybkim ruchem wkładała do ust. To na moje wrzody żołądka, wyjaśniła uczennicom. Jeśli nie dam im czegoś do jedzenia, one zjedzą mnie.

Lata później, gdy Jakow zapyta podczas ich pierwszego spotkania, kiedy zrozumiała, że jest na drodze do nawrócenia, Ajelet umilknie na dłuższą chwilę, a na koniec powie, że nie było jednej chwili. Nie było objawienia. Na jej ramionach nie przysiadły anioły. Nie przemówił do niej głos z płonącego krzewu.

– Ale mimo wszystko? – Jakow będzie upierać się przy odpowiedzi. – Od czego to się zaczęło?

Ajelet przypomni sobie tamtą nauczycielkę z liceum i powie:

– Od wrzodu żołądka. Miałam wrzody na duszy. I zwyczajnie musiałam czymś je pożywić.

Czasami – na przykład gdy siedziała na ławeczce w hali sportowej organizacji JCC i czekała, aż przyjdzie kolej na jej drużynę koszykówki – zastanawiała się, co by było, gdyby Moszik zgodził się uciec razem z nią z krainy Co Ludzie Powiedzą.

Gdyby urodziła jego dziecko i wspólnie by je wychowywali.

Gdyby jej ojciec się nie poddał.

Gdyby matka ją kochała.

Czy wtedy także zwróciłyby się ku religii? Czy tylko z otchłani człowiek woła do Boga?

Rabin w ośrodku Chabadu w New Delhi przypominał z wyglądu jej ojca, ale zorientowała się w tym dopiero wiele lat później, po śmierci matki. Nie poleciała do Izraela, by odbyć żałobę, nic podobnego. Ale ciotka przysłała jej link do strony internetowej, którą założyła razem z jej kuzynami, by upamiętnić swoją siostrę, i na jednym ze zdjęć ujrzała ich trójkę: matkę i ojca na promenadzie nadmorskiej, trzymających malutką Ajelet. To znaczy ojciec ją trzymał, a matka obejmowała

ojca...

Ojciec wyglądał młodo, najwyżej na trzydzieści lat, i ta jego bródka, coś w podbródku i sposób, w jaki nos niemal stykał się z górną wargą, i uśmiech, oczywiście, i dobrotliwe spojrzenie...

Nie można było stwierdzić „jak dwie krople wody”, ale podobieństwo między nim a rabinem było nagle tak dostrzegalne, że nie mogła go zignorować...

A może, pomyślała, schodząc myszką w dół strony, by odszukać inne zdjęcia, może to element zawsze brakujący w historii, którą opowiadała sama sobie, o łańcuchu wydarzeń, które sprawiły, że z Ajelet stała się Bat El.

Z początku karmiła swój wrzód słowami Pieśni nad Pieśniami (tę księgę zdjęła jako pierwszą z półki z literaturą religijną w ośrodku Chabadu, bo tytuł wydawał jej się najbardziej atrakcyjny): „Niech mnie ucałuje pocałunkami swych ust”, „Posilcie mnie plackami z rodzynek, wzmocnijcie mnie jabłkami, bo chora jestem z miłości”, „Gołąbko ma ukryta w zagłębieniach skały”. Jakie to piękne. Dlaczego nigdy nie dowiedziała się tego na lekcjach? Dlaczego zawsze uczyli się tylko o tym, „kto komu to powiedział”? Naraz wszystko, co zapisywała w notesie, wydało się jej przerażająco miałkie. Poprzestaję na „izraelskim”, podczas gdy mogłabym pisać prawdziwym hebrajskim, pomyślała, i zawstydziła się swojej ignorancji.

Tylko po to, by dowieść sobie, że już się nie boi, dołączyła do nowego bejt midraszu, który otworzono w delhijskim ośrodku Chabadu. W każdy piątek świeccy i religijni roztrząsali wspólnie kwestie z cotygodniowej porcji Tory i z Gemary pod przewodnictwem młodego rudowłosego rabina. Podczas pierwszych spotkań milczała. Wydawało jej się, że wszyscy wiedzą więcej od niej. Na koniec odważyła się i zaproponowała drżącym głosem nowy punkt widzenia w dyskusji. Zauważyliście, powiedziała, że Sara nie jest wspomniana ani razu w rozdziale o ofierze Izaaka? Moim zdaniem... to nie jest przypadek. Wszystko, co się tam dzieje, nie mogłoby wydarzyć się w jej obecności. Jaka matka zgodziłaby się złożyć w ofierze swego syna? Autor tekstu nie chciał wpaść we własne sidła, oznajmiła, dlatego zwyczajnie... pozbył się Sary z tego rozdziału. Ale dla mnie... to znaczy moim zdaniem... to tylko wskazuje jeszcze wyraźniej, jak bardzo cała ta historia jest historią męską: tylko mężczyzna może być na tyle fanatyczny, by wziąć do ręki nóż rzeźnicki. I tylko Bóg mężczyzna jest w stanie poprosić o ofiarę z małego chłopca na dowód wiary w niego.

Kiedy skończyła mówić, zapadła cisza. Taka, jaka zapada między dwoma nagraniami na płycie, gdy igła przeskakuje rowek.

Była pewna, że ją wyproszą, ale rabin powiedział łagodnie:

– Zwróciłaś uwagę na interesujący punkt, Ajelet, który zajmował także naszych uczonych w Piśmie. Wydaje mi się, że oni postrzegali to trochę inaczej, ale niech to pozostanie kwestią otwartą w dyskusji. Kto jeszcze chciałby odnieść

się do faktu, że nasza pramatka Sara nie występuje w tym fragmencie?

Okazało się, że coraz niecierpliwiej oczekuje czwartków. Dni, w które spotykała się *chawruta*. Lubiła to uczucie, jakby mózg wysiłał się aż po krańce swoich możliwości. Lubiła po powrocie ze spotkań pisać w notesie i widzieć, jak nagle wplata jakieś słowo z tamtych czasów. Lubiła rabina. Jego skromność, nieskończoną tolerancję, z jaką przyjmował jej buntownicze uwagi, i to, że na zakończenie każdego spotkania grał im na gitarze piosenkę Ehuda Banaja – właśnie Ehuda Banaja, a nie Karlebacha czy Jehudy Halewiego. „Zanim kropiący deszczyk zamieni się w potop, muszę znaleźć otwartą bramę... Uwierz, że jeśli coś popsujesz, możesz to też naprawić...”

Nie przeżyła żadnego objawienia. Nie musnęło jej skrzydło Szechiny. Ale wspólna nauka napędzała ją spokojem. Szczególnym spokojem. Z tego nowego spokoju z czasem zrodziły się emocje. „I pocznie kobieta, i urodzi syna...” – przeczytał pewnego wieczoru rabin, i naraz cała krew odpłynęła z jej twarzy. Poczula, że zaraz zemdleje. Obecni w pokoju mężczyźni, którzy zauważyli jej złe samopoczucie, prędko zaoferowali szklankę wody, ale odmówiła, wyszła i zaczęła chodzić po ulicach New Delhi.

Chodziła tak całą noc. Dwa razy o mało nie wpadła pod riksę. Wszystko, co ją spotkało od chwili wyjazdu z Izraela, przepływało przez jej głowę z całkowitą jasnością, wyraziście, a o świcie z jej wnętrza wydarł się bezgłośny krzyk, przeznaczony jedynie do wewnętrznego ucha: wielki Boże, od początku błędziłam. Przez wszystkie te lata wcale nie opłakiwałam Moszika, ale dziecko, które złożyłam w ofierze.

Nazajutrz zadzwonił rabin, pytając o jej samopoczucie.

– Jestem zdezorientowana – powiedziała.

Zaprosił ją na rozmowę.

Kiedy szła w stronę synagogi, wydawało jej się, że widzi przed sobą całkiem inne miasto niż to, w którym mieszka od ponad dwóch lat: wypełniający ulice zagłodzeni żebracy o amputowanych kończynach, sieroty, błagający o datki – wszyscy oderwali się od tła i zamienili w prawdziwe postacie, a ich nieszczęście, które w ciągu ostatnich dwóch lat było całkowicie przyćmione jej własnym nieszczęściem, stało się tak namacalne, że mogła dosłownie poczuć, jak pulsuje wewnątrz niej powoli, przenikając przez skórę do krwiobiegu. Na koniec kucnęła przy chłopcu z ogoloną głową i kółkiem w nosie i dała mu się napić wody mineralnej z butelki. Uśmiechnął się do niej z wdzięcznością i podczas gdy pił łączywie, ona zaczęła płakać.

Znowu zdumiała się swoim zachowaniem. Nie płakała od lat. Nawet po wyjściu z kliniki w Mieście przy Granicy. Co się z nią dzieje?

Kiedy weszła do pokoiku rabina znajdującego się na tyłach synagogi, poprosił, by zostawiła drzwi otwarte. W odpowiedzi na jej pytający wzrok

wyjaśnił:

– Nie wolno nam przebywać razem w zamkniętym pomieszczeniu.

Usiadła i opowiedziała wszystko. Całe swoje koleje od wyjazdu z kibucu (który, nawiasem mówiąc, był miejscem bardzo religijnym, ale pozbawionym Boga). Dwukrotnie podczas tej opowieści rabinowi poczerwieniała szyja.

– Jestem wielką grzesznicą, prawda? – spytała.

– Nigdy nie jest za późno na poprawę – odparł. – Wiedz, że twój dzisiejszy płacz to głos, który cię wzywa. Mówi, że nie można oddzielić umysłu od serca. Nie można studiować Tory tak, by nie dotknęło to ostatecznie naszej duszy.

– Dusza to wielkie słowo – powiedziała. – Mam z tym problem.

– To opowiedz, co czujesz – poprosił. – Własnymi słowami.

– To nie pierwszy raz, gdy... – zaczęła. – Chodzi o to, że zawsze czułam, iż musi być coś poza... poza codziennością. Że to niemożliwe, że to już wszystko. A poza tym, bez związku... albo ze związkiem... odkąd dołączyłam do waszej grupy, czuję... Rozumiesz, rabinie... Po tym, co mnie spotkało, straciłam wiarę w ludzi... A raczej... straciłam wiarę, że z kontaktu między kobietą a mężczyzną... w ogóle między ludźmi... może wyniknąć coś dobrego.

Milczał (jego wzrok mówił: mów dalej, słucham).

Powiedziała (myśląc: nie mówiłam równie otwarcie od tak dawna, że nie pamiętam, jak się to robi):

– Nie masz pojęcia, rabinie, jak trudno jest mi w grupie, a mimo to nie opuszczam żadnego spotkania... I widzę... Widzę, jak uważnie nas słuchasz i jak bardzo się starasz zobaczyć dobro, które jest w każdym z nas. Więc... rozumiesz? Patrzę na ciebie i mówię sobie: może można także inaczej.

Spuścił wzrok i powiedział:

– Ja jestem tylko wysłańcem.

Milczała.

Powiedział:

– Na naszych spotkaniach pośredniczę jedynie między wami a skarbami, jakie oferuje judaizm. Wszystko jest gotowe i czeka na nas. Mądrość i łaska, i optymizm. Wszystko zostało dane tysiące lat temu. Jak myślisz, dlaczego znalazłaś swoją naprawę, *tikun*, właśnie w judaizmie, a nie w tamtym klasztorze? Masz to w genach.

– Jaką naprawę? – zapytała. – Nadal jestem całkowicie zepsuta.

Westchnął westchnieniem sugerującym, że wie bardzo wiele, i powiedział:

– To proces. A ty jesteś na samym początku.

Przez całą noc przewracała się bezsennie z boku na bok, a następnego dnia pospieszyła do synagogi, wpadła niezapowiedziana do pokoju rabina i wyrzuciła z siebie:

– Wasz stosunek do kobiet... jest dla mnie nie do zaakceptowania!

– Dzień dobry, Ajelet. – Na jego ustach pojawił się okrucuch uśmiechu.
– Dzień dobry – zawstydziała się. – Przepraszam, że tak napadam, ale po prostu...

– Nic nie szkodzi.

– Wczoraj powiedziałaś, że jestem na początku drogi, prawda? Ale jest jeszcze gorzej. Jest coś, co nie pozwala, bym w ogóle wyruszyła! Rabinie, musisz mi koniecznie wyjaśnić, jak to możliwe, by tak mądrzy ludzie jak... jak nasi mędrzy, mogli być tak ograniczeni i prymitywni w kwestii kobiet?

– To znacznie bardziej złożone, niż to przedstawiasz – zaprotestował.

– Proszę mi wyjaśnić – poprosiła.

Rabin spróbował.

Próbował przez trzy tygodnie.

Codziennie rano siadali naprzeciw siebie przy stole, tak blisko, że niemal stykali się stopami. Wspólnie omawiali wielkie postaci biblijnych kobiet: cztery matriarchinie, prorokinię Deborę, Esterę. Pokazywał jej, z jaką czcią traktuje je tekst. Nie dała się przekonać. Razem otworzyli Księgę Rut.

Rabin powiedział:

– Ta księga tylko udaje opowieść o mężczyznach. Ale w rzeczywistości opowiada o kobietach. O Rut i Noemi. Popatrz, jak motyw wielkiej łaski jest wpleciony w cały tekst od początku: „Tam, gdzie ty pójdziesz, ja pójdę, gdzie ty zamieszkaż, ja tam zamieszkaż” – przeczytał, patrząc jej prosto w oczy, jakby obietnica ta była składana jej osobiście.

Odpowiedziała:

– Cóż takiego w gruncie rzeczy jest w tej księdze, jeśli obedrze się ją z pięknych słów? Młoda kobieta zostaje wysłana, by przespłała się ze starszym mężczyzną w zamian za jego opiekę!

Rabin znów pokraśniał.

– Rumienisz się, rabinie – zauważyła. – To całkiem zabawne.

Uniósł na nią inne spojrzenie. Zaskoczone. Lekko dotknął kapelusza.

Powiedziała:

– Zanim będę mogła kontynuować... naukę z naszą chawrutą, muszę wyznać całkiem szczerze, że wydaje mi się, iż niezależnie od wszystkiego nigdy nie będę w stanie usiąść w oślej ławce, którą nazywacie babinicem.

– To może... może nie my... nie ja... nie jestem dla ciebie odpowiednim rabinem – powiedział, a jego inne spojrzenie w jednej chwili umknęło z jego oczu.

– Jak to? – niemal się obraziła. – Przecież to tylko dzięki tobie...

– Wierzę, że mężczyzna jest mężczyzną, a kobieta kobietą – powiedział ochryple. – Zły popęd zaś to... zły popęd. Dlatego konieczne są... zasady... rozdział... oddzielenie... Ale może... jak wiesz, są inne nurty. Dzielą nas głębokie kontrowersje, ale kto wie, może dla ciebie... one byłyby odpowiedniejsze.

– Jakie nurty? Gdzie one są?

– Będziesz musiała sama poszukać – zakończył i podniósł się od stołu gwałtownym ruchem. – Nie możesz spodziewać się, że ja... to znaczy... Mimo wszystko, prawda?

Chciała powiedzieć jeszcze coś. Przeprosić. Zapytać. Uchwycić się na chwilę skraju jego ubrania. Ale nie znalazła odpowiednich słów.

On spojrzał znacząco, nie patrząc na nią, na otwarte drzwi, by dać znak, że ich spotkanie – i trzy tygodnie, podczas których pochylali się wspólnie nad jednym stołem, a ich łokcie niemal stykały się ze sobą – dobiegło końca.

Dopiero wiele lat później, gdy będzie bardziej doświadczona w wojnach żydowskich, zrozumie, jakiego wyjątkowego czynu dokonał tamtego ranka rabin z New Delhi, jak odważne było z jego strony to, że dał jej znak, że jest jeszcze inna ścieżka. Miał świadomość, że może ją to poprowadzić na łono adwersarzy.

Moszik schodzi po trzech stopniach do basenu i zanurza się. Woda jest lodowato zimna, więc w pierwszej chwili traci oddech i wynurza się zbyt pospiesznie, by zaczerpnąć powietrza. Woda jest poza tym lekka i czysta, pozbawiona tej lepkiej tłustości, jaką czuje się w mykwach, w których kąpały się setki spoconych ludzi. Zanurza się ponownie i czuje, jak wielkie ma szczęście. Nie codziennie człowiekowi dane jest zbudować własnoręcznie mykwę i zapoczątkować osobiście jej działalność.

Nabiera powietrza, by zanurkować w niewielkim basenie po raz trzeci – ale dosłownie tuż przed tym, nim zanurzy głowę, rozlega się pukanie. To pewnie nowa pracownica. Umówili się tutaj. Jak mógł o niej zapomnieć?

Rok po przyjeździe do Nowego Jorku, po modlitwach w synagodze reformowanej na Brooklynie, zaczepił ją pewien barczysty mężczyzna imieniem Jakow. Odparła, że jest zajęta. Także jutro, i następnego dnia. Jakow jednak uparł się, nie rezygnował, pytał ponownie, proponował kolejne spotkania. Dla świętego spokoju umówiła się z nim w koszernej restauracji.

– Jestem zbyt zagubiona, by żyć z mężczyzną. Przechodzę proces. Z dnia na dzień nabieram siły, ale czasem przeżywam upadki – wyjaśniła.

– Jestem gotów pójść na ten *deal* – powiedział. – Nie przeszkadza mi twoje zagubienie. Może mnie nawet trochę pociąga.

– W ogóle nie chcę nikogo pociągać – ostrzegła. – Szukam kogoś, z kim mogłabym mieć dzieci.

– Ja też – powiedział Jakow. – Wystarczy, dość się zabawiłem, chcę założyć rodzinę.

– Nie znasz moich poglądów – spróbowała inaczej. – Przyniosę ci wstyd w gminie.

– W umowie będzie zapisane, że wolno ci przynosić mi wstyd tylko w czterech ścianach domu – powiedział.

– W umowie? – roześmiała się. – Jakiej umowie?

– Jeśli nie masz nic przeciwko, prześlę ci jutro kurierem szkic umowy regulującej nasze przyszłe relacje. Przejrzyj wszystkie paragrafy, a jak coś ci się nie spodoba, przedyskutujemy to i osiągniemy kompromis.

– Nie mówisz serio, prawda? – roześmiała się.

Ani jeden mięsień nie drgnął na jego twarzy.

– Jak najbardziej serio – odparł. – Będziemy żyli razem wiele lat i będziemy wspólnie wychowywać czworo dzieci. Dobrze byłoby ustalić kilka rzeczy z góry, prawda?

Ten człowiek nigdy nie dotrze do rdzenia mojej duszy tak jak Moszik, pomyślała. Ale też nie przerazi się jak on, gdy zajdę w ciążę.

Pukanie powtarza się, jest coraz mocniejsze, pukający nie daje za wygraną. Chwileczkę, woła Ben Cuk i wynurza się z wodnego łona. Chwileczkę, woła znowu i szybko narzuca ubrania.

Także asystentka w mykwie, *balanit*, jest osobą niedawno nawróconą. Kobieta o większym doświadczeniu nie zgodziłaby się pracować na Syberii. To za daleko. Transport miejski jest niedogodny, a cadyk, który ukazał się we śnie Jirmijahu Icchakiemu, ostrzegał, że lokalizacja mykwy jest niewłaściwa. Na koniec znaleźli tę kobietę, niedawno przybyłą do miasta i nową w swojej profesji. To nie jest idealna sytuacja, ale jak to się mówi, trzeba brać, co dają.

Idzie do drzwi z mokrymi włosami, z ciałem wciąż wilgotnym pod ubraniem.

W progu stoi *balanit*. Ma włosy zakryte zawiązaną wysoko chustką, jak u kobiet, które się nawróciły, długą spódnicę, a wokół jej ust rysuje się kilka nowych zmarszczek, które wyrzeźbił czas. Ale rozpoznaje ją natychmiast.

– Chcę porozmawiać z panem w cztery oczy – mówi Naim. – Jeśli to możliwe.

– Nie ma problemu – zgadza się główny oficer bezpieczeństwa i zwraca się do obecnych: – Zostawcie nas na chwilę.

– Ale...

– Żadnych ale! Proszę wyjść.

Naim i oficer zostają sami. Już od wielu tygodni grozono mu, że jeśli nie zacznie sypać, będą zmuszeni wezwać głównego oficera, będącego podobno postrachem aresztowanych. Radzą mu i dają do zrozumienia na wszelkie sposoby, że lepiej, by do tego nie doszło.

Skrawek nieba w jego celi zasłonili płachtą brezentu, gdy odkryli, jak spędza czas z przewodnikiem ornitologicznym. Byli pewni, że to go złamie.

– Posłuchaj, Naim. – Główny oficer zwraca się do niego zaskakująco łagodnie. – To nie może tak trwać. Musisz podjąć decyzję. Albo się przyznasz sam, albo cię zmusimy.

– Ja nic nie zrobiłem – oponuje Naim.
– Popelniasz błąd – tłumaczy główny oficer – myśląc kategoriami „zrobiłem – nie zrobiłem”.

– To jak mam myśleć?

– Kategorią „jak stąd wyjść”.

– Co to znaczy? – pyta Naim. Chociaż świetnie wie. Ale próbuje zyskać trochę czasu, aż uda mu się przypomnieć sobie, skąd zna tego mężczyznę. Od chwili, w której wszedł do pokoju, ma nieodparte wrażenie, że gdzieś go już widział, widział ten wyprasowany idealnie mundur, wykrochmalony kołnierzyk i łysą czaszkę. Ale nie udaje mu się go umiejscowić. Może robił kiedyś wylewkę na budowie jego domu w jednym z moszawów? Może widział go z rodziną nad Jeziorem bez Wody w okresie wędrówek ptaków?

Główny oficer bezpieczeństwa wyjaśnia specjalne warunki, proponowane człowiekowi, który przekazuje informacje o swoich zleceniodawcach, i podczas rozmowy wstaje i zaczyna chodzić po pokoju. Wtedy to następuje.

Na jedną sekundę mężczyzna odwraca się do Naima profilem, który idealnie pasuje do profilu, jaki ten przechowuje w pamięci od czasu tamtej przerwy obiadowej w dolinie, gdy obserwował przez lornetkę parę szarych żurawi, które zerwały się do lotu z anteny jednostki wojskowej, aż zauważył peugeota, skrytego za drzewem oliwnym i to, co się w nim działo.

– Co powiesz na moją ofertę, Naim? – Główny oficer przystaje za jego plecami, dmuchając mu w kark.

– Mówię, że popelnia pan błąd.

– Ja?

– Przez cały czas myśli pan kategoriami „co chcę wiedzieć o Naimie”. Zamiast tego, panie oficerze śledczy, powinien pan myśleć kategoriami „co Naim wie o panu”.

Witajcie, drodzy przyjaciele, rozpoczyna Jeremiaś Mendelstrum swój trzeci list. Umiarkowanie. Bez wykrzykników, które widniały na początku poprzednich epistoł.

Natychmiast potem pozostawia odstęp szerokości pełnej linijki, jak himalaista, który zatrzymuje się na chwilę w drodze na szczyt dla wyrównania oddechu.

Ucieszyłem się bardzo na wieść, że prace nad budową mykwy imienia mojej małżonki postępują zgodnie z planem i że mykwa ma być ukończona i czynna przed moim przyjazdem w sierpniu tego roku. Uradowało to niezmiernie moje serce. Raduję się też na wieść, że postanowiliście zlokalizować ją właśnie na osiedlu nowych imigrantów z Rosji, by przybliżyć tych ludzi do żydowskiej tradycji. Uważam to za wielce korzystne rozwiązanie, które ponadto ma symboliczne znaczenie, gdyż rodzina mojej małżonki pochodziła z tego właśnie kraju.

Mam nadzieję, że wybaczycie mi, iż nie przeczytałem waszego listu sam, lecz wysłuchałem jego treści z ust Jony, mojej nauczycielki gry na klarnecie. Jestem obecnie złożony chorobą i z trudem udaje mi się wysilić wzrok, a wszystko to przez niefortunny wypadek, jaki przydarzył mi się podczas ostatniej lekcji. Grałem jedną ze szczególnie ulubionych skocznych melodii, gdy nagle – kiedy dotarłem do bardziej rytmicznego ustępu, w którym dmucha się w ustnik krótkimi, szybkimi dmuchnięciami, palce zaczynają biegać po klawiszach, a dusza wznosi się coraz wyżej, aż dochodzi do sufitu, jakby była balonem napelnionym helem – moja nauczycielka Jona wstała i zaczęła tańczyć na dywanie między nami. Nie wiem, jaki obraz powstaje teraz w waszej głowie, gdy czytacie takie słowa, moi drodzy cadykowie. Dlatego może najlepiej, dla pewności, bym opisał to sam. W tańcu mojej nauczycielki nie było nic nieskromnego. Nie zdjęła żadnej części garderoby (nawet żakietu), a jej włosy pozostały skrupulatnie upięte. Nie wyginała się wulgarnie, jak kobiety tańczące w klubach, i nie skakała po całym pokoju, jak naiwna nastolatka. Uniosła ramiona ponad głowę i zataczała dłońmi wyimaginowane koła, była niczym palma *lulaw*, a klarnet był jak wiatr, który nią kołysze. Oczy miała zamknięte przez cały czas, jakby chciała mnie uspokoić, że przede wszystkim tańczy dla siebie, nie dla mnie, a mimo to, drodzy przyjaciele z Miasta Cadyków, nie mogę zaprzeczyć, że moja dusza rozkwitła pod wpływem tego ożywczego widoku i podczas gdy Jona tańczyła, między rytmem mojego serca a klarnetem rozpoczął się niewidoczny wyścig, kto kogo prześcignie?

Moje serce wygrało. Nagle poczułem straszliwy ucisk w klatce piersiowej i upadłem na dywan.

Jona wezwała karetkę i uparła się, że pojedzie razem ze mną, przy noszach.

Potem upierała się, że zostanie przy moim łóżku w szpitalu, i trwała u mego boku, dopóki nie przyjechali moi synowie.

Kim ona jest? – zapytali synowie, gdy Jona wyszła. To moja nauczycielka gry na klarnecie, odparłem. Na klarnecie? – prychnął szyderczo starszy syn. Skąd ten pomysł, tato? Jest wiele rzeczy, których o mnie nie wiecie, uniosłem się, tak to jest, gdy nie odwiedza się ojca i nie dzwoni z pytaniem o jego samopoczucie. Ty też mógłbyś czasem zadzwonić, odparł starszy syn. Mama zawsze dzwoniła, powiedział młodszy. A jak sądzicie, kto jej o tym zawsze przypominał? – chciałem powiedzieć, ale wiedziałem, że i tak nie uwierzą. Niedobry ojciec i dobra matka. Ojciec wiecznie zajęty pracą, a matka nimi. Nauczyli się w to wierzyć i za późno walczyć z mitami wrosniętymi głęboko w ich dusze. Zamiast tego powiedziałem: wiecie, że przekazałem pieniądze na budowę mykwy imienia mamy w Mieście Cadyków? Zdziwili się: gdzie? W Izraelu? Tak, ciągnąłem, i w sierpniu pojedę tam obejrzeć ją osobiście. W twoim stanie nigdzie nie pojedziesz, zawyrokował starszy syn. Na pewno nie możesz pojechać sam, oświadczył młodszy.

W takim razie zapraszam was, pojedźcie ze mną, powiedziałem (może wy, drodzy przyjaciele, umielibyście wyjaśnić mi, jak to jest, że ze strony członków rodziny jesteśmy zdolni, niemal z radością, znieść każde rozczarowanie?).

Jestem strasznie zajęty, powiedział młodszy syn.

Tam, na Bliskim Wschodzie, nie jest bezpiecznie, rzekł starszy. Nie oglądasz telewizji?

Ja z tobą pojedę, zadeklarowała Jona, która przyszła znowu po wyjściu moich synów. Jeśli będziesz się dobrze czuł, oczywiście.

Odstawiłem talerz z resztkami kolacji na szafkę przy łóżku. Monitor popiskiwał w stałym rytmie raz na kilka sekund. Z oddali dobiegały krzyki bólu innego chorego, idealnie harmonizujące z sygnałem poprzedzającym komunikat z głośników w centrum handlowym pod szpitalem. Kiedy jestem przy tej kobiecie, pomyślałem, wszystko staje się muzyką.

– To by mnie szalenie uradowało – powiedziałem, ujmując jej dłoń.

– Wyjašnjmy sobie najpierw jedno! – Spoważniała nagle i cofnęła rękę z moich kolan.

– Tak? – Uniosłem na nią wzrok z obawą.

– Więcej przy tobie nie zatańczę – uśmiechnęła się. – Pod żadnym pozorem.

Zatem sprawa została ustalona. Kupiłem nam bilety lotnicze na trzynastego sierpnia. Mamy wylądować w Ziemi Świętej czternastego sierpnia i bardzo by to uradowało moje serce, gdyby ktoś z ramienia urzędu miasta mógł wyjechać po nas na lotnisko. Jeśli faktycznie wyślecie takiego przedstawiciela, dopilnujcie proszę, by na tabliczce, którą będzie trzymał, występowało także imię Jony (nazwisko: Awiezer). Bylibyśmy także niezmiernie wdzięczni, gdybyście zechcieli uprzejmie zarezerwować dla nas dwa oddzielne pokoje (najlepiej sąsiadujące) w najlepszym

hotelu w mieście. Zakładam, że pierwszą wizytę w mykwie będziemy mogli odbyć, z Boską pomocą, następnego dnia, i wtedy także zawiesimy na ścianie budynku, jak w swojej wielkiej dobroci zaproponowaliście, przygotowaną przez was wcześniej tabliczkę z nazwiskiem mojej błogosławionej pamięci małżonki.

Nad Syberią zapada wczesny wieczór. Bat El otwiera furtkę prowadzącą na teren mykwy i czeka. Przez pierwszą godzinę nikt nie przychodzi, a ona myśli, że to naturalne. Moszik ją uprzedził. Tutejsi ludzie nie wiedzą jeszcze, że na osiedlu otwarto mykwę, minie jakiś czas, zanim wieści się rozejdą. Siada na krześle, wyjmuje tomik Psalmów, który zawsze nosi ze sobą, i usiłuje czytać. Słowa króla Dawida są pełne majes-tatu i chwały i czuje się wobec nich mała i pokorna. Zazwyczaj. Dzięki tej pokorze, dzięki świadomości, że jej drobne troski nie są w rzeczywistości wcale ważne, może w ogóle zacząć nowy dzień. Z tym że tego ranka słowa zastawiają na nią pułapki i zamiast osłabiać grzeszne myśli, jedynie je wzmagają. „Jak łania pragnie wody ze strumieni, tak dusza moja pragnie Ciebie, Boże” – czyta i zamiast o Bogu myśli o ramionach Moszika, które pod czarnym ubraniem wciąż wyglądają na muskularne. „Niech przeminą jak ślimak” – czyta i myśli o tym, jak przez cały czas uciekał przed jej spojrzeniem, co stanowiło najlepszy dowód. „Niech język mi przyschnie do podniebienia, jeśli nie będę pamiętał o tobie”, czyta i wspomina, jak zaschło jej w ustach, gdy oglądali wspólnie mykwę. Tuż obok siebie. Jak zwilżyła dolną wargę językiem. Jak on śledził wzrokiem jego ruch.

Przestań, nakazuje sobie. Zamyka książkę. I podnosi oczy.

Zbliża się do niej zwarta grupa ludzi. Obu płci. Ajelet podnosi się z krzesła, zdumiona. Czy to możliwe, że zmierzają gdzieś indziej? Ale – odwraca się na chwilę – za nią nie ma nic innego. Tylko dolina tętniąca ptasim życiem, a po drugiej stronie doliny najeżona antenami jednostka wojskowa. Grupka zbliża się coraz bardziej i w tym momencie Ajelet zauważa, że część idących trzyma w rękach drewniane szachownice, a część – słoiki. Najprawdopodobniej z oliwkami. To tylko potęguje jej zdumienie i sprawia, że znowu zamyka furtkę na zasuwkę, na wszelki wypadek.

Maszerujący na czele zatrzymuje się naprzeciwko niej. To starszy mężczyzna o mądrym spojrzeniu, w białych mokasynach. Uśmiecha się do niej uroczyście, pozdrawia ją po rosyjsku i kładzie dłoń na furtce, jakby zamierzał wejść.

– Nie – oponuje Ajelet – to wejście dla kobiet. Mężczyźni wchodzą z drugiej strony.

Przybysz wpatruje się w nią, a do niej dociera, że nie zrozumiał ani słowa.

– To jest mykwa – podnosi odrobinę głos. – Myk-wa. Wie pan, co to takiego?

On wskazuje na szachownicę, którą trzyma w ręku, i podobnie robią wszyscy

pozostali. Potem znów kładzie rękę na furtce i próbuje ją popchnąć.

– Nie rozumie pan – jeszcze bardziej podnosi głos Ajelet. – To nie jest klub szachowy, to jakaś pomyłka!

Teraz chyba się obraził. Cedzi coś po rosyjsku, a grupka ludzi za jego plecami mruży potwierdzająco. Nagle występuje naprzód inny mężczyzna, z krzaczastymi brwiami, który staje na kamieniu naprzeciwko i zaczyna przemawiać z żarem. Z nieugiętym spojrzeniem. Ajelet nic nie rozumie, ale co jakiś czas wyłapuje znajome słowa: Trocki, Lenin, emancypacja. Kiedy mężczyzna kończy przemawiać, wszyscy biją brawo i tłoczą się przy furtce. Napięcie rośnie, a ona obawia się, że wyłamią zawiasy, albo jeszcze gorzej, ktoś zostanie stratowany.

Otwiera więc. Niech zobaczą na własne oczy, że się mylą.

Grupka ludzi wpływa do wnętrza mykwy i znika w środku. Drzwi zamykają się za nimi i zapada cisza. Przyjemna cisza, która po kilku minutach staje się ciszą obojętną, a po kolejnych kilku – podejrzaną.

Ajelet podchodzi i otwiera drzwi. W środku, na ławkach i na podłodze, i w każdym możliwym miejscu poza samym basenem, siedzi piętnaście par szachistów. Między każdą parą ludzi stoi szachownica z czarnymi i białymi figurami. Obok – zegar szachowy i talerzyk oliwek. Za każdym razem, gdy ktoś wykonuje ruch, naciska przycisk zegara.

Są tak zatopieni w grze, że nie zwracają na nią w ogóle uwagi. Ajelet wychodzi niepostrzeżenie, jak weszła, i dzwoni do Moszika.

– Witaj, Ajelet – powiedział wczoraj (nie powiedział: obawiałem się, że przyjdiesz. Już od miesiący czuję twoją obecność wokół).

– Teraz inaczej się nazywam – odparła. – Zmieniłam imię na Bat El (nie powiedziała, że wciąż nie jest pewna, czy dobrze postąpiła. Nowe imię nie całkiem zatarło dawną Ajelet i tak żyją w niej wciąż dwie skłócone istoty).

– Miło cię widzieć, Bat El – poprawił się (nie powiedział: tam, gdzie byłeś kiedyś, zostało pożądanie, z biegiem lat jesteś tylko piękniejsza, czas wygładził ostre krawędzie).

– Doszło do mnie, że tu jesteś, ale nie wiedziałam, czy powinnam w to uwierzyć – dodała ona (nie powiedziała, że pewnego dnia zobaczyła go na balkonie, gdy patrzył w stronę cmentarza, i tak bardzo wystraszyła się fali gorąca, która oblała jej uda, że szybko ukryła się za najbliższym nagrobkiem).

– Zawsze warto jest wierzyć – odrzekł (nie powiedział, że jeśli dobrze posłucha, usłyszy swoje imię odbijające się echem od ścian, tyle razy wymawiał je podczas pracy).

– Rozumiem, że powinnam ci pogratulować (nie powiedziała: przecież sam jesteś dzieckiem. Jakim cudem mały chłopiec ma dzieci?).

– Dziękuję, a co u ciebie, jesteś już matką? (nie powiedział: mam nadzieję,

że to, do czego doprowadziłem wtedy... broń Boże...)

– Nie, na razie mi się nie udało – odparła cicho (nie powiedziała, że może to przez tamtą ranę, a może nie. Nie wiadomo).

– Przykro mi.

– Dlatego przyjechaliśmy tu z Nowego Jorku. To znaczy taki był nasz zamiar. Ze względu na święte groby – wyjaśniła (nie powiedziała, że to rabin jej męża zasugerował przeprowadzkę do Miasta Cadyków jako ostatnie wyjście przed rozwodem i polecił specjalnie, by zgłosiła się jako wolontariuszka do jednej z tamtejszych mykw, bo jak wszyscy wiedzą, to doskonała metoda na płodność).

– Z Bożą pomocą wszystko się ułoży – powiedział.

Skinęła głową i zauważyła:

– Gorąco tu.

– Owszem – potwierdził. – Po stronie kobiecej jest świeższe powietrze. Oprowadzić cię?

Weszła do środka – nie zamknął drzwi, by nie łamać zakazu – i stanęła obok niego, a on wskazywał ławki, okna, przebieralnie i kabiny prysznicowe, opowiadał, jak przyjechali żołnierze aresztować Noama i jak nagle okazało się, że jest w sytuacji bez wyjścia, i musiał zbudować to wszystko, co widzi przed sobą, własnoręcznie.

– Naprawdę sam to wszystko zbudowałeś? – zapytała zdumiona.
– Gratulacje.

– Posłuchaj – usprawiedliwił się szybko – nasz wykonawca, Noam, wylał fundamenty, więc to w gruncie rzeczy nasze wspólne dzieło.

– W każdym razie gratuluję ci – powiedziała. – To najpiękniejsza mykwa, jaką kiedykolwiek widziałam. Nie największa ani najbardziej luksusowa. Ale najpiękniejsza. Czuje się, że włożyłeś w to swoją duszę.

– Dziękuję – odparł i pomyślał, że w ostatnim czasie ani razu nie udało mu się wyjaśnić żonie, że zadanie, jakie zrzucił na niego Danino, by go pognębić, w zaskakujący sposób nappełniło go poczuciem misji.

– Skończ z tym jak najszybciej i czym prędzej wracaj do biura – ostrzegęła go codziennie Menucha. – Inaczej ktoś inny zajmie twoje miejsce.

– Przygotowałeś nawet ręczniki. – Ajelet wskazała na półki ze zdumieniem.
– Pomyślałeś dosłownie o wszystkim.

– Tak, chciałem, żeby ci było wygodnie. To znaczy, nie tobie. Kobiecie, która miała tu pracować. Chcę powiedzieć, że nie miałem pojęcia, że to ty – zaplątał się i przerwał wystraszony: nic się nie zmieniło. Ona wciąż sprawia, że płaczą mi się myśli, pomyślał, a kropelki jego lęku rozpryskiwały się wokół, odbijały się od ścian i wracały podwojone jak echo, jak tysiące ech, a ona uśmiechnęła się wiedzącym uśmiechem i powiew wiatru, który wpadł przez okno, uniósł do jego nozdrzy jej zapach, ten sam zapach, i poczuł, że jeśli będą tak dłużej

stać naprzeciw siebie, może stracić kontrolę, jedną ręką oswobodzi jej włosy z upięcia, wetknie nos w kłębowisko brązowych węży i będzie wdychać, wdychać...

Poczuł dreszcz, wstrząsnął się i szybko wyszedł na zewnątrz, żeby tylko nie stać tak blisko.

Na zewnątrz, znów w pewnej odległości od siebie, spoglądali na domy Syberii.

Ulica była opustoszała i tylko na przystanku autobusowym siedziały te same dwie staruszki, które Ben Cuk widział za pierwszym razem. Wiosna wokół buzowała brzęczeniem i szmerami rozmaitych żywych stworzeń. W ogródkach kwitły drzewka migdałowe i maki. Wszystkie owady zmierzały do źródeł nektaru.

– To osiedle nowych imigrantów – powiedział. – Wiedziałaś?

– Tak.

– Być może... minie jakiś czas, zanim ludzie zaczną przychodzić. Może ci być nudno w pierwszych dniach.

– Nie martw się o mnie, mam moje Psalmy – odparła, wydając tomik z rysunkiem harfy na okładce.

– „Nad Jego prawem rozmyśla dniem i nocą” – zacytował. – To najlepsza księga.

– „Bo wybawi mnie z wszelkiej udręki” – odpowiedziała cytatem.

– Zapisz mój numer – zaproponował. – Jeśli pojawi się jakiś problem, zadzwoń.

– Postaram się cię nie niepokoić.

– To do zobaczenia – rzekł, ale jego nogi nie chciały ruszyć z miejsca.

– Wszystkiego dobrego – życzyła mu.

– Wszystkiego dobrego – odparł i odszedł. Z wielkim trudem.

Teraz znowu do niej jedzie. Jak bardzo się uradował, a przy tym wystraszył, usłyszawszy jej głos w telefonie.

– Pojawił się pewien problem – oznajmiła Ajelet. – Musisz koniecznie przyjechać.

Powiedział sobie słabym głosem: pozwolenie zostało udzielone, Moszik. Wyślij kogoś innego, żeby się tym zajął, i uratuj siebie.

– Katiu! – Anton wpada do domu jak młody psotny chłopak, wracający z osiedlowego boiska do koszykówki, wnosząc do domu silny zapach kwiatów, który sprawia, że Katia kicha. – Kotiku kochany, nie uwierzysz, co ci zaraz opowiem!

– No, co to takiego? – Katia wyciera nos i dodaje: – Napijesz się herbaty?

– Jakiej herbaty? – Anton śmieje się głośno. – Herbata to nie napój dla rewolucjonistów!

– Rewolucjonistów?

– Tak. – Anton podchodzi do szafki z napojami. – Dzisiaj w końcu coś się wydarzyło w żydowskim kraju!

– Co takiego się stało? Dałeś mata Szpilmanowi? – Głupstwa, które wygaduje Anton, są zaraźliwe.

– Ha! – Nalewa im obojgu po kieliszku koniaku i mówi: – Poczekaj, aż usłyszysz, co ci opowiem, tylko poczekaj.

– Jeśli nie zauważyłeś, czekam już od pewnego czasu – odpowiada ona.

On droczy się z nią jeszcze przez chwilę:

– Jaka szkoda, Kotiku, że cię tam nie było.

Ale gdy widzi, że Katia opiera ręce na biodrach, co świadczy o tym, że wkrótce się rozzłości, zaczyna opowiadać.

– Przyszliśmy do klubu o dziesiątej rano. Wszyscy gracze ligi stawili się na miejscu, ale w furtce stała jakaś kobieta, która zagrażała nam wejście. Wyjaśniłem, że przyszliśmy uroczyście zainaugurować działalność klubu, ale ona nie rozumiała po rosyjsku i wciąż powtarzała to samo po hebrajsku. Towarzysze zmęczeni się tym i chcieli wracać do domu, ale wtedy Nikita wspiał się na kamień i zaczął przemawiać, jak Lenin na pancerniku.

– Co mówił?

– Powiedział, że to nasz klub, na naszym osiedlu, i że nie może zagrażać nam wejścia. Powiedział, że urząd miasta nas ignoruje, odkąd tu przyjechaliśmy, i że to musi się skończyć dzisiaj. Powiedział, że tutejsi ludzie może i są starsi, ale starsi ludzie też mają prawo do przyzwoitego traktowania i szacunku. Powiedział, że jeśli nie zejdzie nam z drogi, może jej się coś stać, i po co miałyby coś się stać takiej ładnej kobiecie? Gdyby rozpuściła włosy i ubrała się inaczej, mogłaby być nawet atrakcyjna, i że może dosłownie wyobrazić ją sobie, jak... Trzymaj się tematu! – zawołałem, bo czułem, że traci retoryczną dynamikę, a on wzdrygnął się, wskazał na ogrodzenie i oświadczył: teraz wszyscy oprzemy się o ten płot i ona nie da nam rady; jeśli Niemcy i Stalin nas nie pokonali, jeśli udało nam się zjednoczyć, nam, grupie starców, i wyemigrować razem w jednej grupie, wbrew wszystkim i wszystkim na złość – także to ogrodzenie nas nie pokona!

– Ale co zrobiła ta kobieta? Przecież ona nie rozumiała z tego wszystkiego ani słowa!

– Nic. Kiedy wszyscy zaczęliśmy pchać się do furtki jednocześnie, zrozumiała doskonale i otworzyła.

– No a w środku naprawdę był klub szachowy?

– Niezupełnie.

– Nie?

– Jest tam jakieś miejsce do kąpieli.

– Bania?

– Nie całkiem. Nie ma drewnianych ławek. Ani kamieni do polewania wodą.

Ani miotełki z gałązek.

– To co to takiego?

– A co za różnica?! – Anton podnosi głos i upija łyk koniaku. – Prawdziwy rewolucjonista nie pyta, co jest, ale co by chciał, żeby było!

– Jakże znowu szachy? – Dwa kciuki Danina, zatknięte za pasek od spodni, osuwają się pod wpływem wstrząsu doznanego przez ich właściciela.

– Sam nie wiem – mówi przeprasząc Ben Cuk. – Nie mam pojęcia, skąd w ogóle wzięli ten pomysł.

– Ale to w ogóle... to budynek mykwy... to nie jest odpowiednie miejsce. Gdzie stawiają szachownice? Gdzie siedzą, w basenie?

– Kiedy przyjechałem tam po raz drugi, zobaczyłem, że zakryli basen deskami, a do przebieralni wstawili stoliki i krzesła. I urządzili kącik z poczęstunkiem.

– Jak to, „wstawili”? To własność publiczna!

– Jest tam taki jeden, bardzo zręczny, muszę powiedzieć, że to wygląda nawet...

– To katastrofa, Ben Cuk, katastrofa! Wiesz, co się stanie, gdy przyjedzie Mendelstrum i zobaczy, że w jego mykwie ktoś urządził klub szachowy?

– To zamknijmy ją. Założymy kłódkę i zabijemy drzwi deskami.

– I co dalej? Mendelstrum wyraźnie pisze, że chce zobaczyć działającą mykwę. Otwartą. Musimy jakoś rozwiązać ten problem. Musimy. Próbowaliśmy się z nimi dogadać?

– Owszem. Ale oni nie mówią po hebrajsku. A ani ja, ani Ajelet... to znaczy Bat El, nowa *balanit*, nie znamy rosyjskiego. Myśli pan, że powinniśmy zaangażować policję?

Nie ma większej samotności niż samotność podejmującego decyzje. Danino wpatruje się w oprawione portrety przywódców narodu, wiszące w jego gabinecie: Ben Gurion. Herzl. Weizmann. Lewi Eszkol. Jak ludzie, którzy pragną dziecka albo idealnego partnera życiowego, kładą się na grobach świętych cadyków z rozłożonymi rękami i nogami, przykładają twarz do ust cadyka, by połączyć swoją duszę z duszą świętego męża i w ten sposób zapytać go o sekrety Tory, tak Danino zwraca się w chwilach niepewności do przywódców na ścianach i wpatruje w ich oczy: w rozmarzone oczy Herzla. W spoglądające twardo, z determinacją, oczy „Starego”. W oczy szlachetnego buntownika Menachema Begina. W oczy mądrego dziadka Lewiego Eszkola, którego zdążył nawet poznać osobiście, gdy w dzieciństwie zabrano go na uroczystość wmurowania kamienia węgielnego pod budynek miejskiej uczelni wyższej (która nie powstała do dziś). Zamienił z nim nawet kilka zdań. To znaczy Eszkol odezwał się do niego w jidysz, a on nie zrozumiał ani słowa, ale podobała mu się melodia i osobisty, ciepły ton jego słów.

– Nie – mówi na koniec do Ben Cuka. – Nie chcę angażować policji. Za dwa

miesiące będą wybory i nie potrzebuję żadnych awantur. Nigdy nic nie wiadomo, tamci, z tą ich mentalnością, mogą jeszcze rozbić butelkę wódki na głowie pierwszego policjanta, który tam pojedzie.

- To co zrobimy?
- W piątek wybierzemy się tam obaj. I pogadamy z nimi sami.
- Ale jak? Przed chwilą panu powiedziałem, że oni nie mówią po hebrajsku.
- Niemożliwe. Musi być choć jeden, który zna hebrajski.
- Nikt. Mówię panu. Mówiłem do nich po hebrajsku i równie dobrze mógłbym mówić po chińsku.
- Dobrze, ale na pewno ktoś ich odwiedza co jakiś czas. Nie mają dzieci? Wnuków?

Daniel zakochał się w Szoni w czasie świąt Chanuki i przez cały czas aż do świąt Pesach nie znalazł w sobie dość siły, by zaproponować jej przyjaźń. Przez całe cztery miesiące wpatrywał się w nią w nadziei, że jego spojrzenie przemówi samo za siebie, a tymczasem uczył się na pamięć wszystkich najdrobniejszych spostrzeżeń na jej temat: jaka jest skrupowana za każdym razem, gdy wyczytują jej pełne imię i nazwisko z dziennika, Szunamit Szpicer. Jak zjada tylko jedną część kanapki z kremem czekoladowym, a drugą wyrzuca do śmieci. Jak w piątki przychodzi w sukience i bardzo uważa, by jej nie zaplamić na przerwie śniadaniowej. Jak po wuefie bardzo długo bierze prysznic, nawet jeśli przez to spóźnia się na następną lekcję. Jak przeprosza za swoje spóźnienie, nie spuszczać wzroku, i szybko siada na miejscu, by zorientować się w sytuacji. Jak na lekcjach Biblii wyciąga rękę wyjątkowo wysoko, bo zależy jej, by zrobić dobre wrażenie na nauczycielu, i kiedy tak się napina, odsłania przy tym pachę. Jak drży jej odrobinę głos, gdy czyta na głos wiersze Bialika na lekcjach hebrajskiego. Jak razem z Siwan, koleżanką z ławki, piszą do siebie karteczki na wszystkich lekcjach, bez przerwy, poza chwilami, gdy są pokłócone, a wtedy Szoni nakreśla na ławce ołówkiem linię demarkacyjną i zgarnia wszystkie swoje rzeczy na jedną stronę.

Podczas jednej z takich głośnych kłótni nauczycielka ukarała Szoni, przesadzając ją na puste miejsce obok Daniela. Ta niebiańska kara trwała tydzień. Cały tydzień, podczas którego mógł się napawać jej obecnością. Pożyczać ołówek, kiedy jej się złamał. Korzystać z jednego atlasu na geografii. A nawet – nie wierzył swemu szczęściu – pisać liściki. Nie on rozpoczął tę korespondencję, w życiu. To ona podała mu pierwszą karteczkę: „Uff – napisała. – Nudzi mi się”. W jego oczach była to poezja. Bez końca szkicował w wyobraźni najlepsze odpowiedzi, a wreszcie napisał: „Mnie też. Chcesz zagrać w państwo-miasto?”. I natychmiast poczuł, że nienawidzi swego pochyłego pisma, które przypominało litery cyrylicy, i zaczął się obawiać, że popełnił jakiś karygodny błąd ortograficzny.

W odpowiedzi podała mu dwie kartki, na których narysowała już wszystkie rubryki.

- Alef – szepnęła.
- Stop – odszepnął po chwili.

Napisała literę „samech” w rubryce zatytułowanej „litera” i oboje zaczęli energicznie pisać. Szoni skończyła pierwsza i wymienili się kartkami, żeby sprawdzić je sobie nawzajem i zapisać punkty. W kolumnie „państwo” wpisała „Syria”, a on „Senegal”. W rubryce „miasto” ona napisała „Sydney”, a on „Sankt Petersburg”. W „słynnym człowieku” ona napisała „Sandra Bullock”, a on „Stalin”. W „imieniu chłopca” napisała „Steve”, a on „Sasza”. W „imieniu dziewczyny” oboje napisali „Siwan”. W „zawodzie” ona napisała „stylistka”, a on chciał napisać „sportowiec”, ale nie był pewien, czy w Izraelu to jest uważane za zawód, wołał więc nie ryzykować i napisał „sekretarz”.

Oddała mu jego kartkę z zakreślonym słowem „Sankt Petersburg” i prowadzącą od niego strzałką z pytaniem: „Gdzie to jest?”. „Sankt Petersburg – napisał – to dawniej Leningrad. A jeszcze dawniej Piotrograd. Tam narodził się socjalizm i tam Armia Czerwona pokonała Hitlera. Wielkie miasto z rzeką i kanałami. I mnóstwem pięknych mostów. W letnie noce podnoszą mosty, żeby statki mogły przepływać. A jeśli nie zdążysz przejść, zanim je podniosą – nie możesz wrócić na drugą stronę aż do rana. Powinnaś tam kiedyś pojechać”.

Podał jej kartkę i czekał z obawą na odpowiedź. Miał nadzieję, że roześmieje się z jego propozycji odwiedzin albo przynajmniej uśmiechnie, ale zauważył już, że tutejsze poczucie humoru jest całkiem inne. Po krótkiej zwłoce podała mu kartkę, a pod jego długim wykładem napisała: „W porządku. Teraz twoja kolej”.

Pod koniec tygodnia kara się zakończyła i Szoni wróciła na swoje miejsce obok Siwan, a on poczuł kłujący ból w przeponie, jak zawsze na lekcjach wuefu przed ostatnią prostą w biegu na sześćset metrów, gdy Eran Turki, mistrz szkoły w biegach na krótki, średni i długi dystans, wymijał go z łatwością i oddalał się, nie odwracając głowy.

Krótko przed świętem Pesach podczas szkolnych imprez chłopcy zaczęli umawiać się z dziewczynkami. Eran Turki okazał się chłopakiem Siwan. Doron – Dorit. Cachi – Mai. Także Szoni otrzymała kilka propozycji, ale wszystkim grzecznie odmawiała.

– To przecież jasne – zauważył Anton. Szli obok siebie drogą do nowego klubu szachowego na osiedlu.

– Co jest takie jasne? – zdenerwował się Daniel.

– Czeka na kogoś, kto jeszcze jej nie zapytał. Taka dziewczyna ma powodzenie – jaki miałaby powód, żeby wszystkim odmawiać, chyba że czeka na kogoś, dla kogo zachowuje swoją zgodę.

– Ale dla kogo? – zdumiał się Daniel... – Nie ma nikogo, kto...

– Dla ciebie, *duraczok*... – Anton uszczypnął go w ramię.

– W życiu – oburzył się chłopiec. – Ja... ja nie jestem w ogóle fajny. Jestem

zbyt nowy... Do niej bardziej pasuje ktoś taki jak... Daj spokój!

– Czasem ludzie pragną właśnie kogoś, kto do nich nie pasuje – powiedział Anton, kładąc dłoń na furtce prowadzącej na teren klubu. – A poza tym, kto nie ryzykuje, nie pije szampana. Jak się dowiesz, jeśli jej nie zapytasz? Będziesz chodzić z małą Sonią tkwiącą ci w sercu do końca roku. A w przyszłym roku, jeśli dobrze zrozumiałem, pójdziesz pewnie w ogóle do innej szkoły, prawda?

W klubie Daniel usiadł obok Antona.

– Będziesz moim pomocnikiem – powiedział Anton, gładząc go po głowie.
– W porządku?

Ponieważ jeszcze nie rozumiał dokładnie zasad gry, uwaga Daniela szybko zaczęła wędrować, przenosząc się od figur na szachownicy do samych grających.

Kiedy cztery razy w ciągu sześciu lat zaczynasz chodzić do nowej szkoły, bardzo szybko uczysz się kreślić mapy otoczenia, by przetrwać. A twoja umiejętność odczytywania ludzkich myśli i uczuć staje się coraz doskonalsza. Proszę, już pierwszego dnia w nowej szkole w Mieście Wina udało mu się zauważyć, jak pod swoim uśmiechem ich wychowawczyni jest już wszystkim zmęczona i jak niecierpliwie czeka na roczny urlop. Udało mu się dostrzec też, że łobuz Cachi Brener wstydzi się swoich używanych butów po bracie, a Naomi, która gra na pianinie na wszystkich szkolnych uroczystościach, wolałaby raczej grać na gitarze. I że jego mama, przychodząca po niego do szkoły ubrana jak na koncert, wcale nie czuła się z tym dobrze, wiedziała, że zbytnio rzuca się w oczy, więc przynaglała, by szybciej wsiadał do samochodu, chociaż nigdzie się nie spieszyli...

Kiedy teraz Szpilman odsłania królową, Daniel zauważa delikatne drżenie jego górnej wargi i szepcze do Antona:

– Uważaj, to zasadzka.

– Naprawdę? – Anton dziwi się i zwleka z ruchem ręki, która już miała zagrozić królowej gońcem. Drżenie górnej wargi Szpilmana się nasila.

– Na sto procent – potwierdza Daniel, a Anton znowu omiata wzrokiem szachownicę, aż w końcu odkrywa podstęp.

– Brawo, Daniku. – Poklepuje Daniela po ramieniu i po kilku ruchach dociera do zwycięskiej pozycji, tak oczywiście, że odchyła się do tyłu i opiera o ścianę, nabiera garść oliwek i żuje je swobodnie.

Właśnie wtedy, w środku partii, do mykwy wchodzi obcy ludzie. Bez szachownic w rękach. I bez słoików z oliwkami.

– Dzień dobry – witają się po hebrajsku, a szachiści podnoszą na nich wzrok, ale nie odpowiadają.

– Chłopczyku – zwraca się jeden z obcych, którego twarz Daniel skądś zna.
– Mówisz po hebrajsku?

Daniel kiwa głową.

– Powiedz im, że przebywają tu bezprawnie. I że powinni natychmiast opuścić to miejsce.

Daniel milczy. Nagle przypomina sobie, skąd zna tę twarz: widział te zielone smutne oczy na wielkich bill-boardach u wjazdu do miasta. „Wesołego święta wiosny życzy burmistrz Awraham Danino”.

– Czego oni chcą? – cedzi przez zęby Anton.

– Żebym wam przetłumaczył – mówi Daniel. – Anton, wydaje mi się, że to chyba burmistrz.

– No i cóż takiego chce nam oznajmić pan burmistrz?

– Że nie wolno wam tu być. On chyba mówi, że to nielegalne.

– Powiedz panu burmistrzowi – mówi Anton – że bardzo jesteśmy wzruszeni tym, iż w końcu postanowił zaszczycić nas wizytą, z wielką chęcią przedyskutujemy z nim każdy problem po zakończeniu działalności klubu. To znaczy o drugiej trzydzieści.

Po obu stronach burmistrza stoją towarzyszące mu osoby: młody muskularny mężczyzna, odrobinę przypominający Danielowi panterę, i młoda kobieta o twarzy poważnej jak twarz nauczycielki, ale o psotnym spojrzeniu uczennicy. Niewidzialna linia łączy mężczyznę z kobietą, tak wyczuwa Daniel, chociaż stoją rozdzieleni osobą burmistrza. Teraz wszyscy troje pochylają się ku sobie, by się naradzić, choć burmistrz – dla Daniela to oczywiste z każdego gestu – już podjął w duchu decyzję, i narada służy tylko do umocnienia jego decyzji.

Po kilku minutach proszą o przetłumaczenie następującej informacji: o drugiej trzydzieści będą czekali pod mykwą i mają nadzieję spotkać się z przedstawicielami osiedla, z którymi będą mogli się komunikować.

– Nie ma problemu – mówi Anton i prosi, by Daniel przetłumaczył: – Nie wypada, by tak szacowni goście czekali na zewnątrz, zapraszamy do nas, do domu.

Ben Cuk wchodzi pierwszy. Po nim Danino, z ręką wepchniętą w spodnie aż po samo przyrodzenie, a na ostatku Bat El. Ben Cuk ma dość niepokojące wrażenie, że dom i jego gospodarze nie są mu obcy, ale nie udaje mu się przypomnieć, skąd i z jakiego rozdziału w życiu ich zna. Stoi w przedsionku dłuższą chwilę, skrępowany, aż Bat El nachyla się do jego ucha i pyta szeptem: to ci nie przypomina odrobinę domku dziadka Nachuma?

Dziadek Nachum był w kibucu jego przyszywanym dziadkiem, chociaż sam nigdy nie zaakceptował tego określenia. Nie jestem żadnym dziadkiem i wcale cię nie adoptowałem, parskał dziadek Nachum. Nic ci nie jestem winien, i gdybyś mi się nie spodobał, nie pozwoliłbym ci postawić nogi na progu.

Dziadek Nachum należał do pokolenia założycieli kibucu, a przez pewien czas pełnił nawet funkcję sekretarza, aż do chwili otwarcia zakładu wyrobu sandałów. Te sandały jeszcze nas wykończą, prorokował z gniewem na zebraniu powszechnym, ale nikt nie dawał posłuchu jego ostrzeżeniom. Zakład zaczął

przynosić zyski w pierwszym roku produkcji, a dodatkowe dochody umożliwiły powiększenie kibucowego basenu, zbudowanie dogodnych dróg dojazdowych, urozmaicenie jadłospisu i posłanie większej liczby osób na studia. Nienasyceni! Chciwcy! – krzyczał dziadek Nachum na zebraniach kolektywu, na które fatygowało się coraz mniej mieszkańców. Patrzył tęsknie, jak zamyka się obora. Potem kurnik. A następnie, jak zalano betonem sad jabłoni, żeby dobudować nowe skrzydło do kwitnącego zakładu. Sad zlikwidowano miesiąc przed zbiorami i truchła niedojrzałych jabłek wpadały pod koła buldożerów i toczyły się po kibucowych drózkach, a odór sfermentowanego kompotu utrzymywał się w powietrzu przez długi czas, drażniąc nozdrza, aż pewnego dnia Nachum przyłapał ojca Izraela, który szedł naprzeciw niego jedną z drózek, chwycił go za kołnierz i wrzasnął: Ty heretyku! Nie, ty morderco! Ty i te twoje paskudne sandały zabijacie wszystko, w co wierzyliśmy!

Towarzysze pospiesznie ich rozdzielili. Ale dziadek Nachum wciąż szalał przez dłuższy czas, aż nie pozostało nic innego, jak wezwać pogotowie.

Z przymusowej hospitalizacji wrócił z zaskakującą decyzją: wraca do mateczki Rosji. Nie po to wyemigrował do Izraela, by być tu drobnomieszczaninem.

Nikt nie traktował na serio jego deklaracji, ale on sam rozpoczął przygotowania. Na pierwszym etapie pozbył się ze swojego baraku wszelkich śladów lewentyńskiego charakteru i zamienił go w małą Moskwę. Samowar wyszperał na pchlim targu w Mieście na Granicy; gipsową głowę Lenina w sklepie ze starzyzną w Mieście Portowym; a tomików dzieł Puszkina i Lermontowa i tak nigdy nie wyrzucił.

Na drugim etapie zaczął planować podróż. Były to czasy żelaznej kurtyny i CSKA pokonała Makabi Tel Awiw w belgijskim mieście Virton, ale dziadek Nachum obmyślił chytry i śmiały plan, mający mu pomóc pokonać wszelkie przeszkody. Na ścianach rozwiesił olbrzymie mapy, zaznaczając kolorowymi pinezkami każdy etap planowanej eskapady. Rozwiesił także zdjęcia lotnicze odpowiednich przejść granicznych, które nie wiadomo skąd zdobył, postarał się o peruki, sztuczne wąsy, zestaw do fałszowania paszportów i zestaw do przetrwania w śniegu, gdyż część podróży miał odbyć pieszo przez wąskie górskie doliny Tatr. Moszika – którego przybrana matka posyłała do dziadka Nachuma z obiadem w garnuszku (dziadek odmawiał przychodzenia do stołówki) – ten awanturniczny plan oczarował. Zaoferował dziadkowi pomoc.

– Niepotrzebna mi niczyja pomoc! – warknął Nachum, lecz mimo wszystko (może dlatego, że każdy człowiek potrzebuje choć jednego świadka swoich dokonań) pozwolił mu zostać w izbie, nauczył go, czym różni się czytanie map od czytania zdjęć lotniczych, zademonstrował, z jaką łatwością można wyrobić fałszywy paszport dowolnego europejskiego państwa, a nawet zdradził najpilniej

strzeżoną tajemnicę: strzelające usypiającymi nabojami pióro à la James Bond, które kupił od kogoś w mrocznym zaułku w Mieście Grzechu.

Dziadek Nachum stał się także mimowolnie powiernikiem jedynej tajemnicy Moszika. Pewnej nocy (wychodził na przechadzki tylko i wyłącznie pod osłoną ciemności, by nie natknąć się na nikogo) usłyszał podejrzone odgłosy dobiegające z zarośli nad potokiem, dobył beretty, którą nosił zawsze zatknętą za pasek od spodni, i podszedł sprawdzić, czy to nie fedajnowie atakują. Kiedy zobaczył to, co zobaczył, odchrząknął i ryknął na nagiego, przerażonego Moszika:

– Słowo daję, chłopcze, posuwasz synową sekretarza i nic mi o tym nie mówisz? Jak ci nie wstyd? Przyjdźcie do mnie oboje na herbatę, jak skończycie swoje sprawy.

– Uważaj na nią – ostrzegł dziadek Nachum, gdy spotkał Ajelet po raz pierwszy. – Przypomina mi moją nieodżałowaną Elkę. Przyniesie ci same zmartwienia, nic tylko złamane serce.

(Nieodżałowana Elka dziadka Nachuma w rzeczywistości wcale nie umarła, lecz dziadek Nachum obwieścił, że nie żyje, po tym jak uciekła do Anglii z młodszym o dwadzieścia lat kibucowym ochotnikiem. Odbił nawet po niej zwyczajową żałobę, ku wielkiemu zażenowaniu członków rodziny, którzy nie wiedzieli, czy siedzieć razem z nim pod ustawionym na podwórzu daszkiem, czy też wymierzyć mu dwa policzki i powiedzieć, by się wreszcie otrząsnął).

– Mają w oczach to samo bezczelne spojrzenie, ta twoja dziewczyna i moja nieodżałowana Elka – przekonywał. – A poza tym, obie malują paznokcie u nóg na czerwono. Niech Najwyższy ustrzeże cię przed kobietami, które malują paznokcie na czerwono! – przestrzegał dziadek Nachum po każdej wizycie Ajelet, ale przy tym namawiał Moszika, by przyszedł znowu i odwiedził go w jego baraku „z tą swoją dziewczyną”, a kiedy przychodzili, uwijał się wokół Ajelet jak młody chłopak, częstował ją słodyczami, przynosił ciepły koc, żeby broń Boże się nie przeziębiła, podzielał z nią odrazę do sandałów ortopedycznych i ojca Izraela i prawil komplementy, mówiąc, że bardzo jej ładnie z czerwonym lakierem na paznokciach.

– Dziękuję, dziadku Nachumie – mówiła Ajelet i wypijała z nim do spółki butelkę grzanego wina, po czym oboje wdawali się w dyskusje na temat kwestii bieżących, w zajadłe, głośnie spory, które zawsze kończyły się dramatycznymi zakładami dotyczącymi faktów historycznych, a także spraw fundamentalnych (w której kampanii wyborczej partia Mapam po raz pierwszy startowała ze wspólnej listy z Mapai? Jakim narzędziem zamordowano Lwa Trockiego?). Z natury rzeczy i ze względu na różnicę wieku Ajelet przegrywała te zakłady, co skazywało ją na wypicie kolejnego kubka grzanego wina. Duszkiem. Bez przerwy na zaczerpnięcie oddechu.

W jak niewyjaśniony i zaskakujący sposób działają na siebie ludzie,

rozmyślał Moszik, obserwując ich. Myślał także: tylko przy dziadku Nachumie mogą sobie wyobrazić, jaka była Ajelet jako mała dziewczynka.

Tamtego wieczoru, gdy zaproponowała, by rzucił wszystko i uciekł z nią, poszedł do dziadka Nachuma. Na całym świecie nie miał nikogo, kogo mógłby się poradzić, zastanowić, dlaczego czuje tak silny opór przed propozycją, o której od tak dawna marzył. Ale kiedy dotarł do domku dziadka, znalazł na zamkniętych drzwiach żółtą karteczkę: „Wyjechałem do Rosji. Bez powrotu”.

Pierwsza pocztówka nadeszła po tygodniu, z Wiednia. „Wszystko idzie zgodnie z planem – pisał dziadek Nachum. – Mam nadzieję, że u Ciebie wszystko w porządku. Pozdrowienia dla Twojej czarującej dziewczyny”. Kolejne pocztówki przychodziły ze wszystkich punktów po drodze, zaznaczonych kolorowymi pinezkami na wielkiej mapie. Oslo, Sztokholm, Helsinki. Na ostatniej pocztówce, ze zdjęciem Kremla i placu Czerwonego, było napisane: „Wróciłem do domu. Niech żyje rewolucja!”. Po niej kartki przestały przychodzić.

Czy dziadka Nachuma aresztowano i zesłano na Syberię? A może umarł i pochowano go w ojczystej ziemi? Czy namawiałby Moszika, by porzucił obawy, gwizdał na to, co ludzie powiedzą, i uciekł z Ajelet, gdyby tamtej decydującej nocy był w domu?

– To faktycznie przypomina trochę barak dziadka Nachuma. – Ben Cuk zgadza się z Ajelet, która tymczasem stała się Bat El.

Rozgląda się: rząderek butów przy wejściu. Wieszak na ubrania. Kryształ w kredensie. Samowar włączony przez cały czas. Na ścianach zdjęcia ludzi, nie miejsc. Regał z książkami ciągnący się wzdłuż całej ściany, lecz wciąż zbyt wąski, by pomieścić ogromną liczbę tomów. Sterta rosyjskich gazet. A tu nawet malutka cukierniczka z kostkami cukru.

– Siadajcie, czemu stoicie? – zaprasza Katia, wskazując ręką jedyną kanapę w pokoju.

Danino siada pierwszy, z szeroko rozstawionymi kolanami, a Ben Cuk i Bat El zajmują miejsce, ściśnięci, w lewym rogu. Jej zsunięte kolana niemal dotykają jego kolan. Oddech z jej ust dolatuje do jego nozdrzy, doskonale znajomy.

– Napijcie się czegoś? – pyta Katia, a Daniel tłumaczy na rosyjski rozmaite prośby: czarna kawa z dwiema kostkami cukru dla Danina, kawa rozpuszczalna z dużą ilością mleka dla Ben Cuka i ziołowa herbatka dla Bat El.

– Jak wam się tu mieszka na Sy... na osiedlu Źródło Dumy? – zagaja uprzejmie Danino, a Daniel tłumaczy.

– Doskonale. – Katia czym prędzej stara się go udobruchać. – Mamy tu bardzo zdrowe powietrze i odkąd przyjechaliśmy, jeszcze nikt nie umarł. Wspaniale, prawda? Nie ma ani jednego grobu. Jakby ta góra nas chroniła.

– Nikt nie umarł, ale nikt też specjalnie nie żyje. – Anton pospiesznie zajmuje twarde stanowisko. – Nie mamy tu nic do roboty. Nie ma dokąd pójść. Nie

ma...

Daniel prosi, by na chwilę się zatrzymał, żeby mógł to przetłumaczyć.

– Za pozwoleniem, przejdźmy może od razu do rzeczy – ucina Danino, gdy tylko Daniel kończy mówić. – Niebawem rozpoczyna się szabat, a zgodnie z umową koalicyjną w sobotę nie wolno mi prowadzić działalności politycznej. Rozumiem, że lokalna społeczność potrzebuje centrum kulturalnego. To całkowicie naturalna potrzeba, o którą powinniśmy byli być może zadbać wcześniej w ratuszu. Nie „być może” – zwraca się do Daniela – przetłumacz „na pewno”, zgoda?

Daniel kiwa głową. I tłumaczy.

– Ale budynek, do którego się wdarliście – kontynuuje Danino – został ufundowany przez darczyńcę z New Jersey i ma służyć jako pierwsza mykwa na waszym osiedlu.

– Przepraszam – przerywa Daniel. – Co to jest mykwa?

Danino patrzy na niego zdumionym wzrokiem.

– Nie wiesz, co to jest mykwa? – podnosi odrobinę głos. – Nie wstyd ci?

A pan wie, kim był Puszkina? Albo Achmatowa? – chce zareplikować Daniel zdaniem zasłyszonym w rozmowie matki z nauczycielką hebrajskiego, która na wywiadówce zwróciła jej uwagę na jego brak znajomości poezji Lei Goldberg...

Ale przecież jest tylko małym chłopcem. Zamiast odpowiedzieć garbi się cały, a na jego rzęsach lśnią drobiny frustracji.

Tego tylko mi brak, myśli Danino, żeby mój jedyny tłumacz teraz się załamał, dwadzieścia minut przed rozpoczęciem szabatu.

– Uspokój się – prosi Daniela. – Powiedz im tak: najwyraźniej nastąpiło jakieś nieporozumienie i byliście przeświadczeni, że chodzi o klub osiedlowy. Przykro mi, ale ten budynek jest przeznaczony do czegoś innego. Nie możecie dalej grać tam w szachy. To po prostu nie do przyjęcia.

– Co w takim razie proponuje? – Anton prosi Daniela, by przetłumaczył.

– Tak, co on właściwie proponuje? – rzucają z groźbą w głosie Nikita i Szpilman, którzy dołączyli do spotkania jako gracze rezerwowi.

Danino wskazuje głową na Ben Cuka, który roz-pościera na stole mapę, specjalnie sporządzoną wcześniej (a przy tym muska łokciem łokieć Bat El, powodując, że przebiega między nimi silny prąd, bolesny, lecz przyjemny).

– Proszę popatrzeć! – Ben Cuk stuka wskaźnikiem w wybrany arbitralnie punkt pośrodku mapy i wszyscy pochylają się naprzód, by lepiej widzieć.

– My znajdujemy się tutaj. Tam stoi mykwa. A tu – znowu stuka wskaźnikiem – mamy teren, który można przystosować do lokalizacji klubu osiedlowego. Jeżeli wam to odpowiada, możemy rozpocząć prace w przyszłym tygodniu.

– Wyjaśnij mu – Anton zwraca się do Daniela – że ta jego mapa nie robi na nikim wrażenia. Przecież można po prostu wyjść na ganek i wszystko zobaczyć.

Rozpoczną prace w przyszłym tygodniu? Widzieliśmy już, jak oni pracują. To parodia. Zaczynają i przerywają, zaczynają i przerywają. Kto wie, kiedy w ogóle skończą? Powiedz, że nie wyjdziemy z tego budynku, dopóki nie dostaniemy innego miejsca. I kropka.

Daniel patrzy na napięte, muskularne ciało Ben Cuka, który nadal trzyma w ręku wskaźnik, i samodzielnie decyduje, że pominie uwagę o mapie. Po co ma obrażać tego człowieka?

– Oni żądają rozwiązania natychmiast – mówi do Danina. – Inaczej dalej będą grali w szachy w tym budynku.

Danino i Ben Cuk wymieniają prędkie, niezauważalne spojrzenia (wyczuwa je tylko Bat El, tak jak wyczuła błyskawicę spojrzenia, które Ben Cuk posłał w stronę jej obojczyków, gdy pochylała się nad mapą).

– Jest jeszcze inna możliwość – oznajmia Danino.

W niedzielę na osiedle wjeżdża ciężarówka długa jak wygnanie. Wiezie na przyczepie barak z prefabrykatów. Wszyscy mieszkańcy wychodzą przed domy, by zobaczyć, jak barak zostaje uniesiony w powietrze za pomocą dźwigów i lin, a następnie ustawiony dokładnie w punkcie, który Ben Cuk wskazał na mapie, na skraju osiedla, upewniwszy się najpierw po wielokroć, że pod żadnym kątem nie da się stamtąd dojrzeć Tajnej Jednostki Wojskowej, o której Wiedzą Wszyscy. Dwa dni później, po gorączkowych przygotowaniach, Ben Cuk wręcza Antonowi klucze i Anton wchodzi do środka. Powierzchnia jest mniejsza, niż obiecywano, zauważa. Podłoga odrobinę krzywa. Nie ma kafelków. Ani ładnych półek. A akustyka pod żadnym pozorem nie umożliwi Jaszy zagrania koncertu.

Ale przy tym nie ma też zbędnych kabin prysznicowych, głupich ręczników i dziwnego malutkiego base-niku tkwiącego pod nogami. I coś jeszcze: ze ścian tego budynku nie promieniuje przejmujący żar, który sprawił, że jego członek zeszytniał, po raz pierwszy od wielu lat, w połowie partii ze Szpilmanem, a następnego dnia znowu, ku jego wielkiemu przestraszowi, w środku partii z Nikitą. To było tak, jakby ktoś nasycił całe to miejsce seksualną energią, i było to jednocześnie cudowne i w najwyższym stopniu nie do zniesienia – opowiadał w myślach, tylko w myślach, Katii w drodze do domu. Po powrocie nie powiedział jej ani słowa, bo nagle poczuł się bardzo skrępowany, że po całym jej cierpliwym wyczekiwaniu doznał ostatecznie erekcji akurat przy innych mężczyznach. A nie przy niej.

– Co pan na to? – pyta Ben Cuk, a ponieważ Daniel tymczasem wrócił do rodziców i nie ma nikogo, kto mógłby przetłumaczyć, rysuje ręką w powietrzu znak zapytania.

Anton rzuca soczyste rosyjskie przekleństwo (na szczęście Daniel już wyjechał) i stawia słoik z oliwkami na parapecie nowego klubu szachowego. Na znak akceptacji.

Tymczasem pod mykwą Bat El znowu siedzi i czeka. Nie ma sensu, by czekała w środku, bo tak czy owak nikt się nie zjawia. W pierwszym tygodniu z wielką energią naprawiała szkody, jakie po sobie zostawili, i na nowo przystosowywała miejsce do rytualnej kąpieli. Później pożałowała swojej pracowitości. Z pewnością dałoby się przeciągnąć krzątanie na dłuższy czas, a wtedy nie pozostałaby sama ze swoimi myślami.

Co jakiś czas przylatują do niej w odwiedziny ptaki, przysiadają na murku lub na linii wysokiego napięcia, wyczuwając bliskość wody, choć nie udaje im się dokładnie zlokalizować jej źródła. Pewnego wieczoru zjawił się zwinny lis, który spojrzał na nią oczami dorastającego chłopca, i znikł. Co pewien czas mijają ją mieszkańcy, zmierzający do klubu szachowego lub na przystanek, mężczyźni niekiedy kiwają jej głowami, a jeden – ten, który wspiał się na kamień i przemawiał o Leninie i emancypacji – zdejmuje czapkę i uśmiecha się krzywym uśmiechem zdradzającym nieczyste myśli.

Ale nikt nie wchodzi.

Poza Moszikiem, który przyjeżdża tu wykąpać się w każdą niedzielę i środę. Oraz w piątek, przed rozpoczęciem szabatu.

Ona wyczuwa, że się zbliża, kilka minut wcześniej, zanim podjedzie samochód. Wyjmuje z torebki małe lusterko, przygotowuje się na jego przyjazd, dręczona zarazem przez wyrzuty. Kiedy podchodzi, Ajelet odprowadza go pod drzwi mykwy dla mężczyzn i otwiera je przed nim. Oboje wiedzą, że on ma własny klucz, ale żadne z nich nie wspomina tego faktu.

W czasie gdy zanurza się w wodzie, ona wchodzi do części dla kobiet. Ściana oddzielająca oba pomieszczenia jest gruba, cieńsza tylko w jednym punkcie, w którym Moszik zainstalował wyjście awaryjne. Bat El przykłada ucho i nasłuchuje słów modlitwy, a potem dźwięku ciała zanurzającego się w wodzie. Czasami zły popęd bierze nad nią górę i wyobraża sobie jego ciało, usiłuje odgadnąć, jak bardzo różni się od ciała chłopca, które zapamiętała – czy pierś jest w całości owłosiona, czy wciąż widnieje na niej ten sam wąski pasek włosów? Czy mięśnie klatki piersiowej opadają jak u męża i ojca, czy wciąż są płaskie i jędrne jak u młodego chłopaka? A rozczulające krostki na udach? Czy się rozmnożyły? Czy zniknęły z biegiem lat?

Ciało to tylko narzędzie, zewnętrzna powłoka, nie więcej, usiłuje się uspokoić, ale jej łono wrywa się ku niemu, a jej pożądanie wsiąka w kamienne ściany, rozgrzewając je jeszcze silniej niż myśli budowniczego Moszika i nagła erekcja Antona.

Potem słyszy, jak Moszik wynurza się ostatni raz, i pospiesznie wraca na swoje stałe miejsce przy furtce prowadzącej na ulicę. On dołącza do niej czysty i ogolony, roztaczający przyjemny męski zapach, i wcale nie spieszy się z odjazdem, lecz bierze krzesło i siada obok. Nie bardzo blisko niej, ale też nie

daleko. W letnie wieczory wieje chłodniejszy wiatr, który niesie słowa z ust jednego do uważnie słuchających uszu drugiego. I na odwrót.

Ona pyta go o dzieci, a on opowiada o ich osiągnięciach. Starszy to prawdziwy geniusz. Przepowiadają mu świetlaną przyszłość w studiach nad Torą. Młodszy – istny fenomen. Chodził, gdy miał rok, a w wieku dwóch lat rzucał do kosza.

– Dla dorosłych? – pyta zdumiona.

– Nie – uśmiecha się Mosze. – Powiesiłem mu specjalnie w pokoju mały kosz dla dzieciaków.

– Dbasz o rozwój dzieci, zawsze wiedziałam, że będziesz wspaniałym ojcem – zachwyca się ona, a on milczy i wbija wzrok w buty. – Ja też gram w koszykówkę – dorzuca pospiesznie, bo nie chce pozwolić, by zapanowało przedłużające się skrępowanie, i teraz z kolei on się dziwi:

– Gdzie? Z kim?

– Na Brooklynie – wyjaśnia ona. – Mają tam boisko gimnastyczne z oddzielnymi godzinami dla kobiet (oboje naraz przypominają sobie, jak przy pierwszym spotkaniu zabrał ją na mecz koszykówki w kibucu; on wspomina jej obcisłą koszulkę, a ona to, jak przez cały czas starał się podawać do niej).

– Jak radzisz sobie z Amerykankami? – pyta. – Pewnie są dobre?

– Owszem – przytakuje ona. – Ale problem w tym, że to raczej indywidualistki. Próbuję nauczyć je grać trochę bardziej kolektywnie.

– Mogę sobie wyobrazić – śmieje się on.

Kiedy śmiech zamiera, rozgląda się z obawą. Ona także. W Mieście Cadyków nie ośmieliliby się tak siedzieć, wymieniać pytań i odpowiedzi. Złośliwe pomówienia zaczęłyby natychmiast wić się wokół nich jak węże. Ale tu, na dalekiej Syberii, nikt ich nie zna. Nikogo nie obchodzi, że w tej chwili ich dusze niemal dotykają się nawzajem.

– Prawdę mówiąc, wcale nie jestem takim idealnym ojcem – wyznaje Moszik (w tym się nie zmienił, myśli Bat El, także kiedyś umiał wrócić nagle do porzuconego dawno wątku).

– Nikt nie jest doskonały oprócz Niego – pociesza.

Ale on odrzuca jej pocieszenie.

– Sam nie wiem... Jest jakaś obcość... – mówi z zaciśniętymi wargami, z opuszczonym wzrokiem. – Dystans między mną a dziećmi... To znaczy z jednym bardziej niż...

– Dystans? Jaki dystans? – Po raz pierwszy w tej rozmowie ona zwraca na niego oczy.

Wtedy on wstaje zbyt gwałtownie – krzesło chwieje się i prawie wywraca – spogląda na zegarek i mówi:

– Muszę wracać do domu. Już późno. Pewnie też musisz wracać.

Przygotować się do szabat.

– Tak – potwierdza ona – i muszę też trochę posprzątać w środku, po męskiej stronie.

– No to... wszystkiego dobrego – rzuca on i czym prędzej odwraca się, by odejść.

– Wszystkiego dobrego – szepcze ona do jego oddalających się pleców, pewna, że już nie wróci.

Tak będzie lepiej, mówi sobie. Po każdym ich spotkaniu odzyskanie równowagi zajmuje jej długie godziny.

Ale on wciąż wraca. W każdą niedzielę i środę. Oraz w piątek, przed nadejściem szabat. Po kąpieli bierze krzesło i siada obok niej. Zawsze w tej samej odległości. Przez pierwsze sekundy milczą. W listowiu wokół rozlega się co jakiś czas cichy szmer. Ptaki zlatują się tu ze wszystkich wzgórz w okolicy i obsiadają drzewa wokół mykwy (tak, również ptaki śledzą ludzi – bez lornetki, mają wystarczająco wyostrzone zmysły – a gdy między dwojgiem ludzi dzieje się prawdziwy cud, wyczuwają to na odległość i czym prędzej podlatują bliżej, by się lepiej przyjrzeć).

– Dziwne jest to – Ben Cuk kontynuuje poprzednią, zapomnianą rozmowę – że to wszystko było znajome. Od pierwszej chwili nie czułem, jakbym odkrywał nowy świat, lecz jakbym w gruncie rzeczy otrzymał dostęp do czegoś, co zawsze tam było. W moim wnętrzu.

– Może w poprzednim wcieleniu byłeś...?

– Może. A może nawet w tym wcieleniu. Zanim moi rodzice... Zanim odesłano mnie do kibucu... sama wiesz.

Ona wie.

– W każdym razie to było coś bardzo naturalnego. Jakby na moim ramieniu były już odcisnięte rowki na rzemyki filakterii.

– Wiesz – próbuje wybadać Bat El – obserwuję cię, odkąd... odkąd znowu się spotkaliśmy... i próbuję zrozumieć... Do kogo należysz? Do chasydów Breslaw? Chabadników? Szasników?

– Należę do Ben Cuków – uśmiecha się Moszik. – Ja... nie odnalazłem się w żadnym nurcie... Nie do końca... Każdy ma swoje wady i zalety... Wszyscy chcą, żeby wybrać właśnie ich i odrzucić pozostałych.

– Jak to, nie masz nawet własnego rabina? Kogoś, kogo możesz prosić o radę?

– Właściwie nie.

– To nie jest łatwe – zwraca się do niego – nawrócić się samemu. Chcę powiedzieć, że to i bez tego wprowadza wielki zamęt.

– Cóż począć. – Rozpościera ręce. – Nowy przybysz zawsze pozostanie nowy.

Jej dłoń ma ochotę sięgnąć do jego policzka, gdy to mówi. Bat El dosłownie czuje, jak jej palce wyciągają się w jego stronę. Wpycha rękę pod uda i zamiast go pogłas-kać, pyta:

– Ale jesteś w zgodzie ze sobą? To znaczy, z drogą Ben Cuków?

Byłem całkiem nieźle pogodzony ze sobą, zanim się znienacka zjawiłaś, myśli on, a mówi:

– Czy człowiek w ogóle bywa w zgodzie ze sobą?

Jego pytanie wisi w powietrzu między nimi. Ona wie, że jest skierowane do niej, ale obawia się, że gdy zacznie mówić, nie uda się jej zatrzymać. I padną słowa, które nie powinny paść.

On milczy, nie przynagla jej.

Ona myśli: zawsze przyjemnie było z nim pomilczeć.

Oraz: po hebrajsku milczy się inaczej niż po angielsku.

Na koniec mówi:

– Jestem pogodzona z moją wiarą w Najwyższego i z równowagą, jaką judaizm wprowadził do mojego życia, z tym że dzięki niemu uczę się coraz więcej o ludziach, że stawiam sobie więcej ograniczeń...

– Ale? – On podnosi na nią oczy.

– Kto powiedział, że jest jakieś ale?

– Tak to zabrzmiało.

– Nie jestem... nie zawsze... Czasem mam wrażenie, że w gruncie rzeczy zamieniłam jeden kibuc na drugi. Rozumiesz?

On to rozumie.

– I tak szczerze nie przepadam też za tymi ubraniami. – Wskazuje ręką swoją długą sukienkę. – Czasami tak bardzo mam ochotę włożyć szorty. Albo krótką spódniczkę. Zwłaszcza latem.

Ben Cuk kiwa głową i myśli: od jak dawna nie prowadziłem takich rozmów, w których nie wszystko jest „ku dobremu”.

Ajelet z kolei czuje się raptem skrępowana swoją śmiałością, dlatego zmienia pozycję. Teraz jej lewa noga spoczywa na prawej, a but znajduje się bliżej skraju spodni Ben Cuka. Za blisko. Zastanawia się, czy znowu powinna zmienić pozycję. Czy to nie będzie śmieszne?

Ben Cuk nie odsuwa się i dociera do niego, że wyobraża sobie Ajelet w krótkich spodenkach. A później w krótkiej spódniczce. Króciutkiej. W jego piersi budzi się ze snu zimowego niedźwiedź pożądania i rozpościera szeroko groźne łapska.

Chce jęknąć. Chce zapytać, co z twoim mężem. Czy on wie, że tęsknisz za krótkimi spódniczkami? A tak w ogóle, jaki on jest, ten człowiek, który cię zdobył? Udaje mu się rozbawić cię, tak jak mnie? A w łóżku? Czy sprawia, że jęczysz wysokim głosem, odrobinę przypominającym łkanie? Czy ty też znajdujesz

rozkosz głównie we wspomnieniach?

Ale nie otwiera ust. W raju na Syberii nie rozmawiają o swoich współmałżonkach, jakby samo napomknięcie o nich – choćby jednym słowem – mogło spłoszyć wszystkie ptaki.

Nie wspominają też faktu, że do nowej mykwy nikt nie przychodzi. Że być może należy poinformować Danina o tym przed wizytą amerykańskiego dobroczyńcy, który ma przyjechać za niecałe dwa tygodnie. Ale jeśli go zawiadomią, ktoś zajmie się tą sprawą i utracą spokój, czas, gdy można zwyczajnie siedzieć i po prostu przyglądać się światu.

W pewną środę, gdy tak siedzą i gawędzą, płoszy ich nagle zgrzyt opon. To koniec, odkryli nas, przemyka obojgu przez głowę. Skończyły się miodowe dni, teraz poczują ukłucie żądła. Ale z samochodu, który zatrzymuje się obok, wysiadają jedynie budowlaniec-ornitolog Noam-Naim i długonoga jasnowłosa dziewczyna.

– Hmm... Skoro tak... Mam dla ciebie propozycję – wymamrotał główny oficer bezpieczeństwa natychmiast po tym, gdy Naim opowiedział, co zaobserwował owego dnia przez lornetkę.

– To ja mam propozycję dla pana – odparł Naim i rozsiadł się wygodnie. – A właściwie: ultimatum. Wyjdę stąd w ciągu dwóch godzin i oddacie mi moją lornetkę, inaczej ci, co powinni, dowiedzą się, co pan porabia w samochodzie podczas przerw na lunch.

Główny oficer bezpieczeństwa przesunął dłonią po łysej czaszce, jakby wciąż rosły na niej włosy. Potem dłuższą chwilę obracał językiem w ustach, jakby próbował usunąć jakiś okruch tkwiący między zębami.

– Załóżmy, tylko załóżmy, że cię wypuszczę – stwierdził na koniec. – Skąd mam mieć pewność, że nie pobiegiesz opowiedzieć tego, gdy tylko stąd wyjdiesz?

– Bo nam można wierzyć na słowo. W przeciwieństwie do was.

– Okay – powiedział główny oficer bezpieczeństwa po kolejnej chwili milczenia. – Ale lornetka zostaje u mnie, i masz zniknąć z tej okolicy, Naim. Nie chcę cię więcej widzieć w pobliżu naszych jednostek. Z lornetką czy bez. To jasne?

– Niech pan się nie martwi – odpowiedział Naim. – Ostatnie miejsce, w jakim chciałbym być, to wasze jednostki.

Z aresztu pojechał prosto nad Jezioro bez Wody. Rodzina może zaczekać, powiedział sobie. Musi zobaczyć odrobinę czegoś pięknego po całej tej brzydocie. Pracownicy rezerwatu pamiętali go z czasów, gdy tam pracował. Uściskali go, jakby czuli, że tego mu trzeba. Od razu zaoferowali coś do picia, do jedzenia, prysznic i świeże ubranie. Pożyczyli lornetkę. To przecież Żydzi, a śledczy w areszcie także byli Żydami, przebiegło mu przez myśl. Jak można wiedzieć cokolwiek o ludziach?

Łatwiej jest z ptakami.

Z lornetką na szyi wszedł na teren rezerwatu. Latem było tu na ogół niewiele ptaków, ale czasem dało się napotkać libańskiego kosa, który zrobił sobie postój w drodze do domu. Naim wszedł na drewniany pomost, który niedawno zbudowano dla wygody turystów, i położył ręce na balustradzie. Na mokradłach uwijały się wydry. Na niebie – cisza. Tylko kilka pisków jaskółek i kilka szlochów czapli. Nie więcej. Ale chwileczkę, co to? Kątem oka zauważył strusia przechadzającego się na dalszym krańcu podestu. Zamarł. Struś? Nad Jeziorem bez Wody? To absurd. Podniósł lornetkę do oczu i wyregulował ostrość. Wtedy zobaczył, że to kobieta. Z nogami długimi jak u strusia, wypiętą pupą jak u strusia i twarzą o odrobinę ostrych, ale ładnych rysach. Nagle kobieta-struś uniosła swoją lornetkę i skierowała ją na niego. Odsunął szkła od oczu spłoszony. Niepisane prawo ornitologów głosi, że nigdy nie podgląda się ludzi, i jak teraz wyjaśni, że wziął ją za ptaka? Lepiej odwrócić się na pięcie i zmykać. Może pod mostkiem będzie jakaś zwinna wydra. Ale chwileczkę. Kobieta macha rękami-skrzydłami, dając bezgłośnie znaki: chodź! Chodź! I pokazuje palcem na coś wśród gałęzi.

– *Look* – szepnęła po angielsku, gdy się zbliżył.

Na jednej z gałęzi stał sobie tukan czerwonodzioby. Znał go ze zdjęć w książkach. Rzadki gatunek, występujący jedynie w Ameryce Środkowej, a także tam trzeba go specjalnie wytropić.

– *What is he doing here?* – szepnął.

– *I believe it's a lost solo* – odparła.

Naim słyszał już o „zagubionych samotnikach”, *lost solos* – pojedynczych przedstawicielach danego gatunku, ptakach, które nieoczekiwanie można zaobserwować daleko od stałej trasy ich wędrówek, daleko od stada, na kontynencie, na którym w ogóle nie powinno ich być. Jakby coś popsulo się w ich wewnętrznym systemie nawigacji albo może doszło do mutacji genetycznej – różni naukowcy różnie wyjaśniają to wyjątkowe zjawisko, ale żadna teoria nie doczekała się ostatecznej weryfikacji.

Pierwszy taki przypadek udokumentowano w roku tysiąc dziewięćset dwunastym, opowiadała mu później, gdy siedzieli przy kawie w kawiarence rezerwatu, a ona wyciągnęła swoje długie białe nogi obok stolika. Niemiecki ornitolog Wilhelm Stantz sfotografował i zaobrączkował samotnego żurawia afrykańskiego, którego zaobserwowano niespodziewanie w ogrodzie botanicznym w Berlinie i który padł kilka dni po zrobieniu zdjęcia. Później, w czasach pierwszej wojny światowej, argentyńscy ornitolodzy zaobserwowali kilka wyczerpanych europejskich kukułek, które najwyraźniej uciekły przed bitewnym zgiełkiem. One także, nawiasem mówiąc, zginęły, rozszarpane przez pozbawione wyczucia historycznego argentyńskie koty, krótko po tym, jak udokumentowano ich istnienie.

– Naturalnie – odparła w odpowiedzi na formujące się w jego głowie pytanie. – Było niemało takich przypadków, gdy okazało się, że ptaki zostały przywiezione w klatkach i wypuszczone. Ale nawet jeśli wziąć pod uwagę te przypadki, pozostaje około dwudziestu–trzydziestu zaobserwowanych rocznie ptaków, gdy nie można w żaden sposób wyjaśnić ich obecności w danym miejscu i nie da się określić ich inaczej niż *lost solos*.

– Przyjechałaś tu szukać *lost solos*? – zapytał, zapalając pierwszego papierosa od czasu aresztowania.

– *Lost solos* nie można szukać. One same nas odnajdują – powiedziała, wyjmując własnego papierosa, bardzo długiego, jak ona sama.

Nachylił się, osłonił jej dłoń swoją, i przypalił jej papierosa od swojego.

– Twój akcent – powiedziała z namysłem – jest inny od akcentu wszystkich ludzi, z którymi do tej pory rozmawiałam.

– *But of course* – przytaknęła, choć mógł to pominąć milczeniem. – To dlatego, że jestem Arabem.

Zaciągnęła się długo dymem z papierosa.

– Jest w Izraelu wielu Arabów ornitologów?

– O ile wiem, tylko ja – powiedział.

W jej błękitnych oczach zatliła się iskierka naukowej ciekawości.

– Jak chcesz, możesz mnie zaobrączkować – dodał.

Roześmiała się.

Od dawna nie udało mu się rozbawić żadnej kobiety.

– Naim. – Podał jej rękę.

– Diana. – Wyciągnęła do niego białe skrzydło.

– Skąd jesteś? – zapytał.

– Z różnych miejsc. A właściwie znikąd – odparła.

Teraz przyszła jego kolej, by się uśmiechnąć. Palili w milczeniu. Ktoś ustawiał jedno na drugim plastikowe krzesła w kawiarence. Krzesło tkwiło w krzesle, które tkwiło w krzesle.

– Jak długo tu zostaniesz? – zapytał.

– Aż przyjdą wyjątkowo mocne ciepłe prądy i mnie stąd uniosą – odparła.

– Mam propozycję – powiedział (żadnych więcej kłamstw, wołał uparty wewnętrzny głos, żadnego udawania!). – Wszedłem dzisiaj po miesiącu z aresztu i muszę pojechać do rodziny na wieś, przywitać się. Ale jutro z przyjemnością zabiorę cię do wyjątkowego punktu obserwacyjnego, o którym nie przeczytasz w żadnym przewodniku.

– Wycieczka z niedawno zwolnionym więźniem – odparła, gasząc papierosa w popielniczce. – Brzmi obiecująco.

Nazajutrz pojechał po nią do hotelu Szczyty w Mieś-cie na Granicy.

Odkąd Ajelet i Ben Cuk wynajmowali tam pokój, w jego ostatnią noc przed

rozpoczęciem służby wojskowej, budynek doświadczył bezpośredniego uderzenia katuszy i za hojną sumę z państwowego odszkodowania właściciele wyremontowali go od fundamentów po dach.

Teraz prezentował się jeszcze bardziej ponuro.

– Nie zamierzasz mnie porwać, prawda? – Diana nachyliła się do otwartego okna. Jej oczy zakrywały wielkie okulary przeciwsłoneczne, na dekolcie kołysała się lornetka.

– My, Arabowie, mamy zwyczaj porwać dziewczęta tylko przy pełni księżyca, i wyłącznie dziewice – powiedział.

– Okay. – Kiwnęła głową. – Jeśli takie są kryteria, to nie mam się czym przejmować.

Samochód zaczął piąć się stromą drogą pod górę.

– *Mabruk, ja Noam!* – Ben Cuk wstał i wyciągnął rękę na powitanie. – Wypuścili cię!

– Nazywam się Naim – mówi Naim i słabo, z ociąganiem, ściska podaną dłoń. – Przywiozłem gościa. To Diana.

Diana również podaje rękę, ale Ben Cuk trzyma swoją blisko ciała.

– To Bat El. – Mimo wszystko czuje, że powinien odpowiedzieć Naimowi jakimś gestem. – Nasza *balanit*... czyli...

– Wiem, co to znaczy – przerywa Naim i z pogardą spogląda na wysoki mur, zbudowany, by zasłonić widok na jednostkę wojskową.

– Twój znajomy – Ben Cuk zwraca się do Diany – to geniusz. Zaprojektował ten budynek, który widzisz. Ja tylko wykonywałem jego polecenia. Prawda, Noam... przepraszam, Naim?

– Poza tym murem – precyzuje Naim.

– Mur musi zasłaniać widok, taki był wymóg... – Ben Cuk zaczyna opowiadać, ale ze skrępowania po paru słowach zasycha mu w gardle.

– Możemy wejść? – pyta Naim, bo ciekawość zawodowa przeważa w nim nad osobistą urazą.

– Zapraszam – mówi Ben Cuk i wymienia spojrzenie z Bat El. – Zaczekamy na zewnątrz, w razie gdyby ktoś się zjawił.

Naim zwiedza wraz z Dianą wnętrze mykwy, chodzi wśród ścian rozpalonych od niespełnionego požądania poprzednich gości, które w nie wniknęło. Dosłownie na każdym kroku widzi braki w wykonaniu, ale całość w sumie wydaje mu się nie najgorsza.

– To właśnie mykwa. – Wskazuje niewielki basen i wyjaśnia: – Kobiety kąpią się tu kilka dni po mie... hm... w odpowiednim czasie... i w ten sposób oczyszczają się przed... to obyczaj powszechny wśród żydów.

Diana niezbyt dokładnie śledzi jego objaśnienia, ale kiwa głową. Podoba jej się, jak Naim jąka się, mówiąc o kwestiach kobiecego ciała. Sama za kilka dni

oczekuje miesiączki, i dlatego, gdy nagle ogarnia ją silny impuls, by go dotknąć, akurat gdy wchodzi do myk-wy dla mężczyzn, nie wie, czy przypisać to swemu cyklowi, bo zawsze ma wtedy większą ochotę na seks, czy też naelektryzowanemu dziwnie powietrzu w tym miejscu, które przypomina jej saunę, ale także bardzo się od niej różni.

– Wyjście awaryjne... – mruczy do siebie Naim. – Tylko jedno... drzwi są zbyt cienkie... i w nieodpowiednim miejscu... Powinny wychodzić na zewnątrz, nie do drugiego pomieszczenia... Obie pary drzwi powinny wychodzić na zewnątrz...

– Co mówiłeś? – pyta Diana, a on odwraca się i odkrywa, że stoi bardzo blisko niego, na jej twarzy kropli się pot, a lornetka klei się do piersi.

– Nic. – Naim czuje, że brak mu tchu. – Nic ważnego.

– Po co mężczyźni przychodzą do mykwy? – interesuje się Diana. – Przecież nie mają miesiączki... Po czym muszą się oczyszczać?

– Nie wiem – mówi Naim i śmiało patrzy jej w oczy. – Może ze swoich nieczystych myśli.

– *Shame on you* – grozi mu wyciągniętym palcem, jak nauczycielka, a on – co za diabeł go opętał – chwyta jej palec całą dłonią.

Na dźwięk otwieranych drzwi oboje przytomnieją. Naturalne światło miesza się z blaskiem świetlówek. Wchodzi Ben Cuk.

– No i jak? – ponagla, domagając się akceptacji Naima. – Co powiesz? Jak moja robota?

– W zupełnym porządku – przyznaje Naim. – Masz przed sobą przyszłość.

– Nie oszczędzałem na materiałach – chwali się Ben Cuk.

– To widać – potwierdza Naim.

– Nie masz żadnych uwag? Propozycji ulepszenia?

Naim wciąż trzyma palec Diany. Nie cofnął ręki, ona także go nie zabrała. Przeciwnie. Spływający z obojga pot podziałał jak substancja nawilżająca i sprawił, że jej palec ześlizguje się coraz głębiej.

– Wyjdźmy na zewnątrz – proponuje Ben Cuk. – Straszny tu upał.

Dopiero gdy są na zewnątrz, palec Diany wysuwa się powoli z uścisku Naima, a ona odchodzi kawałek dalej, by obserwować szybującego nad doliną sokoła.

– I co, *mabsut chalas*, jesteś zadowolony? – Ben Cuk znowu zarzuca wędkę.

Naim postanawia nie wspominać o wyjściu awaryjnym. Ben Cuk jeszcze mógłby zrzucić winę na niego. Stwierdzić, że to on odpowiada za niedopatrzenia, i zmusić do dokończenia pracy. Może nawet robi to teraz. Upokorzy go przy Dianie. Z nimi nigdy nic nie wiadomo.

– Poza tym murem wszystko jest świetnie – powtarza, a potem odwraca się do kobiety z mykwy. – Wszystko wygląda bardzo świeżo i czysto. Jakby nikt tego

nie używał.

– Bo, prawdę mówiąc, nikt z niej nie korzysta – mówi Bat El.

Naim spogląda na nią ze zdumieniem.

– Tutejsi mieszkańcy – wyjaśnia ona – to imigranci z Rosji. To ich nie interesuje. Nie czują żadnej potrzeby chodzenia do mykwy. A ludzie z miasta... Nie przyjeżdżają tu z powodu jakiegoś człowieka, który miał objawienie... i ich ostrzegł... Tylko Moszik... pan Ben Cuk... przyjeżdża kąpać się w mykwie. Na razie.

– Szkoda – mówi Naim. – Danino wie o tym?

– Oczywiście – kłamią Ben Cuk i Bat El chórem.

– To niezły cwaniak. Już on będzie wiedział, co zrobić – rzuca Naim i podchodzi do Diany stojącej przy murze.

– *The wall* – mówi ona, wskazując we frustracji na zablokowane pole widzenia.

– *Yes, I know* – przytakuje Naim i wyjaśnia: – Oni, *the army*, myśleli, że stąd można obserwować ich jednostkę. Dlatego kazali zbudować ten mur. I dlatego mnie aresztowali, gdy obserwowałem ptaki. Ale nie martw się, zabiorę cię gdzieś, gdzie nie ma murów, okay? Niedaleko.

– Wszystko w porządku, dopóki mnie nie porywasz – odpowiada Diana.

– Bądź w kontakcie – zwraca się do niego Ben Cuk, zanim odejdą. – Muszę ci jeszcze zapłacić za to, co zrobiłeś. Jak znam to miasto i Danina, pewnie będą kolejne projekty... I... słuchaj, bracie... Chętnie naprawię to, co się zepsuło.

– Nie sądzę, żeby coś z tego wyszło – mówi Naim.

– Dlaczego? Przez tamto...? Wiedz, że ani przez chwilę nie wierzyłem... sam wiesz. Nie pozwól, żeby kilku idiotów popsuło...

– Rzucam to – ucina Naim (czasem człowiek dowiaduje się o swoich decyzjach, dopiero gdy oznajmi je drugiemu człowiekowi).

– Pracę?

– Wszystko – mówi Naim (wciąż odrobinę podejrzliwie odnosi się do swoich słów, ale mimo wszystko je wypowiada). – Muszę trochę powędrować.

Diana nie rozumie z tego ani słowa, ale gdy Naim mówi, że musi wyruszyć na wędrowkę, rozpoznaje specyficzne drżenie w jego głosie – słyszała je w głosie dziadka, ojca i starszej siostry, zawsze krótko przed tym, jak wyruszali w podróż – i kładzie mu na ramieniu rękę-skrzydło.

– Nie ma wyjścia – mówi Bat El do Moszika. – W końcu będziesz musiał powiedzieć burmistrzowi, co się tu dzieje.

– Co się tu NIE dzieje – precyzuje Ben Cuk, spoglądając na pustą ulicę.

Naim i Diana pojechali obserwować rzeczywistość gdzie indziej, a innych gości nie widać na horyzoncie. Nawet ptaki na drzewach nie ćwierkają między sobą. Przysłuchują się.

– To dlatego prawie się nie odzywałaś, gdy był tu Naim? – pyta.

– Również dlatego – potwierdza Bat El (oraz dlatego, że Naim swoim zaostrozonym nosem przypominał jej odrobinę męża, i załało ją poczucie winy – ale nie mówi tego, by nie zepsuć chwili). – Nie możemy tak dalej – kontynuuje. – Grzeszymy wobec tego miasta. I wobec człowieka, który ufundował tę mykwę.

A także wobec naszych współmałżonków, Boga i drogi, którą sami wybraliśmy, myśli Moszik, a na głos mówi tylko:

– Masz rację. Pogadam z Daninem.

Obiecuje sobie, że załatwi to natychmiast po powrocie do domu. Ale w domu okazuje się, że starszy syn potrzebuje pomocy w matematyce i że umywalka się zatkała, więc kładzie się na podłodze i przetyka kolanko, a zanim zdąży wejść do wanny i się umyć, dzwoni ktoś w sprawie samochodu, chociaż nawet nie dał ogłoszenia, i Menucha przygląda mu się podejrzliwie, dlaczego nagle chce sprzedać? On – zaniepokojony podejrzliwością w jej oczach, która do niej nie pasuje – mówi:

– Wcale nie chcę, nie mam pojęcia, dlaczego ten ktoś zadzwonił. – Ale własne słowa brzmią w jego uszach fałszywie, chociaż mówi prawdę.

Potem kładzie dzieci do łóżek i zapada w drzemkę na podłodze, przy łóżku młodszego synka, który nie może zasnąć, jeśli tata nie leży obok. W urywanym śnie, trwającym najwyżej kwadrans, zdążyła przyśnić mu się Ajelet, jak je niekoszernego bajgla z dziurką, który odrasta za każdym razem, gdy kończy go jeść. Kiedy się budzi, dom jest całkiem cichy. A on czuje się głodny. Na ogół w takiej sytuacji sięga po pitę i hummus, ale ostatnio... Odkąd Ajelet... Nagle zaczyna mu zależeć na własnym ciele, na wyglądzie, więc robi wielką sałatkę ze świeżych warzyw, do której dodaje chudy twarożek, i dopiero po zjedzeniu tego wszystkiego patrzy na zegarek, a tam prawie północ. Dobrze wie, że o takiej porze Danino jeszcze nie śpi, ogląda samotnie filmy kryminalne, które wypożycza z automatu z kasetami wideo, ale mimo wszystko mówi sobie, nie wypada, za późno. Wchodzi do sypialni, rozbiera się i kładzie obok Menuchy, słucha jej cichego oddechu, całuje ją delikatnie w czoło, żeby jej nie obudzić, to matka moich dzieci, myśli, i obiecuje sobie, że następnego dnia porozmawia z Daninem. Ale nazajutrz Danino przez cały dzień ma spotkania w Świętym Mieście, potem nadchodzi szabat, a Ben Cuk wie z doświadczenia, że nie warto poruszać drażliwych kwestii przed weekendem, i tak mijają trzy dni, odkąd obiecał sobie i Ajelet, że poinformuje burmistrza o sytuacji w mykwie, tymczasem zdążył odwiedzić ją ponownie, a nawet opowiedział Ajelet o dniu, w którym uciekł z jednostki, jak biegł szaleńczo, nie wiedząc dokąd. Łzy napływają jej do oczu, gdy opisuje, jak uniósł wzrok znad suchych gałązek na ziemi i ujrzał błękitny kolor grobu. Jest zdziwiony – z nich dwojga to on zawsze płakał, a ona była silna, racjonalna, zdecydowana – i opowiada dalej swoje dzieje tamtego dnia, jak jeszcze

nie opowiadał nikomu, z najdrobniejszymi, najbardziej osobistymi myślami. Czuje przy tym nagłe ukłucie paniki, znowu uzależnił się od niej, wykluczone, by dobrowolnie zrezygnował z tych czystych, wspólnych chwil, tylko przy niej ogarnia go to uczucie, że wreszcie do czegoś należy, że ona zna is-totę ziarna obcości, tkwiącego w nim głęboko pod wszystkimi zmiennymi wcieleniami, wszystkimi uniformami, które wkłada i zdejmuje...

Ale w niedzielę rano Danino zaczepia go na korytarzu i zawiadamia, że nazajutrz odbędzie się narada robocza w sprawie mykwy na Syberii.

Wie, że nie jest w stanie mu skłamać.

Raz w tygodniu Menucha jedzie do Świętego Miasta, by odwiedzić siostrę Nachlę i siostrzeńca Chananiela.

Przebieg tych wizyt jest niezmienny: z początku razem z siostrą długo siedzą przy kawie, podczas gdy Chananiel krąży wokół, relacjonują wszystkie drobne wydarzenia minionego tygodnia. Kiedy ostatnie okruszki ciasta znikną z talerzyków, Menucha mówi do siostry:

– Idź, zostaw nas razem.

– Na pewno nie masz nic przeciwko temu? – pyta za każdym razem Nachla.

– Absolutnie – odpowiada ona zawsze.

Za każdym razem także bawi się z chłopcem w to samo: układanie klocków Lego.

Chananiel wysypuje klocki na podłogę, a potem sortuje je na grupy. Kolorami. Rozmiarami. Kształtami. Potem dzieli je na grupy według liczby: po cztery klocki, po sześć i tak dalej. Ona mu pomaga, prosta robotnica w kierowanym przez niego przedsięwzięciu. Dopiero po pewnym czasie, gdy wydaje się wystarczająco odprężony, odważa się zaproponować zmianę:

– Może spróbujemy zbudować domek z samych czerwonych klocków? Może zrobimy dwie wieże, a między nimi most?

Czasami chłopiec akceptuje jej pomysły, czasem je odrzuca. A czasem – wystarczy, by lodówka zaczęła głośniejsz szumieć – wstaje i ze złością rzuca klockami o ścianę. W nią. Albo ucieka. Do kąta. Tam stoi z rękami na uszach. I zaczyna się kiwać. Na początku była przerażona tymi atakami. Z czasem się przyzwyczaiła. Jest także piosenka, którą mu śpiewa, która pomaga mu odjąć ręce od uszu i otworzyć się z powrotem. Zawsze ta sama. „Chodziłam wieloma drogami / szukać szczypty prawdy / nie wahałam się skosztować / smaku grzechu”.

Nie ma pojęcia, dlaczego akurat te strofy piosenki Adiego Rana trafiają do chłopca. Naprawdę nieodgadnione są drogi Najwyższego.

Nachla wraca po dwóch godzinach. Ładniejsza. Rozmawiają jeszcze chwilę, a potem ostatnie ziarenka czasu przesypują się, i razem z Chananielem odprowadzają ją na przystanek na końcu ulicy. Chananiel obejmuje ją, gdy słyszy nadjeżdżający autobus. Jego uścisk jest zbyt mocny, ale to nic nie szkodzi. Także

jej siostra obejmuje ją i mówi: co ja bym bez ciebie zrobiła, a czasem ociera łzę, która lśni w kąciuku oka, przez co Menuchę ogarnia takie samo uczucie, jak gdy przed ślubem pracowała w domu sierot: jakby wewnętrzne rozjaśnienie, które przychodzi wtedy, gdy człowiek wie, że zrobił dobry uczynek.

Później, podczas długiej drogi do domu, do Miasta Cadyków, wspomina, w jak ogromnym napięciu byli z Moszem przez pierwsze dwa lata życia obu synów: jak bardzo obawiali się najmniejszej oznaki świadczącej, że także zostali dotknięci chorobą. I gdy okazało się, ku ich uldze, że tak nie jest, jak stali w progu pokoju dzieci i wpatrywali się w śpiących chłopców, dziękując Najwyższemu, że ich nie doświadczył.

Stali razem na progu, jego biodro przy jej biodrze, jego ramię muskające jej ramię, czując ciepło bijące od ciał śpiących dzieci.

Odkąd Moszik podjął się budowy mykwy – Menucha wygląda przez okno, ale widzi tylko swój wewnętrzny krajobraz – oddalił się od niej. W jego duszy zawsze były rejony niedostępne dla niej, ale ostatnio to już nie rejony, lecz cały on, wszystko, kim jest, stało się dla niej niedostępne. Z dziećmi jeszcze jakoś sobie radzi, szczególnie z młodszym, ale z nią – cofa się, gdy do niego podchodzi, a gdy mówi do niego, czuje, jak jej słowa odbijają się od ścian szklanego słoja, który go otacza, i ześlizgują w dół. Nie pozostawiając śladu.

– Idź na dietę, kup sobie nową sukienkę. Mam uczyć moją starszą siostrę, jak rozbić mury wokół mężczyzny? – uśmiechnęła się Nachla, gdy podzieliła się z nią swoimi odczuciami, a ona wstydziła się przyznać, że była już na diecie i kupiła nową sukienkę, a Mosze w ogóle tego nie zauważył.

Jestem w stanie dotrzeć do autystycznego chłopca, rozmyśla, patrząc na zardzewiałe wraki pojazdów opancerzonych u wjazdu do Szaar Hagai, a do własnego męża nie potrafię.

– Dlaczego nic mi nie powiedziałeś?! – pyta rozwścieczony Danino, gdy Ben Cuk opowiada o tym, co nie dzieje się w mykwie.

Uderza pięścią w ścianę za plecami, sprawiając, że portret Ben Guriona odwraca się do góry nogami i przywódca wygląda, jakby stał na głowie.

Ben Cuk milczy, a na plecach czuje dreszcz wstydu.

– Zamknij, proszę, drzwi – poleca Danino.

Ben Cuk wstaje, by wykonać polecenie. Był obecny przy niemałej liczbie takich sytuacji i wie, jakie słowa padną za chwilę: spakuj swoje rzeczy, albo bliźniacze: zgłoś się do księgowości. Danino zaskakuje go łagodnym, niemal ojcowskim tonem.

– Co się z tobą ostatnio dzieje, cadyku? – pyta. – Przyglądam ci się i widzę, że się zmieniłeś. Masz kłopoty w domu? Możesz mi opowiedzieć. Wiesz, że jesteś dla mnie jak syn.

Przez chwilę Ben Cuk niemal daje się skusić i ma ochotę zacząć mówić, by

zrzucić z siebie brzemień winy. I ciężar zagubienia. W ostatniej chwili się hamuje. Jeśli coś powie, może zaszkodzić Ajelet.

– To się wiąże z tą ładną kobietą z mykwy? – Danino znów go zaskakuje.
– Jeśli tak, powiedz tylko słowo i ją zwolnię.

– Nie, nic podobnego. – Ben Cuk zaprzecza pospiesznie, a jego uszy płoną czerwienią kłamstwa.

– W porządku – mówi Danino – masz prawo zachować to dla siebie. Jesteś dużym chłopcem. Ale potrzebuję cię przy sobie. Szczególnie w tym okresie. Rozumiesz?

Ben Cuk przytakuje.

– Nie wydaje mi się, byś rozumiał. – Kręci głową Danino. – Ta mykwa jest znacznie ważniejsza, niż sądzisz. Za trzy miesiące będą wybory. Może o tym też zapomniałeś? Wiesz, kto ogłosił swój start w wyborach wczoraj? Sam Jirmijahu Icchaki. To zero znowu miało objawienie. Nataniel Hanachba – sam Na-ta-niel Ha-Nachba! – odwiedził go we śnie i poprosił, żeby startował w wyborach do władz miasta, aby nie powtórzyły się podobne sytuacje jak wybudowanie Źródła Dumy na jego świętym grobie. Tak po prostu. „Miasto Cadyków potrzebuje prawdziwego cadyka”, to jego hasło. Uwierzyłyś? Niestety, to miasto ma to do siebie, że ludzie kupują takie brednie. Nikt nie myśli, jak rozwiązać problemy. Zamiast tego czekają na święte nigdy. Dlatego potrzebuję wokół siebie porządnych ludzi, takich jak ty. Dlatego też potrzebne mi są pieniądze. Pojmujesz w końcu, o co chodzi, Moszik? Nie? To chodź, pojedziemy razem windą. Jeśli ten milioner, Mendelstrum, będzie zadowolony z mykwy, którą mu zbudowaliśmy, jest spora szansa, że zechce przeznaczyć fundusze na moją kampanię wyborczą. A z czego ma być zadowolony, jeśli tam nikt nie przychodzi? Wiesz, co napisał w ostatnim liście? To „raduje jego serce”, że wybudowaliśmy myk-wę dla nowych imigrantów. A co raduje serce, to otwiera kieszenie, no nie?

– Owszem – przytakuje Ben Cuk.

– Będę z tobą całkiem szczery. – Danino spogląda z westchnieniem na portrety przywódców na ścianie. – Być może popełniłem błąd. Może nie trzeba było pisać Mendelstrumowi, że to osiedle imigrantów. Powiem więcej, może nie trzeba było w ogóle słuchać tego mędr-ka z ministerstwa i budować mykwy na Syberii. Ale ja nie uznaję płaczu nad rozlanym mlekiem, Ben Cuk. Wierzę, że trzeba naprawiać błędy. Bogacz będzie tu za tydzień! Za tydzień! Jeśli ludzie z miasta nie używają mykwy na Syberii, to znak, że sen Icchakiego utkwiał im w głowie i nie zjawią się tam, aż nadejdzie Mesjasz. Trzeba znaleźć sposób, by sprowadzić tam tych pobożnisiów po dobroci. To nasza jedyna szansa. Chodź, pojedziemy tam od razu.

– Kto nie ryzykuje, ten nie pije szampana – przypominał mu Anton za każdym razem od świąt Pesach. Danielowi podobało się obiecujące brzmienie tego

zdania, ale myśl, że Szoni czeka tylko na niego, że ze względu na niego odmawia wszystkim chłopcom, była tak przyjemna, iż wolał nie konfrontować jej z rzeczywistością i zwlekał aż do zabawy na zakończenie roku szkolnego. Właśnie jadąc tam rowerem, zrozumiał, że to koniec, być może to jego ostatnia szansa. Procedura kupna mieszkania w innej części miasta była już dość zaawansowana i jeśli nie zrobi czegoś teraz, spędzi całe wakacje z poczuciem, że coś mu się wymknęło. A może nawet całe życie.

Kiedy tylko Szoni wejdzie do auli, podejdzie i śmiało zapyta, czy chce być jego dziewczyną. Niech będzie, co ma być.

Ale o dziwo, Szoni w ogóle nie pojawiła się na zabawie i nagle okazało się, że Daniel tańczy taniec pocieszenia z Siwan, której chłopak, Eran Turki, także z jakiegoś powodu się nie zjawił.

Powinien był zrozumieć już wtedy. Przecież zawsze radził sobie doskonale z czytaniem między wier-szami.

Ale dopiero dzisiaj, gdy zobaczył ich dwoje – Erana i Szoni – jak trzymając się za ręce, wracają z miejskiego basenu, opadła mu zasłona z oczu: ona przez cały ten czas czekała na Erana. Czekala, aż przestanie marnować czas z Siwan. I przyjdzie do niej. To przecież jasne. Doskonale do siebie pasują. Oboje są ładni. Oboje są „sabrami”. Co on sobie w ogóle wyobrażał? Jakie głupstwa wmawiał mu Anton?

Wściekły Daniel postanawia natychmiast pojechać do Miasta Cadyków. Nie będzie czekać do piątku. Nie może czekać do piątku. Musi zaraz porozmawiać z Antonem. Rozgniewać się na niego. Wyznać wszystko. Ale jak pojedzie? Potrzebne są pieniądze na autobus. W tym celu musi iść do rodziców. A wtedy będzie musiał opowiedzieć im, co się stało. A oni zaczną działać mu na nerwy. Mama będzie się nad nim przesadnie litować. Ojciec – niewystarczająco. A jedno z nich na pewno go dobije, mówiąc: i tak w przyszłym roku pójdiesz pewnie do innej szkoły, Daniku, i zapomnisz w ogóle o tej dziewczynce. Nie. Nie chce ich słuchać. Pojedzie do Miasta Cadyków autostopem. Tak, autostopem. Co z tego, że to niebezpieczne? Co najgorszego może mu się stać? Że porwie go szajka terrorystów? Tak byłoby najlepiej. Będzie mógł uciec w jakiś wyjątkowo odważny sposób, a wtedy Szoni pożałuje, że nie zwracała na niego uwagi, zanim został bohaterem narodowym.

Kopie machinalnie kamienie na drodze, planując w myślach, jak powie porywaczom, że jego dziadek w ogóle nie jest Żydem. Co prawda ukrywa to przed dziećmi w klasie, ale z pewnością zdezorientuje tym porywaczy na jedną dziesiątą sekundy, a tyle wystarczy, by otworzyć drzwi i wyskoczyć z samochodu w przydrożne krzaki.

Jeszcze zanim dotarł do wiaduktu przy drodze wyjazdowej z miasta, zdążył wyobrazić sobie, jak udziela wywiadów zagranicznym mediom. I fotografów,

którzy walczą o prawo do uwiecznienia go, z głową owiniętą białym bandażem, upstrzonym cudownie symetrycznymi plamami krwi.

Miejsce, gdzie zazwyczaj czekają autostopowicze, jest dziś zupełnie puste i Daniel staje jedną nogą na szosie i wystawia kciuk, bo widział, że tak robią żołnierze. Pierwszy kierowca, który się zatrzymuje, zwraca się do niego z naganą:

– Kto to widział, żeby taki smarkacz zatrzymywał samochody?!

Ale łagodnieje, gdy Daniel wyjaśnia, że musi pilnie jechać do Miasta Cadyków do babci, która jest w szpitalu. I dopiero gdy zajmuje miejsce w środku, zauważa, że kierowca ma za paskiem spodni pistolet, i chcąc uciszyć nagły impuls, który każe mu wprowadzić w życie plan i wyskoczyć z pojazdu, nawiązuje rozmowę. Okazuje się, że uzbrojony kierowca także jedzie w odwiedzinach do bliskiej osoby, a dokładnie do siostry, która leży w szpitalu po „takiej drogiej operacji, że nie uwierzysz”.

– To jak – Daniel dalej zagaduje kierowcę, by się uspokoić – udało wam się zebrać pieniądze na tę operację?

– Daj spokój, lepiej, żebyś nie wiedział – mówi kierowca.

– Bo jak się dowiem, będzie pan mnie musiał zabić? – żartuje Daniel i wskazuje głową na pistolet.

– Co, tą zabawką? – śmieje się kierowca. – To pistolet na wodę. Kupiłem dla syna. Trzymam go za paskiem, żeby nie zostawić go w samochodzie. Biedaku, pewnie przez całą drogę trząśłeś się ze strachu.

– Trochę – przyznaje Daniel i znowu patrzy na pistolet, który w ogóle nie wygląda jak zabawka.

– Jesteś w porządku – uśmiecha się kierowca szeroko i dodaje: – Nie tak jak reszta... tamtych.

Daniel doskonale wie, jakich „tamtych” ma na myśli mężczyzna. Odzywa się w nim urażona duma. I milknie w proteście.

– Wiesz co, opowiem ci, jak zdobyliśmy tę forszę – mówi kierowca po kilku minutach, by rozładować napięcie w samochodzie. – I tak nie znasz nazwisk, co za różnica. A ta tajemnica zaczyna mi już ciążyć.

– Nie trzeba, może lepiej... – Daniel próbuje go powstrzymać, ale jest już za późno. Kierowca zdążył włączyć tryb powiedzi.

– Nasz trzeci brat jest sędzią piłkarskim. W lidze krajowej. Kilka tygodni temu sędziował mecz, którego wynik nie był ważny dla nikogo. Poza tymi, co obstawiają wyniki. Nawiązaliśmy więc kontakt z ludźmi... z tej branży. I zawarliśmy umowę. Dwa rzuty karne i czerwona kartka za pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Łapiesz?

Daniel uważa, by nie skinać głową.

– Wyglądasz mi na mądrego dzieciaka – mówi kierowca i patrzy na niego w lusterku. – Co jest ważniejsze, wynik meczu czy życie siostry?

Kolejna osoba, która go podwozi, również robi mu wymówki.

– Zatrzymuję się tylko dlatego, żebyś nie wpadł w łapy jakiegoś szaleńca – wyjaśnia kobieta i patrzy na niego w lusterku wzrokiem, w którym tli się szaleństwo. Nie ma broni za paskiem, ale prowadzi jak ktoś, komu nie robi większej różnicy zabicie człowieka. Albo własna śmierć. Zmienia pasy, nie włączając kierunkowskazów, przyspiesza na zakrętach i przez cały czas przeklina mężczyzn na drodze, „kto im dał prawo jazdy?”. Daniel trzyma się uchwyty do wieszania koszul i z trudem powstrzymuje, by nie zwrócić jej uwagi, ale kiedy w ciągu minuty kobieta przejeżdża dwukrotnie na czerwonym świetle, rzuca:

– Proszę pani... nie boi się pani policji?

– Co mi mogą zrobić? – śmieje się ona. – Zabiorą mi prawo jazdy, którego nie mam?

– Jedźcie pani bez prawa jazdy? – pyta Daniel zdjęty paniką, a ona odpowiada spokojnie:

– Odebrano mi dwa miesiące temu.

– Ale jak panią zatrzymają... pójdzie pani do więzienia!

– Owszem, ale moja matka jest wdową, nie ma na świecie nikogo poza mną i mieszka w dziurze na końcu świata, nie da się tam w żaden sposób dojechać publicznym transportem. Wolę jechać do niej bez prawa jazdy, niż zostawić ją samą. Zgodzisz się, że to ważniejsze?

Trzeci kierowca, który zawozi go do samego Miasta Cadyków, dzięki Bogu milczy. Słucha programu w radiu Tradycja, gdzie rabin odpowiada na pytania religijnych słuchaczy. Czy kobiecie karmiącej piersią i będącej dwa dni po urodzeniu dziecka wolno mimo wszystko pościć w dzień Tu be-Aw? Czy dziecku biorącemu udział w letnim obozie dla dzieci o specjalnych potrzebach wolno iść na basen w wieczór Tisza be-Aw? A jeśli kolonie są koedukacyjne? Czy za granicą można nie nosić jarmułki ze względów bezpieczeństwa?

Daniel przestaje słuchać. Wygląda przez okno na krajobraz, z zielonego zmieniający się w intensywnie zielony, i powoli zapada w niepewny, rozedrgany sen, podczas którego zdąża nawiedzić go jedna krótka wizja, jak sędzia piłkarski pokazuje czerwoną kartkę Eranowi Turkiemu.

Kiedy się budzi, słyszy głos kobiety. Dopiero po kilku minutach orientuje się, że głos dobiega z radia. Chciałabym pozostać anonimowa, prosi słuchaczka.

Rabin w odpowiedzi rzuca dowcip, niezrozumiały dla Daniela, w przeciwieństwie do kierowcy, sądząc po jego uśmiechu.

– Mam problem ze snami – wyjaśnia kobieta. – Od kilku tygodni śnię mi się... nieodpowiednie sny. Widzę w nich młodszego brata mojego męża. Co noc modłę się, by Najwyższy wybawił mnie od tych snów, ale wciąż mnie nawiedzają. Nie wiem, to znaczy, i chciałam zapytać, co mówi prawo na ten temat: czy to jest to samo co grzeszne myśli? To znaczy, czy grzeszę przeciwko Bogu? Proszę

uwierzyć, że wcale tego nie pragnę.

– Porusza pani bardzo interesującą kwestię... – zaczyna rabin, ale wtedy kierowca ścisza radio i zjeżdża na pobocze.

– Chciałeś dojechać na Syberię, tak? – pyta.

– Syberię? – nie rozumie Daniel.

– No, na osiedle Ruskich. Mówiłeś, że tam jedziesz?

– A... tak... – bąka Daniel.

– Ja jadę dalej do centrum. Lepiej wysiądź tu i idź dalej na piechotę. To kilka minut. Znasz to osiedle?

– Jasne.

I tak pięć godzin po wyruszeniu z domu Daniel stoi w palących promieniach sierpniowego słońca na skrzyżowaniu przy wjeździe do miasta. Rusza pod górę. Jest głodny i spragniony, a podejście okazuje się znacznie bardziej strome, niż zapamiętał.

W połowie drogi na jezdni zaczynają pojawiać się kałuże, które wyparowują, gdy tylko się do nich zbliża. Przypomina sobie, że czytał o podobnym zjawisku w Wielkiej Encyklopedii Radzieckiej, ale tam było napisane, że tak dzieje się głównie na pustyni, a tu przecież nie ma pustyni. A może jest? Może w ogóle kierowca go oszukał i wcale nie znajduje się w Mieście Cadyków? Dokładnie w chwili, w której zaczyna czuć, że zawrót głowy pociąga go coraz bliżej płyt chodnika, obok zatrzymuje się z piskiem opon jakiś samochód.

Siedzą w nim burmistrz ze swoim asystentem.

– Co chłopiec w twoim wieku robi... – zaczyna asystent, ale burmistrz mu przerywa:

– Nie poznajesz? To ten dzieciak, który dla nas tłumaczył! Spadasz nam z nieba, kochany. Wsiadaj, zawieziemy cię do babci.

Dopiero zamieniwszy buty na kapcie, gdy babcia przynosi jego ulubiony letni przysmak, kompot brzoskwiniowy z lodem, a Anton przyrzeka, że zaraz po spotkaniu wyjdą tylko we dwóch pogadać po męsku na ścieżkę wysadzaną topolami – dopiero wtedy Daniel niechętnie zgadza się znów posłużyć za tłumacza. Mąci mu się w głowie od nadmiaru słońca, paplaniny kierowców i jazgotu zmieniających się stacji radiowych, ale dwaj mężczyźni, którzy go tu przywieźli – burmistrz i jego asystent – siedzą na kanapie i czekają, i wie, że bez niego spotkanie się nie odbędzie.

– Zapytaj – prosi burmistrz – czy są zadowoleni z nowego klubu szachowego.

– Wszystko w porządku – odpowiada Anton. – Oprócz klimatyzacji. Jest za słaba na wasze lato.

– Załatwione – obiecuje burmistrz i poleca Ben Cukowi: – Zanotuj. Coś jeszcze was niepokoi? – pyta burmistrz, składając dłonie w geście prośby. – Jest

coś, w czym mógł-bym wam pomóc?

– Tak... Nie... To nie jest jedna rzecz – płacze się Anton. Nagle stają mu przed oczami wszystkie propozycje ulepszenia ich życia, które opisywał szeroko w listach do ratusza, i nie wie, którą wybrać.

– Ławki. – Katia włącza się do rozmowy. – Na osiedlu brakuje ławek. Jest tu wiele starszych osób, które muszą odpocząć, więc siadają na przystanku, a kiedy autobus przejeżdża, zatrzymuje się, bo myśli, że chcą wsiąść, ale wcale tak nie jest. I to nieładnie.

– Na osiedlu brakuje ławek – mówi Daniel. Jego skupienie powoli rozplywa się we mgle i nie ma siły tłumaczyć całego zdania.

– Załatwimy to natychmiast – oświadcza burmistrz i wydaje Ben Cukowi polecenie: – Zanotuj. Cztery ławki, zainstalować w niedzielę.

– Mam jeszcze wiele propozycji – mówi Anton. – Jeśli szanownego pana to interesuje... Pisałem lis-ty... Widocznie nie doszły... Ale pamiętam większość...

– Jestem gotów pójść wam na rękę we wszystkim, czego wam trzeba – mówi burmistrz. – Ale chcę, byście w zamian zrobili coś dla mnie.

– Aha! – wrywa się Katii.

Od początku przeczuwała, że ten człowiek, który nie wyjmuje ręki ze spodni, chce od nich czegoś i cały czas czekała na chwilę, w której jego intencje wyjdą na jaw. Teraz przyciąga z tarasu plastikowe krzeselko i siada przy nich.

– Chodzi o mykwę – wyjaśnia burmistrz. – Ten budynek, do którego weszliście przez pomyłkę. Bardzo bym się cieszył, gdybyście zgodzili się znów tam pójść, tym razem po to, by używać go zgodnie z przeznaczeniem.

– To znaczy? – pyta Anton.

– Jak to, to znaczy? – dziwi się Danino i wbija wzrok w tłumacza.

Tłumacz zwilża gardło resztką kompotu i wyjaśnia burmistrzowi, że Anton chce się dowiedzieć, do czego służy ten budynek.

Słowo „mykwa” nie jest Katii całkiem obce. Gdzieś na samym dnie jej pamięci pogrzebane jest wspomnienie dawnej rozmowy matki z babką, sprzed pięćdziesięciu lat, która dotyczyła owej „mykwy”. O czym dokładnie mówiły? Nie udaje jej się tego przypomnieć.

– Mykwa – rozpoczyna Ben Cuk – jest przeznaczona do rytualnego obmywania ciała. Jej centralnym punktem jest nieduży basen o powierzchni minimum czterdzieści sea, w którym trzeba zanurzyć się w całości. Najwyżej dwa, trzy razy za każdą bytnością. Jest część przeznaczona dla kobiet, gdzie kobiety obmywają się na zakończenie okresu nieczystości, by przygotować się do poczęcia, i część dla mężczyzn, gdzie mężczyźni dokonują ablucji i przygotowują się do modłów.

Poczekaj, błaga Daniel w duchu, w życiu nie uda mi się tego zapamiętać. Ale Ben Cuk mówi dalej. Rozprawia z żarem o samym budynku, przy którym trudził

się długie tygodnie, o szczególnym przeznaczeniu każdego elementu, i nie zwraca uwagi na cierpienia młodego tłumacza.

– Po kąpielach czekają na was kabiny prysznicowe i czyste ręczniki... Znajdziecie tam też formuły błogosławieństw dla tych, którzy chcieliby odmówić je na głos przed zanurzeniem się... Woda, nawiasem mówiąc, przechodzi specjalny proces oczyszczania. Tak że kąpiel w mykwie jest zalecana również ze względów zdrowotnych.

Anton i Katia przenoszą wzrok na Daniela, oczekując tłumaczenia.

Danielowi wiruje w głowie. Hebrajski, który słyszy, i rosyjski, który powinien wydobyć się z jego ust, zlewają się w jego umyśle w jeden poplątany twór, hebraruskim. To nie jest dobrze, doskonale o tym wie, bo nikt na świecie nie rozumie hebraruskiego, musi oddzielić te dwa języki teraz, natychmiast, złapać każdy z nich za ucho i pociągnąć z całej siły, aż oderwą się od siebie.

– Są tam... dwa... baseny – zaczyna powoli, a gdy Anton kiwa głową aprobująco, czuje się pewniejszy siebie. – I trzeba się w nich zanurzyć. Całym ciałem. Kobiety osobno i mężczyźni osobno. Każdy ma... swoją własną część. A potem można się wytrzeć, a kto chce, może się pomodlić, i to jest także... bardzo zdrowe.

– W porządku – mówi Anton przeciągle, a przez głowę przebiega mu wspomnienie erekcji, której doświadczył w tym budynku, i masa obaw oraz oczekiwań rozbiega się nagle w jego umyśle we wszystkich kierunkach, jak diagram możliwych posunięć w partii szachów.

– Słuchajcie. – Danino pospiesznie zaczyna kuć żelazo. – Z różnych powodów to dla mnie osobiście bardzo ważne, byście chodzili tam w najbliższym tygodniu. I nie tylko wy. Przekonajcie wszystkich mieszkańców, żeby chodzili tam w tym tygodniu. A potem możecie robić, co chcecie.

Daniel tłumaczy, a Katia mówi:

– Nie wydaje mi się, żeby żądali od nas zbyt wiele. Mamy chodzić do czegoś w rodzaju bani, takiej jakby łaźni, przez tydzień.

– Posłuchajcie – Danino postanawia wzmocnić swoje argumenty – jeśli pójdziecie mi na rękę w tej kwestii, będę mógł pójść wam na rękę w kilku sprawach. Choćby wasze miejsca parkingowe. Wszystkie stoją puste. Może warto zrobić w nich składziki? Albo dobudować pokój gościnny? Mogę załatwić wam pozwolenie. Rozumiecie?

– Jest tylko jeden kłopot – przypomina sobie Anton. – Tam, przy wejściu do bani, cały czas stoi jakaś kobieta... i nie pozwala nam wejść.

– To *balanit* – wyjaśnia Ben Cuk.

– Co takiego? – protestuje Daniel, który nie zna tego słowa.

– Ona nazywa się Ajelet... to znaczy Bat El... wejdzie z wami do środka i pomoże we wszystkim, co wiąże się z kąpielą... nauczy was... poinstruuje...

– Jeśli ona będzie w środku, my tam nie wejdziemy! – wybucha Katia. – Po co komu pomocnik w łaźni? (Myśli: wykluczone, żeby ta młoda kobieta o jędrnej, ślicznej skórze oglądała jej pomarszczone ciało).

– W porządku – ucina Danino.

Czuje, że ważne porozumienie, które udało im się osiągnąć, może wymknąć mu się spomiędzy palców, i rzuca szybkie spojrzenie Ben Cukowi.

– Ta kobieta poinstruuje was na zewnątrz, co należy zrobić przed zanurzeniem się w wodzie, zostawi wam klucze i wróci, jak skończycie, okay?

– Wyjeżdżasz? Dokąd znowu wyjeżdżasz? – grzmi ojciec Naima.

Naim milczy i mocniej ujmuje rękę Diany.

– Jak mówiłeś, że nazywa się to miejsce? – pyta ojciec. – Kosta-lika?

– Kostaryka.

– Tam mieszka rodzina tej kobiety?

– Nie.

– To ja nic nie rozumiem. Co tam, w tej Kostaryce, tak cię interesuje?

– Ptaki. Żyje tam wiele pięknych ptaków, których jeszcze nie widziałem.

– Ptaki? – Oczy ojca błyskają złością, wstaje i zaczyna chodzić po pokoju, kreśląc pętle, które przypominają znak nieskończoności. – Wciąż uganiaasz się za ptakami? Nie dość ci aresztowania?

Naim milczy. I gniecie w rękę róg kolorowej poduszki.

– A dokąd potem, *ja ibni*? – Matka Naima nachyla się ku niemu. – Po ptakach, dokąd pojedziecie?

– Nie wiem – przyznaje Naim. – Tam, gdzie nas wiatr poniesie.

– To niedobrze, takie gadanie o wietrze, *ja ibni*. To żydowskie gadanie. Żydzi są przyzwyczajeni do tułaczki. Zawsze wędrowali. My, Arabowie, zostajemy na naszej ziemi.

– Ale kim jesteście „my”, mamó?

– Kim my jesteście? – Ojciec gotuje się ze złości. – My to twoja rodzina. Twoja wieś. Znasz chociaż jednego arabskiego mężczyznę w twoim wieku, który by pojechał do tego całego Kosta? Dlaczego zawsze musisz być inny od reszty?

– Bo nie umiem inaczej – mówi Naim, a Diana przysuwa się do niego na kanapie, odgadując wszystkimi zmysłami, że nadeszła chwila prawdy. – Nigdy nie interesowały mnie rzeczy, które interesowały wszystkich. Nigdy nie należałem tak naprawdę do... do wszystkiego, o czym przed chwilą mówiliście. To nie... moja wina, że tu się urodziłem. Większość ludzi czuje się dobrze w swojej ojczyźnie. Na swojej ziemi. To prawda. Ale są też tacy, którzy od chwili urodzenia czują coś przeciwnego. Czują, że nie są... na swoim miejscu.

– Powiedz, to ta kobieta nakładła ci do głowy te pomysły? – Matka Naima patrzy roziskrzonym wzrokiem na Dianę.

– Nie, nie ona – zaprzecza Naim. – W areszcie miałem wreszcie czas, żeby

pomyśleć.

– Niedobrze jest za dużo myśleć... – mruczy pod nosem ojciec Naima jak w modlitwie. – Niedobrze różnić się od innych... Niedobrze porzucać swoją ziemię... Niedobrze mieć kobietę, która nie zna twojego języka... Wszystko niedobrze, *ja ibni*.

– Człowiek bez rodziny jest jak roślina bez słońca – mówi matka i załamuje ręce żalobnym gestem.

– Co powiedzą ludzie? – dodaje ojciec, a jego twarz pokrywa się naraz setkami zmarszczek. – Pomyślałeś o tym w ogóle? Jak pokażemy się we wsi? Nie dość, że od lat przynosisz nam wstyd z tymi ptakami, teraz znowu chcesz nas ośmieszyć?

– Nie obchodzi mnie, co powiedzą we wsi. Z całym szacunkiem.

– To jest problem z waszym pokoleniem. – Ojciec znowu podnosi głos i podchodzi bliżej, jakby miał go uderzyć, a Diana ujmując mocniej jego dłoń na poduszce, może żeby dodać mu siły, a może by sama jej zaczerpnąć. – Nic was nie obchodzi, nic poza wami samymi!

Naim nie odpowiada. Cały drży od wysiłku powstrzymywania się przed odpowiedzią.

– Czemu akurat teraz chcesz wyjechać? – Matka atakuje z innej strony. – Pali się coś? W telewizji mówili, że może niedługo będzie układ pokojowy. Z Żydami. A wtedy, *inszallah*, będzie tu lepiej.

– Nie będzie – zaprzecza Naim. – Zabiją każdego, kto spróbuje zaprowadzić tu pokój. Ten kraj jest przeklęty, nie rozumiecie? Niedługo nawet ptaki przestaną tędy przelatywać...

– Przemyśl jeszcze raz swoją decyzję, *ja ibni* – mówi ojciec. Z groźbą w głosie.

Potem zapada długie milczenie, wypełnione słowami, które niemal zostają powiedziane, ale zatrzymują się na czubku języka. (Naim nie mówi: to jest właśnie problem waszego pokolenia. Trzymacie się kurczowo ziemi. Drzew oliwnych. I czekacie. Jak można spędzić całe życie na czekaniu? Ojciec Naima nie mówi: to moja wina. Powinienem był ukręcić na jego oczach łeb tamtemu ptakowi. Tak to jest, gdy ojciec jest za miękki dla synów. Matka Naima nie mówi: gdy byłam mała, poszliśmy na pielgrzymkę do Mekki i przez całą drogę bolały mnie kolana. Diana nie mówi: oni mnie tu nienawidzą, wszyscy, ale to nie znaczy, że ja też muszę ich nienawidzić).

Na koniec milczenia Naim komunikuje:

– Wyjeżdżam w niedzielę. Już mam bilety. Możecie odprowadzić nas na lotnisko, ale nie musicie.

Anton i Katia idą razem do mykwy. Pod rękę. Dali słowo burmistrzowi i zamierzają go dotrzymać. Przed furtką spotykają Bat El, która podaje im dwa

klucze: jeden do wejścia dla mężczyzn, drugi dla kobiet. Posłuszna otrzymanym zaleceniom nie wchodzi do środka, by nie krępować Katii, wskazuje tylko kolczyki i pierścionki i wyjaśnia na migi, że musi zdjąć biżuterię przed zanurzeniem się w wodzie.

Anton czuje mrowienie pożądania w momencie, w którym przekracza próg. Jego cząsteczki emanują ze ścian, wnikają przez skórę do krwiobiegu. Zanurza się dwukrotnie w niedużym basenie i wyciera. Wtedy to się dzieje: krew napływa do naczyń krwionośnych. Dużo krwi. Erekcja. Prawdziwa. Pełna. Dumna. Wieńcząca. I tym razem – nie w obecności innego mężczyzny.

– Katiu! – woła Anton na głos, a potem jeszcze raz, głośniejszym głosem: – Kotik!!!

Ona podchodzi do przedzielających ich drzwi i pyta z troską:

– Anton? Co się stało? Wszystko w porządku?

– Lepiej niż w porządku – odpowiada Anton, a w jego głosie słychać prężącą się dumę. – Chodź do mnie – prosi. – Chcę ci pokazać jeden drobiazg.

– Drobiazg? Jak to?

– Właściwie do tej pory był mały. A teraz wciąż rośnie.

– Rośnie?

– W chwili, gdy rozmawiamy. Mam wrażenie, że twój głos, Kotiku, ma na niego bezpośredni wpływ.

– Co ty mówisz, Anton!

– To, co słyszysz. Przyjdiesz do mnie?

– Ale jak? – zastanawia się Katia.

Przecież rozdzielają ich drzwi.

– Z zewnątrz ta kobieta nie da mi przejść. Wiesz co? – proponuje. – Ubierz się szybko i spotkajmy się na zewnątrz pod murem.

Anton spełnia jej polecenie, ale gdy tylko wychodzi z mykwy, wpływ jej ścian słabnie i jego członek kurczy się. Słaby. Miękki. Zawstydzony. Anton zatrzymuje rękę Katii, wyciągniętą, by rozpiąć guziki spodni.

– Nie rozumiem... – mruczy. – Jakby coś było w tym pomieszczeniu... Jakieś czary... A gdy wychodzę... Czary tracą moc... To naprawdę dziwne.

– Nie uwierzę, dopóki nie upewnię się własnoręcznie – droczy się z nim Katia.

– Jutro przyniosę skrzynkę z narzędziami – oświadcza Anton. – To dla mnie żaden problem otworzyć drzwi, które dzielą oba pomieszczenia. Zawołam cię, jak tylko się zaczniesz.

Nazajutrz nie przynosi całej skrzynki, by nie budzić zbędnych pytań, lecz ukrywa niezbędne narzędzia wśród ubrań w torbie, a niczego niepodejrzewająca Bat El znowu wręcza im klucze.

Natychmiast po wejściu do środka Anton zabiera się do pracy. Wkłada drut. Wsuwa plastikową kartę. Obluzowuje odrobinę śruby.

– Otwarte! – zawiadamia Katię, a ona odpowiada:

– Doskonale. – I na razie zostaje po swojej stronie. Dokładnie tak, jak się umówili.

Anton zanurza się dwa razy, wychodzi z wody, wyciera się i czeka. Z początku nic się nie dzieje, ale potem, powoli, krew zaczyna napływać z łędźwi, zbierając się we właściwym miejscu, niczym widzowie gromadzący się wokół ulicznego kuglarza.

– Możesz wejść! – woła Anton i Katia wchodzi do środka, naga, jej zmarszczki są równie piękne jak krąg-łości, zbliża się do niego, oplata go całą sobą i gładzi jego policzki, które w ciągu jednej doby pokryły się siwą szczecina zarostu.

– Teraz mi wierzysz? – pyta Anton, a ona kiwa głową.

Potem, z wielką delikatnością, przeciągłym, nieskończonym, pełnym rozkoszy ruchem – kochają się.

Wychodzą z mykwy oddzielnie, Anton z części dla mężczyzn, Katia z części dla kobiet, oddają klucze Bat El, każde osobno, i ujmują się ponownie pod rękę, dopiero gdy znajdą się na ulicy.

Później, wieczorem, ona podlewa niewielkie roślinki w doniczkach na parapecie, nawozi je kawałeczkami suchego chleba namoczonego w wodzie, sprawdza, czy zsiadłe mleko w woreczku zawieszonym na klamce szafki zamieniło się w twaróg, a potem wychodzi na taras. On przyciąga krzesło i dołącza do niej, a po drodze gasi jedyną żarówkę, która oświetla taras, żeby zostały tylko gwiazdy.

Ona odchyła się na oparcie krzesła.

Zazwyczaj on także odchyła się na oparcie. Zazwyczaj o tej porze wysłuchują koncertu d-moll. W wykonaniu orkiestry szakali.

Ale nie tej nocy.

„Czerwony orzeł! Czerwony orzeł!”, ryczą głośniki w tajnej jednostce, a Anton pochyla się naprzód, zamiast odchylić się na oparcie, gdy zaś syrena milknie, mówi:

– Ktoś doniósł na mojego ojca. Z początku nie wiedzieliśmy, kto to był. Ktoś doniósł, że ma prywatne plony, które zbiera tylko dla siebie. Żołnierze... przyjechali w środku nocy. Przynieśli ze sobą zapach. Zapach zamarzniętych kartofli. Walili w drzwi kolbami. Ojciec im otworzył. Był w niebieskiej piżamie. Kazali mu się ubrać, bo zabierają go na przesłuchanie. Mama płakała. Ojciec powiedział: Dasza, to tylko przesłuchanie, wróć jak najszybciej. I tyle.

– Tyle?

– Nie zobaczyliśmy go więcej.

– Teraz rozumiem, dlaczego... nie lubisz żołnierzy.

– Nic nie rozumiesz – odpowiada Anton z hamowanym gniewem.

– To mi wytłumacz – prosi Katia.

– Michał doniósł.

Mówiąc to, nie patrzy na nią. Jego spojrzenie jest skierowane w ciemność.

– Michaił?! Twój brat?! – Katia nie jest pewna, czy dobrze usłyszała.

– Tak – potwierdza Anton. – W szkole przeszedł pranie mózgu i wmówiono mu, że kułacy to wrogowie rewolucji, a własność prywatna to zagrożenie narodowe.

– I...?

– Poszedł do nauczycielki i powiedział jej, że nasz ojciec hoduje pomidory w ogrodzie za domem. Nie miała wyjścia i musiała powiedzieć o tym dyrektorowi. Który był zmuszony przekazać to dalej.

– Ale... jak to odkryliście?

– Nie odkryliśmy. Nikomu coś podobnego nie przyszłoby do głowy. Nie dowiedziałbym się nigdy, gdyby sam mi tego nie wyznał w noc przed ucieczką z domu. Powiedział: teraz wiesz. Możesz zrobić z tym, co chcesz.

– Ile miałeś lat?

– Szesnaście. Michaił czternaście. Był mi najbliższy z całego rodzeństwa. W nocy dotykaliśmy się nogami.

– Dotykaliście nogami?

– Sięgałem moją prawą nogą do jego lewej. Żeby nie bał się w ciemnościach. Wymyślałem historie, żeby rozśmieszyć go przed snem. Śmiech go męczył i wtedy zasypiał. Tak się zaczęło to wszystko... Wymyślanie historii i pisanie listów. Z powodu... Miszki.

Głos Antona łamie się przy ostatnich słowach. Katia kładzie mu rękę na ramieniu i pyta:

– Co zrobiłeś... z tą tajemnicą?

– Zamknąłem ją w środku – mówi Anton. – Wiedziałem, że jeśli coś powiem, moi starsi bracia odnajdą go i zabiją.

– Nie jest łatwo nosić w sobie taką tajemnicę.

– Wtedy wszyscy prowadzili podwójne życie. – Jego głos nagle twardnieje, Anton wysuwa ramię spod jej ręki i zwraca się do niej: – Przecież nie muszę ci tłumaczyć. Nie dało się przeżyć dnia bez choćby jednego kłamstwa.

– Mimo wszystko. W rodzinie. I być jedynym, który wie coś takiego...

– To był mój najmniejszy problem.

– Jak to?

– A dlaczego, jak sądzisz, jestem tylko ślusarzem? Nie zadawałaś sobie nigdy pytania, dlaczego ktoś taki jak ja nie poszedł na studia?

– Prawdę mówiąc...

– Byłem na czarnej liście, oto dlaczego. Przez ojca. I nigdy mnie z niej nie usunięto.

– Nie wiedziałam... Ty...

– Przestań. Gdybym wiedział, że zaczniesz histeryzować...

– Przepraszam – mówi ona.

Żal ściska jej gardło i nie pozwala mówić.

Szakale rozpoczynają swój koncert. Katii wydaje się, że tej nocy wybrały bardziej durową tonację. Zastanawia się, czy Anton też to zauważył.

On nic nie mówi.

Katia przysuwa bliżej swoje krzesło i w milczeniu kładzie mu głowę na ramieniu, nasłuchuje wycia szakali i syreny oznaczającej koniec ćwiczeń w jednostce wojskowej i dopiero po bardzo długiej chwili mówi:

– W każdym razie cieszę się... że mi powiedziałeś.

– Nie mówiłem tego nikomu innemu na świecie – mówi Anton zduszonym głosem. – Także mojej pierwszej żonie.

– No cóż – zauważa Katia. – Całkiem zrozumiałe. To była wiedźma.

– Fakt! – Pierwszy cień uśmiechu pojawia się na jego ustach.

Potem obejmuje ją i przytula ze słowami:

– Co za dzień.

– Dla takich dni warto jest żyć – mówi ona i kładzie rękę na wewnętrznej stronie jego uda.

Dla przypomnienia.

– Niech żyje bania! – Anton unosi do góry wymaginowany kieliszek.

Ona także podnosi wymaginowany kieliszek i patrzy mu w oczy, gdy się stukają, a potem mówi:

– Jak cię znam, jutro całe osiedle dowie się, co robiliśmy.

– To ci przeszkadza? – dziwi się Anton.

– Wolałabym, żebyś trochę zaczekał z publicznym ogłoszeniem tej informacji – prosi Katia. – Mimo wszystko... Trochę nie daje mi to spokoju. To znaczy oczywiście było cudownie. Ale chodzi mi o samo miejsce. Chcę powiedzieć, że nie bez powodu istnieje tam podział na stronę męską i kobiecą. Coś sobie przypominam... Moja prababcia... nie jestem pewna... Może to wcale nie bania, ale jakieś... święte miejsce... a my nieświadomie robimy komuś przykrość... naruszamy tradycję...

– Co mnie to obchodzi! – Anton wykrzykuje radośnie. – Jeśli taka jest tradycja, to wasza tradycja, żydowska.

– Mnie obchodzi. – Katia odsuwa się od niego odrobinę. – Nie twierdę, że mamy przestać... Byłoby naprawdę szkoda... Mówię tylko, byśmy na razie zachowali to dla siebie, dobrze?

– W porządku, Kotiku, co tylko zechcesz – mówi Anton.

Ale nazajutrz rano, gdy znowu przychodzą do myk-wy, furtka stoi otwarta na oścież i nie widać nigdzie Bat El, a gdy Anton otwiera drzwi do męskiej części, jego oczom ukazuje się zdumiewające przedstawienie. Z udziałem dwojga aktorów.

Ben Cuk przez pięć dni odmawiał sobie spotkania z Ajelet.

Danino nakazał mu: nie zbliżaj się do tej kobiety. Od tej pory masz być ze mną na wszystkich naradach kampanii wyborczej.

On zaś poczuł wewnętrzny skurcz, lecz posłuchał.

Doradca do spraw public relations, który przyjechał z Miasta Grzechu – człowiek o śliskim spojrzeniu, wyglansowanych butach i nienaturalnie rzadkim zarostem – zjawiał się w biurze burmistrza dwa razy w tygodniu i rozpościerał przed nimi podzielone na wiele segmentów diagramy, wyniki badań opinii publicznej i sondaży. Mówił: sytuacja jest niepokojąca, Icchaki nabiera dynamiki. Musimy określić potrzeby i zgodnie z nimi budować proste, łatwo przyswajalne komunikaty. I powtarzać je. Powtarzać. Powtarzać. Musimy wprowadzić dyscyplinę, mówił. Nikt nie będzie wypowiadał się do mediów bez uzgodnienia tego ze mną i nikt nie wyłamie się z ustalonego wspólnie przekazu.

Danino spijał jego słowa jak człowiek spragniony słów Boga żywego i co jakiś czas zwracał się półgębkiem, jakby spełniając niemiły obowiązek, do Ben Cuka:

– Co ty na to, Mosze?

Wahał się i zastanawiał w duchu... Co powiedziałyby Ajelet, gdyby była teraz z nimi?

– A co z istotą rzeczy? – wybąkał na koniec. – Co z treścią? Mówimy o opakowaniu, ale co jest w środku? Co właściwie ludziom proponujemy?

– Nasza treść to Awraham Danino – uciał doradca. – Człowiek i dynamika. Ludzie nie głosują na treść. Głosują na człowieka. Mamy wielkie szczęście: burmistrz to charyzmatyczna, dominująca osobowość, przewyższający rywala w pięciu z siedmiu parametrów publicznej sympatii.

Danino pokiwał głową z zadowoleniem, wyjął rękę ze spodni i przeciągnął dłonią po policzku, gładko ogolonym do fotografii na ogłoszeniu wyborczym, które miało ukazać się w lokalnej gazecie.

Ben Cuk zamilkł z trudem. Myślał tymczasem o tym, jak pod koniec dnia opíše wszystko Ajelet. Nie będzie musiał używać wielu słów, ona od razu pojmie komizm całej sytuacji. Wtedy przypomniał sobie, że nie pojedzie dziś do mykwy na Syberii. Że zabronił sobie widywania Ajelet. I jego serce w piersi runęło w dół, jak winda, której przecięto liny.

Po tygodniu doradca zaprezentował gotowe ogłoszenie, z ogromnym portretem Danina i jedną linijką tekstu: „Dynamika trwa. Awraham Danino”.

Zagadnięty o zdanie Ben Cuk nie zdołał się powstrzymać i powiedział:

– Bardzo pięknie, to naprawdę imponujące ogłoszenie, ale brakuje mi szczegółów. Planu działania. Manifestu.

Doradca, który tymczasem nabrał dość pewności siebie, otwarcie zarechotał:

– Manifesty są dobre do łóżka. Do kampanii politycznej potrzebne są wyłącznie proste, czytelne hasła. Które się powtarza. I powtarza. I znowu

powtarza.

„Dynamika trwa” pomyślał Ben Cuk z goryczą. Dwa słowa. A właściwie po co niepotrzebnie mnożyć słowa? Lepiej skrócić jeszcze bardziej. Niech będzie jedno słowo. Może wystarczy w ogóle jedna litera. A może nawet tej jednej litery nie trzeba. Ani zdjęcia. Tylko sam pusty przekaz. I ciemność nad otchłanią.

Po zebraniu, w drodze do domu, o mały włos nie skręcił odruchowo w stronę mykwy, bo wiedział, że tylko Ajelet mogłaby zrozumieć myśli o słowach zasysanych do czarnej dziury, okrążył nawet rondo, z którego prowadzi ulica w stronę Syberii, ale wtedy zjechał na pobocze i zatrzymał się, zapalił drugiego papierosa tego dnia i zaczął przerzucać stacje radiowe, szukając piosenek Szaloma Chanocha. Jeśli znajdzie jego piosenkę, to będzie znak, powiedział sobie, chociaż nie wiedział czego, a poza tym i tak nigdzie nie było Szaloma Chanocha, wszędzie rozbrzmiewały tylko piosenki Rity, *Niewolnik czasu*, *Ścieżka ucieczki*, te same piosenki w każdej stacji, zawrócił więc i pojechał z powrotem do dzieci, które czekały, żeby pomógł im w lekcjach, wykapał i poczytał im przed snem, a on wywiązał się jak należy ze wszystkich tych obowiązków, myśląc przy tym, jestem chodzącą kampanią wyborczą, nikt nie dostrzega u mnie istoty rzeczy, nikt nawet się nie domyśla jej istnienia...

– Tato, dlaczego jesteś taki smutny? – Młodszy syn przerwał jego rozmyślania, a on czym prędzej zaprzeczył:

– Smutny? Nic podobnego. Może tylko jestem trochę zmęczony, nic poza tym. Chodźmy spać.

Następnego dnia chłopiec znowu go zaskoczył, gdy otulał go ręcznikiem:

– Tato, nie odchodź.

Ben Cuk przestał wycierać dziecko:

– Odejść? Dokąd? Co to znaczy?

Ale synek już wysunął się z jego objęć i pobiegł pobawić się ze starszym bratem.

A gdy usnęli – tym razem młodszy zasnęła, inaczej niż zazwyczaj, później niż starszy – Menucha stanęła za nim, gdy zmywał naczynia, dotknęła jego pleców w nieczęstym geście i powiedziała:

– Oddaliłeś się trochę ostatnio, wszystko w porządku?

Ostatnio, pomyślał.

Oraz: wąwozu, który nas rozdziela, nie da się przeskoczyć za pomocą rozmowy.

Na głos powiedział:

– Mam trochę stresów w pracy. Wiesz, przed wyborami.

Ona odpowiedziała:

– Młodszy mnie dziś okropnie rozbawił.

Mosze wiedział, że ona wie, iż to najszybsza droga do jego serca, a mimo

wszystko obrócił się i zapytał:

– Dlaczego? Co takiego zrobił?

– Nie zrobił, powiedział – odrzekła Menucha. – Mówił, że w przedszkolu uczyli się dziś o potopie. „Padał wielki deszcz, mamó, i zwierzęta schowały się parami do Marki Noego”.

– Tak powiedział? – Ben Cuk cały się rozpląnął. – Co za dzieciak, nawet jego błędy są błyskotliwe.

Menucha wyciągnęła rękę i pogłaskała go po policzku:

– Powinieneś się ogolić.

Potem cofnęła rękę i powiedziała:

– Dobrze, cadyku, idę spać. W lodówce są faszerowane warzywa, jeśli jesteś głodny. Sprawdź też, dlaczego suszarka nie działa. Nie wkładaj do lodówki tych średnich ogórków, jeszcze nie są gotowe. I nie powinieneś tak stawiać butów w salonie, odwrócone buty to jak odwracanie się plecami do Boga.

Dopiero spełniwszy wszystkie obowiązki, Ben Cuk wyszedł na balkon z widokiem na cmentarz, oparł się o ścianę obok szklanych słoików i prosił o jakiś znak. Omen. Niech z nieba spadnie gwiazda. Niech z jednego z grobów rozlegnie się głos i wyjaśni mu: jak to możliwe, że Ajelet jest grzechem, skoro dzięki niej kocha świat dwa razy mocniej? Jak to możliwe, że akurat teraz opatrność wprowadziła ją z powrotem do jego życia? Co to znaczy, że czuje do niej to samo co wtedy, a nawet jeszcze bardziej? Czy na marne przeszedł to wszystko w ostatnich latach? A może przeciwnie, wszystko, co przeżył, miało przygotować go do egzaminu, do sprawdzianu panowania nad złym instynktem? Ale jeśli to zły instykt, dlaczego to takie dobre uczucie? Skąd wzięło się wrażenie, że jest przeznaczoną mu kobietą, a on jest przeznaczony dla niej, że są dwiema połówkami duszy, które zmierzają ku sobie, by połączyć się w prawdziwym małżeństwie? A może to fałszywe wrażenie? Jak, do diabła, przełożyć cały ten wewnętrzny galimatias na mapę, którą dałoby się odczytać? Jak wykreślić mapę miłości, odpowiedzialności, instynktu, czystości, upadku i skruchy?

W czwartą noc narzuconego sobie zakazu w rozpacz wyszedł z domu i ruszył w stronę grobu świątobliwego Chezekiasza i jak wtedy, gdy uciekł z jednostki, także tym razem wkrótce jego kroki przeszły w bieg. Mijał ogromne billboardy z podobizną Awrahama Danino i ogromne billboardy z podobizną Jirmijahu Icchakiego oraz kilku miejskich dziwaków, którzy nagle pojawili się z dala od miejsc, w których powinni się znajdować zgodnie z „mapą miejskich dziwaków”, nastolatków, którzy stale przesiadywali na metalowych barierkach przy drodze wylotowej z miasta, szukając zaczepki, miejskie drzewa, które wyciągały ku niemu ramiona gałęzi, by wziąć go w objęcia albo udusić, topole przy topolowej ścieżce, pomalowane na biało kamienie, które wyznaczają drogę, ale kończą się raptownie w pułapce kolczastych zarośli, nocne lisy, nocne ptaki

i kwiaty, które otwierają płatki nocą...

Na koniec dotarł na tę samą polanę i padł na kolana u stóp grobu, wiedząc z absolutnym przekonaniem, że usiłuje odtworzyć tamto jednorazowe objawienie, ale otworzywszy oczy, odkrył, że na schodkach wiodących do grobu ktoś położył Biblię, co obudziło w nim nadzieję na znak, bo przy grobach na ogół nie kładzie się ksiąg Biblii, wziął ją więc do ręki i otworzył na przypadkowej stronie, uparcie poszukując jakiegoś sygnału, a spośród wszystkich wersetów w świetle gwiazd odczytał następujące słowa: „Ponieważ Jakub pokochał Rachelę, rzekł do Labana: «będę ci służył przez siedem lat za twą młodszą córkę, Rachelę»”. Ogarnęło go poczucie zrozumienia: to właśnie znak dla niego. Siedem lat musiał trudyć się jako mąż Menuchy, by zdobyć swoją Rachelę – Bat El, i dopiero po siedmiu chudych latach jest zdolny naprawdę ją kochać – ale raptem silniejszy powiew wiatru przewrócił stronice i gwiazda-latarka oświetliła inne zdanie: „Czemu zlekceważyłeś słowo Pana, popelniając to, co złe w Jego oczach? Zabiłeś mieczem Chetytę Uriasza, a jego żonę wzięłeś sobie za małżonkę”. Ben Cuk wstrząsnął się: przecież także on lekceważył Pana, spędzając długie godziny w towarzystwie cudzej żony. Ale jak to się łączy z poprzednim wersem? Który jest prawdziwszy? Teraz powinien objawić się trzeci, decydujący. Czekał, aż wiatr ponownie przewróci stronice, ale powietrze stało nieruchomo dłuższą chwilę i gdy stracił nadzieję, że otrzyma odpowiedź od wiatru, odłożył księgę, wszedł do mrocznej groty, położył się na grobie, przyłożył usta do miejsca, w którym według jego obliczeń powinno znajdować się ucho cadyka, i prosił, błagał i domagał się, z początku po cichu, a potem na głos: nie opuszczaj mnie, skoro Cię znalazłem, ześlij mi jakiś znak! Jeszcze tej nocy, ześlij mi znak!

Kilka dni po tym, jak popłynęła krew miesięczna Bat El, jej mąż oznajmił, że chce wrócić do Nowego Jorku.

Zauważyła, że użył liczby pojedynczej.

– Nie jest mi tu dobrze – powiedział. – Chcę wrócić do domu, do mojego biura. I tak nie możesz zająć w ciążę. Jaki praktyczny powód pozostaje, żebyśmy siedzieli dłużej w tym mieście umarłych?

Mój mąż to mężczyzna praktyczny, pomyślała z goryczą. Tacy mężczyźni zwykli zakochiwać się w niepraktycznych kobietach. Z początku stanowią dla nich nowe wyzwanie. Wnoszą koloryt do ich szarego życia. Ale potem, kiedy już należysz do nich, nagle zaczynasz im zagrażać. Wtedy cię przygniatają. Miażdżą resztkę twojego ducha. Powoli. Drobnymi złośliwymi uwagami. A ty im na to pozwalasz. Żeby tylko znów nie zostać sama. Zagubiona. Praktyczni mężczyźni nie wahają się wymienić żony na inną, jeśli nie wywiązuje się ze swoich obowiązków.

– Jakowie...– zaczęła, ale rozpieszczony dzieciak, który czasem wyglądał z jego garniturów biznesmena, przerwał jej:

– Ty też – poskarżył się – jesteś tu inna. Nie jesteś przy mnie. Nawet nie

wiem, gdzie w ogóle jesteś. Czasem coś mówię, a ty nawet nie słuchasz. Czy teraz przynajmniej słuchałaś?

– Słucham – zapewniła. – Słucham cię bardzo cierpliwie. Szkoda tylko, że straciłeś...

– Słowo daję – powiedział – czekam cierpliwie od sześciu miesięcy. Byliśmy na każdym możliwym grobie. Kładliśmy się, modliliśmy i ofiarowaliśmy datki. Jak widać, Najwyższy nie zamierza udzielić ci tej łaski.

– Mnie? – wybuchła. – Mnie nie zamierza udzielić? Czy przypadkiem nie jesteś stroną w tej sprawie?

– Ciii... – uciszył ją.

Nie do wiary, pomyślała, także tu przejmują się opinią sąsiadów.

Na głos powiedziała:

– *Don't shush me!* Kto twierdzi, że winne jest moje łono, a nie twoje nasienie? Przecież wyniki badań nie są jedno...

– Właśnie, że to twoje łono. Twoje występki. Grzechy dawnego nienormalnego życia, pełnego zepsucia. Ty sprowadziłaś na nas nieszczęście – warknął głosem nosowym od chronicznego kataru, który nie opuszczał go od chwili przyjazdu, i nie czekając na odpowiedź, wyszedł do swojego gabinetu.

Słyszała przez drzwi, jak dzwoni do biura podróży, by zapytać o dostępne połączenia lotnicze. I jak zwykle usiłuje zbić cenę. Słyszała, jak obraca ogromny globus, który przywiózł ze swego amerykańskiego biura, i pomyślała, że Bóg powinien dodać jeszcze jedno przykazanie do dziesięciu: „Nie będziesz wypominał partnerce jej dawnych grzechów, które ci wyznała, tylko po to, by wygrać w kłótni”. Dla uspokojenia wykonała kilka ćwiczeń oddechowych – była to jedna z dwóch rzeczy, jakie wyniosła z pobytu w klasztorze – i weszła.

– *Listen, Yanki* – zwróciła się, używając ich prywatnego zdrobnienia. – Może zaczekamy jeszcze dwa miesiące, co ty na to? Zostaniemy tu tylko do końca października. Zwyczajnie czuję, że warto. Nie umiem tego wyjaśnić, ale mam takie przeczucie.

– Jeden miesiąc. – Zatrzymał obracający się globus. – Nowy Rok chciałbym świętować wśród ludzi cywilizowanych.

Uśmiechnęła się gorzko w duchu. Przecież od początku chodziło jej o miesiąc, ale nauczyła się już, że z biz-nesmenem takim jak on zawsze trzeba się targować.

Potem, gdy usnął, leżała z otwartymi oczami, zadając sobie pytanie, czy upiera się tak bardzo, by zostać w Mieście Cadyków ze względu na wpływ świętych grobów czy też na coś innego. A właściwie na kogoś. Przecież nie przypadkiem opatrność doprowadziła do spotkania jej z Moszikiem siedem lat po tym, jak ich drogi się rozeszły. Coś takiego nie może wydarzyć się bez planu i bez zamysłu. Niemożliwe, by ten dosłownie fizyczny ból, który gniecie ją pod żebrami,

odkąd przestali widywać się w myk-wie, miał być bez celu i bez przyczyny. Niemożliwe, by poszły na marne te długie, niekończące się rozmowy, które prowadzi z nim w myślach. W tym spotkaniu z przeszłością, którą ze wszystkich sił starała się zostawić za sobą (nie zaprosiła na ślub nikogo z rodziny ani z kibucu), musi być jakieś odkupienie. Choć prawdę mówiąc, obfituje ono w grzechy. Codziennie w minionych tygodniach łamała przynajmniej jeden zakaz Tory. A przy tym czuła przez cały czas, że czyni naprawę, *tikun*. Jak to się łączy, na Boga? Czy grzech może być jednocześnie micwą?

Wstała z łóżka i przeszła do salonu, wzięła do ręki tom Psalmów, może tam znajdzie odpowiedź. Po kilku sekundach jej wzrok padł na werset: „Dla Pana już czas jest działać: pogwałcili Twoje prawo”. Zdanie to zdumiało ją już za pierwszym razem, gdy je czytała: co właściwie oznacza? Że są takie chwile, takie sytuacje, gdy jedyną drogą wypełnienia woli Pana jest pogwałcenie Jego prawa? W swoim czasie odważyła się zapytać o to swego nowojorskiego rabina, a on pochwalił ją za mądre pytanie (nie dodając „jak na nawróconą”, ale zdradził to jego ton) i odesłał do odnoszącej się do tego wersetu dyskusji w Gemarze, do której z jakiegoś powodu obawiała się zajrzeć.

Teraz podeszła do biblioteczki, którą przysłano tu za nią z domu w specjalnym kontenerze – jesteś *completely crazy*, powiedział Yanki, że ciągniesz ze sobą wszystkie te książki na zaledwie kilka miesięcy – i zanurkowała w głębokiej krynicy starożytnej mądrości. Dyskusja rodzi kolejną dyskusję, która daje początek kolejnej dyskusji. Tak jak lubi. Od „pogwałcenia prawa”, którego dopuścił się lud Izraela, gdy postanowił spisać ustne Prawo, czego Pan zakazał im kategorycznie, przeszła do pojęcia *awera le-szema*, „występku w dobrej intencji”, który popełnia się przez wzgląd na Niebiosa. Okazuje się, że Księga nad Księgami jest pełna takich przypadków. Jael, żona Chebera Kenity, która skusiła wodza Siserę i zabiła go, by zapewnić swemu narodowi zwycięstwo w wojnie. Córki Lota, które spały ze swoim ojcem, by ród Izraela nie wyginął. Estera, która została królową, żoną Ahaswerusa, by ocalić swój lud. Ale wszystkie te kobiety grzeszyły z myślą o przyszłości narodu, pomyślała Ajelet, co ja mam z nimi wspólnego? Czytała dalej, zdeterminowana, by znaleźć odpowiedź odnoszącą się do jej własnej sytuacji. Przed trzecią nad ranem okazało się, że wybaczone były również inne występki, o ile stały za nimi zbożne zamiary. Abraham, chcąc uratować życie, poprosił Sarę, by skłamała faraonowi, że jest jego siostrą. Jakub skradł pierworództwo Ezawowi...

– Jak mam zdecydować, czy mój zamiar naprawdę jest godny? – zapytała na głos. – Skąd mam to wiedzieć?

Po kilku stronicach dotarła do niej z odległości wielu lat odpowiedź rabina Mordechaja Josefa: jedynym usprawiedliwieniem „dobrego występku” nie jest jego skutek, lecz wola Najwyższego.

Wszystko to pięknie, Ajelet-Bat El – mówiła dalej do siebie. Ale kto wie i kto decyduje, jaka jest wola Najwyższego?

Była już piąta nad ranem i oczy same się jej zamykały. Odstawiła książki na miejsce, umyła ręce i odwołała się do drugiej praktyki, jaką zachowała z dwuletniego okresu spędzonego w klasztorze: przywoływania snów.

Zapisała na kartce imiona wszystkich osób zamieszanych w cały galimatias, a potem powtórzyła je na głos. Zamknęła oczy i czekała na pierwszy obraz, jaki pojawi się w tym stanie pół snu, pół jawy. Ujrzała pod powiekami buty ojca stojące obok jego łóżka. Wstała i naszkicowała je na kartce grubymi pociągnięciami ołówka, a rysunek umieściła pod kartką z imionami.

Następnie poszła do kuchni i zjadła garść białego ryżu.

W końcu położyła się spać.

Moszik i Bat El nie widzieli się przez pięć dni, torturując się przez cały ten czas myślami o sobie nawzajem, a kolejnej nocy Moszikowi ukazał się cadyk odziany na biało z oczami czarnymi od gniewu (niektórzy powiedzieliby, że był to anioł Śmierci, a inni, że wszystkie te „objawienia” to jedna wielka bzdura, sprawka podświadomości i tyle), i rzekł: będziesz w swoim kraju wygnańcem, dopóki nie naprawisz tego, co zepsułeś. Moszik we śnie upadł na kolana przed cadykiem, pytając: co takiego zepsułem? I jak mam to naprawić? Cadyk poprowadził go do pokoju dzieciennego i wskazał ręką: zamiast dwóch łóżek stały tam trzy, dwa obok siebie, a trzecie oddzielnie. Moszik zapragnął podejść do trzeciego łóżka i zobaczyć, kto w nim śpi, ale cadyk zatrzymał go, mówiąc: bo dobre to było w jego oczach, bo dobre to było w jego oczach, bo dobre to było w jego oczach. Zdumiał się Moszik, cóż to za czyn, który jest dobry, i w czyich oczach. Sięgnął, by uchwycić skraj szaty anioła i zapytać, lecz anioł uchylił się ze słowami: wybacz mi, muszę objawić się w innym śnie. Pospieszył przed siebie, aż uleciał w górę i przebył całe miasto jednym bezgłośnym uderzeniem skrzydeł, przelatując nisko nad wąskimi zaułkami, nad krzewami winorośli i nad praniem schnącym na sznurach, aż przybył na osiedle Prachim, gdzie wszedł do domu, do mieszkania, do łóżka i do snu Bat El i rzekł do niej: pójdz ze mną. Ujął ją za rękę i powiódł ku oknu, a tam oboje ujrzeni drugą Bat El kroczącą ulicą z zaokrąglonym brzuchem, z promieniem światła w oczach. Anioł zaś odezwał się w te słowa: bo dobry był ten czyn w jego oczach. Bat El zapragnęła dowiedzieć się, cóż to za czyn i w czyich oczach jest dobry. Wyciągnęła rękę, by pochwycić skraj szaty anioła i zapytać, lecz on wymknął się jej i odleciał dalej, wznosząc się coraz wyżej w górę, ku sklepieniu niebieskiemu...

Wtedy ona także wynurzyła się z głębin snu na powierzchnię nowego poranka.

Łóżko było puste – jej mąż jak zwykle udał się o świcie do swoich interesów – a ona leżała dalej z otwartymi oczami. Sny, w których zachodziła w ciążę,

nawiedzały ją od czasu do czasu, i wszystkie tłumaczyła sobie jako sny zwodnicze, ten jednak był inny. Sama go przywołała. Także moment był znaczący: upłynęła ostatnia noc siedmiodniowego okresu po ostatniej menstruacji. Spojrzała na zegarek – jeśli się pospieszy, zdąży obmyć się w mykwie sama, przed oficjalnymi godzinami otwarcia. Może dzięki temu znaczenie snu stanie się jaśniejsze.

Kiedy szła na osiedle Źródło Dumy, jej krok stawał się coraz bardziej posuwisty i czuła, jak w jej krwi pulsuje mglista, niejasna nadzieja.

Także Moszik skierował swe kroki do mykwy, ale nie było w nich oznak radości. Sen przyniósł mu wielkie pomieszanie i nie wiedział, czy powinien się go lękać, czy przeciwnie, czuć ulgę. Nie wiedział, co powinien uczynić i które ze swych licznych grzechów popełnionych w ostatnich tygodniach odkupi tym uczynkiem, dlatego postanowił obmyć się w mykwie przed godzinami otwarcia, może sama czynność ablucji sprawi, że oczyści się jego umysł i pomoże mu zrozumieć dokładnie, co oznacza sen i jak powinien dalej postąpić.

Miał wciąż przy sobie klucz do części męskiej, otworzył więc drzwi i wszedł do emanującego pożądaniem wnętrza, rozebrał się i odmówił na głos błogosławieństwo, a w duchu dodał specjalną prośbę: niech Najwyższy pomoże mu i odsłoni przed nim swą wolę, a także wolę Jego posłańca, który odwiedził go we śnie tej nocy – jeśli istotnie był to posłaniec, a nie stwór zrodzony z jego grzesznych pragnień – bo on, Mosze Ben Cuk, jest już znużony tułaczką po pustyni wątpliwości i tym, że nigdy nie dociera do celu.

Kiedy Ajelet-Bat El słyszy za ścianą plusk ciała uderzającego o wodę, od razu wie – to Moszik. Sama skończyła wycierać się kilka minut wcześniej, ale inaczej niż zwykle nie ubrała się od razu. To cud, myśli, jak nie umawiając się, oboje znaleźli się tutaj, dokładnie w tym samym czasie. Bo dobry był ten czyn w jego oczach, bo dobry był ten czyn w jego oczach – dźwięczy zdanie anioła na jej wargach, i w jednej chwili pojmuje znaczenie wszystkiego: to nie przypadek zetknął tu ich oboje akurat tego ranka. Na świecie nie ma przypadków. Tak zostało postanowione tam, w górze. W Niebie.

Owija się ręcznikiem i podchodzi do drzwi ewakuacyjnych łączących oba pomieszczenia, przykładła ucho i słyszy, jak Moszik wychodzi z wody. W jednej chwili wie, co powinna zrobić, a w następnej znów ogarniają ją wątpliwości. Zahamowania. Może się myli? Może okryje się wstydem? „Z pełnym uczuciem sercem spełniam nakaz zanurzenia się dla oczyszczenia, starałam się być wierna Twoim przykazaniom i oczekuję na Twe zbawienie” – odmawia na głos zwykle błogosławieństwo i podejmuje decyzję: jeśli Bóg da jej siłę, by otworzyła te ciężkie zaryglowane drzwi, odgradzające stronę męską od kobiecej, niech to będzie znak. Jeśli nie – ubierze się, włoży z powrotem kolczyki, które wyjęła z uszu, i obrączkę ślubną, którą zsunęła z palca, i wróci do domu.

Napiera całym ciężarem ciała na drzwi, które kilka dni wcześniej wyważył

Anton, a one z łatwością obracają się na zawiasach.

Bat El, kiedyś zwana Ajelet, staje naprzeciw Moszika, owinięta samym ręcznikiem, staje naprzeciw Moszego Ben Cuka, ukochanego z młodości, ojca swego nienarodzonego dziecka, przekleństwa swego życia.

Na jego nagim ciele – widzi to teraz – znać upływ czasu, ale podnosi na nią oczy młodego chłopca.

Ajelet pozwala, by ręcznik opadł na ziemię. Powoli.

Ramiona trzyma opuszczone wzdłuż ciała. Zwyczajnie. Jakby zapraszająco.

Moszik się nie rusza. Ucieka spojrzeniem w bok, by nie widzieć jej nagości.

Mimo wszystko, wie Ajelet, to jest w jej mocy.

Podchodzi bliżej, ujmuje jego ręce i zakłada sobie na szyję.

– Chodź do mnie – mówi, pochyla się i całuje go w czoło, jej odsłonięte sutki muskają jego pierś, długie rozpuszczone włosy łaskoczą go w ramiona. – Chodź do mnie, Moszik... – Przysuwa usta do jego ucha, wprawiając w drżenie malutkie włoski w środku i mówi: – To jest dobre.

Powtarza:

– To jest dobre.

On powtarza za nią, na początku szeptem, niemal bezgłośnie, potem z wahaniem, zająkując się, a w końcu na głos, wciskając usta w zagłębienie jej szyi, przyciska ją do siebie, wbija palce w jej plecy i naraz uwalnia cały dobry instynkt, który skrywał się w jego ciele przez siedem lat. Dobre! Dobre! Dobre w jego oczach! Ściany mykwy odpowiadają echem: obre... obre... obre... i przylega całym ciałem do tej prawdziwej, przeznaczonej mu kobiety, patrzy w jej oczy i stają się jednym ciałem, a im dłużej poruszają się jedno w drugim, bliźniaczymi, odpowiadającymi sobie ruchami, tym coraz więcej rozbłysków światła wypełnia pomieszczenie, w którym się znajdują, i cały świat.

Wziąwszy prysznic, Jona, nauczycielka gry na klarnecie, otwiera walizkę i rozkłada swoje rzeczy w hotelowym pokoju, może w ten sposób uda jej się nadać mu bardziej domowy charakter. Wieszka w szafie kilka bluzek, układa bieliznę w szufladzie i ustawia przybory toaletowe na obrzeżu umywalki. Potem odsuwa zasłonę i otwiera okno, by wpuścić do środka nocne powietrze. Z zewnątrz dobiega szum przejeżdżającego samochodu, a później klakson. Przecież miał to być cichy rustykalny hotel, irytuje się bezgłośnie. Na biurku leży program Festiwalu Klarnetu, który z pewnością przejrzy przy okazji pierwszej wizyty w toalecie. Na łóżku stoi kolorowy koszyczek w kwiatki, a w nim czekoladka i wizytówka. Przesławia koszyczek gdzie indziej i kładzie się – nareszcie – po dziesięciogodzinnym locie do Izraela i trzech godzinach jazdy do Miasta Cadyków. W ciele czuje pulsowanie tępego bólu, a w ustach wciąż ma posmak jedzenia, które podawano w samolocie. Wstaje, by umyć zęby. Potem wraca do łóżka. Po chwili wpada w panikę, że futerał od klarnetu jest pusty, że na lotnisku ktoś wykorzystał chwilę nieuwagi i ukradł instrument, wstaje więc i z bijącym sercem otwiera futerał. Klarnet jest na swoim miejscu.

Znowu wraca do łóżka i stara się zasnąć. Łóżko jest zbyt obszerne. Buduje mur z poduszek i kołdry, odgradzając się od drugiej połowy. Zamyka oczy. Powieki jej ciężą, ale serce jest pozbawione spokoju. Włącza telewizor i znajduje wiadomości CNN. Nie ma to jak nieszczęścia, które dzieją się w dalekich krajach, by odzyskać spokój wewnętrzny. Ale w CNN mówią akurat o Izraelu, do diabła. Ucieka z CNN, wędruje przez resztę kanałów i zauważa w duchu, że w hotelu nie ma dostępnego kanału pornograficznego. W Europie na ogół są. Wyjmuje książkę, którą zabrała z domu, i okulary do czytania. Książka to thriller oparty na tajemnicach kabały, ale Jona jest zbyt zmęczona, żeby się skupić. Jej oczy skaczą z litery na literę, lecz te przeskoki nie odsłaniają żadnego ukrytego, kabalistycznego znaczenia, tylko jeszcze bardziej ją dezorientują. Musi spać. Jutro jest wielki dzień. Rano – inauguracja myk-wy imienia żony Jeremiaha, wieczorem – koncert.

Odkłada książkę i z powrotem zamyka oczy. Na dworze znowu warczy samochód. Zastanawia się, kto mieszkał w tym pokoju przed nią, i pociąga nosem, by wyczuć ślady: w powietrzu unosi się męski aromat wody po goleniu zmieszany z delikatną wonią banknotów. A może tylko tak się jej wydaje? Zmienia pozycję. Potem stara się oprzeć głowę na rogu poduszki. Nie pomaga. Nic nie pomaga. Co będzie, jeśli nie uda jej się w ogóle zasnąć przez całą noc? Jutro będzie do niczego. Minibarek pomrukuje w tempie na siedem ósmych. Może wyjmie klarnet i zagra z nim w duecie? Wstaje, by pójść do łazienki, i po drodze bierze program festiwalu. Biada jej, odkrywa nagle, że jej występ jest głównym koncertem pierwszego

wieczoru i odbywa się na scenie otwartego amfiteatru, pod gołym niebem. Skąd wziął się ten otwarty amfiteatr? To oznacza tłum ludzi. Masę oczekiwań. A ona wciąż będzie okropnie zmęczona po locie. Wraca do łóżka i czuje, że za chwilę się rozplacze. To zmęczenie, mówi sobie, nie wierząc we własne słowa, to tylko zmęczenie. Znowu wstaje, zmienia nocną koszulę na inną, mniej odsłoniętą, i wychodzi na korytarz. Idzie trzy kroki. I lekko puka do drzwi Jeremiaha.

- Pokoje hotelowe – zwraca się do niego, gdy staje w progu.
- Co z nimi? – pyta on i otwiera szeroko ramiona, by ją objąć.
- Smutno mi w nich – odpowiada ona.

W całkiem naturalny sposób, jakby ich ciała dojrzały do bliskości w dokładnie tym samym momencie, pozwala mu przycisnąć się do piersi, i tak stoją oboje w drzwiach dłuższą chwilę, aż on wciąga ją do środka, zamyka za nimi drzwi i zaczyna głaskać ją po plecach, z góry w dół, aż do miejsca, w którym stykają się z pośladkami, w rytmie, który idealnie jej odpowiada.

Anton wyczekiwał cierpliwie odpowiedniego momentu, żeby zrelacjonować Szpilmanowi poruszające wypadki ostatnich dni. Po dłuższej chwili ostrożnych ruchów z obu stron wystawił swego gońca bez obrony w sposób, który miał wydawać się rażącym niedbalstwem, choć w istocie były to precyzyjnie zastawione sidła, mające przesądzić o losie jego przeciwnika, gdyby postanowił ruszyć przynętę. Dopiero wtedy rozpoczął rozmowę:

– Posłuchaj tylko – zagaił, uderzając w zegar szachowy, a potem opowiedział wszystko, co przeżyli razem z Katią w bani.

Szpilman usiłował zachować skupienie, ale na koniec przeniósł wzrok z szachownicy na Antona.

– Jak to, „coś w ścianach”? – zapytał poirytowany. – Jestem geologiem. Rozmawiając ze mną, używaj faktów. Danych. Nie mistyki.

– Fakty nie zawsze opisują całą historię – rzekł Anton. – Trzeba tam być, żeby poczuć ten wpływ. Gdy tylko wejdiesz, całe twoje ciało nagle jest jak naładowane siłą seksualną... pożądaniem... jak u byka! Byka, który robi to pierwszy raz!

Słowa te wymówił Anton szczególnie głośno, by przeniknęły do świadomości wszystkich obecnych w klubie szachowym. I faktycznie, efekt został osiągnięty. Ciemne i siwe głowy, męskie i kobiece, wszystkie uniosły się znad szachownic i zwróciły do niego z żądaniem, z wymaganiami – by powiedział coś szczegółowo!

Anton powtórzył opis, który przedstawił Szpilmanowi, dodając historię o wizycie burmistrza. To właśnie burmistrz prosił, by on i Katia, a wraz z nimi wszyscy mieszkańcy osiedla odwiedzali łaźnię. Nawet wysłał jednego ze swoich asystentów z kobietą, by zaprezentowali im możliwości, jakie kryje w sobie to miejsce.

– To przekupstwo wyborcze! – zakrzyknął Nikita. – Byłem w mieście... w Kirjat Ha-Chatulim... i tam widziałem plakaty z wielkim zdjęciem człowieka, który wtedy z nami siedział. Takie plakaty z wielkim zdjęciem oznaczają, że będą wybory. On chce, żebyśmy głosowali na niego. I jest gotowy zorganizować nam w tym celu darmową rozrywkę!

– No, cóż – odezwała się żona Gruszkowa, szachistka pierwszej klasy, która za każdym razem rozgrywała symultanicznie partię przeciwko trzem mężczyznom i pokonywała ich bez trudu. – Jeśli tak wyglądają wybory w państwie żydowskim, niech żyje demokracja!

Wszyscy, oprócz Nikity, roześmiali się.

Anton powiedział:

– Pomyśleliśmy z Katią, że nieładnie zachowywać coś takiego dla siebie. Przecież w naszym wieku przyjemności nie są zbyt częste.

– Gratuluję wam – powiedział Szpilman. – Naprawdę gratuluję. Ale wybac, Antonie, jeśli sam zachowam zdrowy naukowy sceptycyzm, dopóki nie odwiedzę tego miejsca i nie zyskam dowodów na poparcie twojej teorii.

– Zapraszam. – Anton się uśmiechnął.

Wyjął z kieszeni pęk kluczy i powiedział, nadal się uśmiechając:

– Zrobiłem odcisk i dorobiłem klucze dla wszystkich, do drzwi zewnętrznych i do drzwi awaryjnych w środku.

– Przy okazji – mruknął Szpilman i spojrzał z powrotem na szachownicę, starając się ze wszystkich sił zachować obojętność, ale na koniec nie oparł się pokusie i wpadł prosto w pułapkę zastawioną przez Antona.

Nazajutrz, wobec istniejącego zainteresowania, Anton był zmuszony sporządzić nową tabelę, z dokładnie rozpisanymi godzinami odwiedzin łaźni. Kartkę przytwierdzono taśmą klejącą na furtce wejściowej i dla każdej pary przewidziano sześćdziesiąt minut. Niektóre pary chciały przebywać w środku we czwórkę i otrzymały podwójny przydział czasu, a Anton, którego interesowała tylko Katia, Katia i jeszcze raz Katia, wykazał się przy tym liberalizmem: każdy ma swoje upodobania i nikomu to nie szkodzi.

Kobieta w chustce na głowie, która pilnowała łaźni, zniknęła bez śladu. Całe miejsce pozostawało do ich dyspozycji i do dyspozycji ich popędów, bez nadzoru, przez cztery dni i cztery noce. To, co działo się tam przez te cztery dni, można określić słowami Sodoma i Go-mora. Ale można powiedzieć także, że około dwustu pięćdziesięciu rosyjskich imigrantów, przedstawicieli złotego wieku, trafiło za życia do raju. Pary odnajdywały na nowo dawne pożądanie, mężczyźni tacy jak Anton (okazało się, że był to nie tylko jego problem) odzyskali szacunek do siebie, starsze kobiety przeżywały przyjemność, która mogła równać się jedynie z ich pierwszym razem, gdy w wieku piętnastu lat sprawiały sobie same rozkosz palcami wślizgującymi się pod puchową pierzynę. Frustracje seksualne, które przez

dziesiątki lat zatruwały atmosferę, ostatecznie znikwały, dusze zlewały się ze sobą jak woda, ciała znajdowały schronienie, punkt równowagi, odpowiedź, pojawiały się bóle w krzyżu spowodowane intensywną aktywnością, dłonie drżały od gwałtownego rozładowania napięcia, a ścieżka wysadzana topolami wypełniła się ludźmi, którzy kroczyli sprężysto, nosili cienkie skąpe ubrania i śmiali się na głos, perliście, parami, które przed wizytą w łaźni zwykły chodzić w odległości kilku metrów od siebie, a teraz kroczyły objęte.

– No i co, Szpilman – zagadnął Anton przyjaciela kilka dni później, naciskając na zegar szachowy. – Warto było imigrować do Izraela?

– Sam nie wiem... – wymamrotał Szpilman i wycofał króla za grupę pionów. – Muszę przeprowadzić jeszcze kilka eksperymentów, zanim ustalę, czy twoja teoria o oddziaływaniu ścian w łaźni jest prawdziwa. Możesz mnie zapisać na pierwszą godzinę jutro rano? I jeszcze dwie godziny wieczorem, z Gruszkowem i jego żoną?

– Czego nie robi się dla nauki – uśmiechnął się Anton, wysunął naprzód swoją wieżę zza linii obrony i rzucił: – Szach. I mat.

– Jak panu minęła noc, Mister Mendelstrum? A lot? Wszystko było w porządku? A jak przejazd limuzyną? Posłałem po pana naszego najlepszego kierowcę. Zasluguje pan na to. Nasze miasto wiele dzięki panu zyskało. To był dar z głębi serca. A to, co przychodzi z serca, trafia do serca. Bez pańskiej pomocy nie udałooby nam się zbliżyć licznej społeczności nowych imigrantów do wartości judaizmu. Pańska myk-wa już działa, chwała Najwyższemu. Pańska błogosławionej pamięci żona byłaby dzisiaj z nas dumna, gdyby nas zobaczyła. Ja miałem synka, który zmarł. I czasem czuję, jakby...

– Zbacza pan z tematu – szepcze w ucho Danina doradca do spraw public relations i dodaje szeptem: – I niech pan nie ignoruje jego towarzyszkę.

– Także pani – Danino kontynuuje z mniejszym ferworem – ofiarowuje wiele naszemu miastu. Gościć panią to dla nas wielki zaszczyt. Mówiono mi, że artystka takiej klasy nie gościła jeszcze nigdy na naszym festiwalu. Co to znaczy, mówiono? Na własne uszy słyszałem w domu nagranie z pani wykonaniem. To muzyka, która otwiera ludzką duszę. Przypomina mi dom dziadka. Chociaż u mojego dziadka, prawdę mówiąc, grano raczej na 'ud. Ale chodzi o to samo, prawda?

– Proszę na chwilę zamilknąć – szepcze doradca – ci amerykańscy bogacze przywykli, że to inni ich słuchają. Niech pan da jemu mówić. I proszę wyjąć rękę ze spodni.

Danino milknie i wpycha rękę za pasek. Stoją w milczeniu pośrodku lobby jedyne go luksusowego hotelu w mieście. Lobby jest zbyt ciche. Nie rozlega się tu stukot ciągniętych walizek. Nie podzwaniają drzwi windy, otwierające się na oścież. Kiedy wybrano go na burmistrza, Danino obiecał przede wszystkim, że

w ciągu dwóch lat miejsca w tym hotelu będą zajęte w stu procentach, a tu proszę, sytuacja wcale się nie zmieniła. Turyści nadal wolą zatrzymywać się w pensjonatach w okolicznych miejscowościach. Albo w hotelach nad Jeziorem, w którym jest Woda. Icchaki pewnie wypomni mu to w swojej kampanii. Wyśmiej jego obietnice. Ale chwileczkę, dlaczego w ogóle teraz o tym rozmyśla? Jak te przygnębiające wizje zakradły się do niego w dniu, który ma być pełen triumfów i uniesienia?

– Dziękuję za ciepłe słowa – odzywa się wreszcie Jeremia Mendelstrum. – I za gościnne powitanie. W harmonogramie, jaki znalazłem w pokoju, przeczytałem, że planujecie na dzisiaj wizytę na grobach cadyków, ale za pozwoleniem: z całej duszy pragnę nareszcie ujrzeć myk-wę. A w naszym wieku odwiekanie przyjemności jest ryzykowne, jeśli rozumie pan, do czego zmierzam.

Danino się waha. Zamierzał wcześniej pojechać sam do mykwy, by upewnić się, czy wszystko jest w porządku. Co prawda obserwatorzy, których wysłał na przeszpiegi, donosili mu, że miejsce to tętni ożywioną działalnością, ale zawsze lepiej sprawdzić dwa razy.

– Proszę posłuchać – zwraca się do gościa z Ameryki – później może być przyjemniej, gdy chodzi o pogodę...

– Niech pan zrobi, o co on prosi – szepcze doradca. – Ci bogacze nie są przyzwyczajeni, żeby z nimi dyskutować...

– Ale jeśli to dla pana takie ważne – poprawia się Danino – limuzyna zawiezie nas tam natychmiast.

– To dobry moment, żeby dać mu tabliczkę – szepcze doradca.

– A oto tabliczka, o którą pan prosił, gotowa, naturalnie – mówi Danino i daje znak Ben Cukowi, który wyjmując pożądaną tabliczkę, na której znajduje się podwójny napis, po hebrajsku i po angielsku. Mendelstrum sięga po nią, ujmując ją mocno i gdy tak stoi pośrodku lobby hotelu Etrogim, do oczu napływają mu łzy.

Do oczu napływają mu łzy, bo po raz pierwszy od odejścia żony rozumie, naprawdę rozumie, że ona już do niego nie wróci. Ma w oczach łzy, bo jej imię, wypisane na tabliczce, nie zagościło na jego wargach, odkąd odeszła. Przy Jonie mówił o niej „żona”, przy dzieciach nazywał ją „mamą”, a teraz pojawia się przed nim wyraźnie imię, wypisane wielkimi literami w dwóch językach, i wprawia w drżenie jego struny dokładnie tak jak za pierwszym razem, gdy ktoś wskazał głową w jej kierunku, na tamtej uroczystości obrzezania, mówiąc, popatrz na tę dziewczynę. Płyną łzy, bo staje mu przed oczami, jak wraca z mykwy w New Jersey. Wchodzi do domu. Ma wciąż wilgotne włosy, a jej ciało pachnie z daleka czystością i pożądaniem. Jego żona nie przestrzegła skrupulatnie wszystkich nakazów religii i niekiedy sprzeczała się o to (jak zbędne wydają się te kłótnie z perspektywy czasu), ale do mykwy akurat lubiła chodzić. Kiedyś mu to wyjaśniała: gdy wypowiadam słowa modlitwy „obmyj ze mnie każdy występek

i każdy smutek” i zanurzam się, czuję, że to naprawdę się dokonuje. Woda naprawdę mnie oczyszcza. I dana mi jest realna szansa rozpoczęcia od nowa, bycia w tym miesiącu inną osobą. Lepszą. Jeśli o mnie chodzi, jestem całkiem zadowolony z osoby, którą teraz jesteś, powiedział wtedy, a ona podeszła i położyła mu rękę na piersi, mówiąc: cóż, nie jesteś obiektywny.

Wpatruje się znowu w tabliczkę z jej imieniem. Gdy tego ranka obudził się obok Jony w hotelowym pokoju, chciał podzielić się tym, co wydarzyło się w nocy, ze swoją żoną, z osobą, która przez pięćdziesiąt lat była jego najlepszą przyjaciółką, i już w tamtej chwili zbierało mu się na płacz, ponieważ było to niemożliwe i nie będzie możliwe już nigdy, ale opanował się z szacunku dla kobiety, która leżała obok niego, całkiem bezbronna w swej nagości; teraz jednak, na widok tabliczki, zakazany płacz wydostał się na zewnątrz.

Płacze po cichu, bez siąkania nosem lub chowania twarzy w dłoniach. Łzy odrywają się od oczu jak małe łódeczki od głównego statku, spływają w dół, jedna za drugą, do kącików ust.

– Coś nie w porządku? – Danina ogarnia lęk. – Jeśli jest jakiś problem, proszę tylko powiedzieć, mo-żemy...

Ale Jona spojrzeniem daje mu znak, by ich zostawił, i staje u boku Jeremiaha, dostatecznie blisko, by wiedział, że go kocha, i na tyle daleko, by czuł, że nie wdziera się nieproszona.

Dłuższą chwilę Jeremiaha Mendelstrum stoi w hotelowym lobby i roni łzy. Mijają go pokojówki idące z pościelą. Boy ciągnie pojedynczą walizkę. Grupa pracowników kuchni przychodzi na swoją zmianę. Danino, Ben Cuk i doradca wbijają wzrok w czubki butów i splatają ręce za plecami, jakby rozbrzmiewała właśnie syrena ku czci poległych.

A Jeremiaha Mendelstrum wciąż płacze. Bez końca. Całą górną część koszuli ma przesiąkniętą łzami.

Dopiero gdy wyleje wszystkie łzy, zwraca tabliczkę Ben Cukowi i mówi:

– *Okay, gentlemen, now we can go.*

Jadą długą kolumną. Na czele biała limuzyna, za nią pojazdy członków rady miejskiej z partii Danina, samochody członków biura promocji miasta, lśniący wóz doradcy z Miasta Grzechu i jeszcze jeden samochód z dwoma fotografami, którzy mają za zadanie dokumentować wszystko, by burmistrz mógł włączyć zdjęcia i filmy do swojej kampanii wyborczej, a na końcu, ostatni w kolumnie pojazdów, samotny, prywatny samochód Moszego Ben Cuka, który wjeżdżając na rondo znajdujące się przed podjazdem do osiedla Źródło Dumy, wykonuje pełne okrążenie i zawraca tą samą drogą. Nie jest w stanie pojechać znowu do mykwy, bo już nigdy nie będzie można powtórzyć tego, co tam uczynił.

Kolumna pojazdów, jak długa stonoga, nie wyczuwa odłączenia się jednego samotnego Ben Cuka i pnie się dalej wytrwale pod górę, aż dociera do wjazdu na

osiedle, a tam kierowca limuzyny jest zmuszony zatrzymać się, bo pośrodku drogi stoi koń.

Piękny koń, z krągłym sterczącym zadem, przesadził ogrodzenie i udało mu się uciec z padoku, a teraz stoi sobie, pijany nieoczekiwaną wolnością, wężąc, skąd nadlatuje wiatr, i zastanawia się, w którym kierunku się zwrócić. Krótki, niecierpliwy dźwięk klaksonu kierowcy limuzyny zacina go jak batem i koń zaczyna galopować, kierując się na północ, z powrotem do rodziny, do krajobrazów libańskiej ojczyzny, jego piękne mięśnie grają napięte pod skórą, przyjemne drżenie wysiłku przebiega jego czekoladową sierść i nogi unoszą go coraz dalej, dalej, do domu.

Przejazd jest wolny, ale kierowca limuzyny rusza naprzód powoli, z wahaniem kogoś, kto szuka drogi, i na koniec zatrzymuje się na poboczu obok mykwy. Za nim parkuje reszta pojazdów. Część przy krawężniku, część przy krawężniku po drugiej stronie jezdni, a kilku kierowców nawet ośmiela się zaparkować na pustych miejscach parkingowych mieszkańców osiedla.

Danino gramoli się pierwszy z limuzyny i spieszy otworzyć drzwi dla Mrs Jony i Mister Mendelstruma, który wysiada, osłaniając oczy dłońmi, i patrzy w zdumieniu na niewielką publiczność wysiadającą z kolumny samochodów i zbierającą się wokół. Danino nachyla się do niego i pyta:

– Zechce pan własnoręcznie przybić tabliczkę? Czy jeden z moich ludzi ma to zrobić?

Mendelstrum kręci przecząco głową, co dezorientuje Danina, który nie jest pewien, czemu rozmówca zaprzecza, dlatego nachyla się ponownie i pyta:

– Jak pan chce, byśmy to przeprowadzili, Mister?

Mendelstrum przymyka oczy i mówi:

– Chciałbym mieć chwilę prywatności, jeśli można. Chcę obmyć się w mykwie samotnie, jeśli to wam nie przeszkadza.

– Naturalnie – zapewnia Danino. – Nie ma najmniejszego problemu.

Rusza naprzód i otwiera przed nim furtkę. (Gdzie jest *balanit*? – przemyka mu przez myśl. Czy nie powinna być tutaj? Szuka wzrokiem Ben Cuka, ale także on gdzieś się nagle zapodział). Mendelstrum przechodzi przez furtkę i idzie naprzód powolnym krokiem, w którym jest zarówno autorytet, jak i coś ze starości, do części przeznaczony dla mężczyzn (biada, myśli Danino, jeśli drzwi będą zamknięte, a tylko Ben Cuk ma klucz. Gdzie się ten sukinsyn podziewa, jak jest potrzebny?), kładzie rękę na klamce, otwiera bez trudu drzwi i wchodzi do środka.

Po siedmiu minutach niebo nad Syberią przeszywa wycie syreny ambulansu.

Koncert znanej klarncistki, Jony Awiezer, który miał się odbyć wieczorem, został odwołany. Ci, którzy wykupili bilety, mogą odzyskać pieniądze lub otrzymać w zamian bilety na inne występy w ramach festiwalu.

Tak brzmi oficjalny komunikat na kartce nad kasą biletową festiwalu oraz

u wejścia do amfiteatru. Ale pogłoski (którym mieszkańcy Miasta Cadyków z biegiem lat nauczyli się ufać bardziej niż oficjalnym komunikatom) mówią co innego: klarncistka o międzynarodowej renomie wykonuje cały koncert, bez skrótów, przy łóżku swego partnera na oddziale intensywnej terapii miejscowego szpitala.

Zebrały się tam dziesiątki ludzi, którzy tłoczą się teraz na korytarzach przylegających do pokoju Jeremiaha Mendelstruma. Część stoi. Część opiera się o ściany. Część przyniosła z domów składane krzeselka i stają na nich, by lepiej widzieć, a wszyscy jak jeden mąż przysłuchują się w idealnej ciszy grze Jony. Jak czysta modlitwa rozchodzą się dźwięki klarnetu wśród szpitalnych sal, przywracają utracony oddech cierpiącym na astmę, uspokajają drżenie kolan u chorych na parkinsona i przywołują przejrzyste, uporządkowane wspomnienia w mózgach chorych na alzheimera. Tylko Jeremiaha Mendelstruma nie udaje im się obudzić ze śpiączki, w którą zapadł po tym, jak dostał ataku serca w mykwie na Syberii. I tak Jona siedzi i gra, przez trzy dni i trzy noce, *Kolumnę Ognia*, *Gdybym był bogaty*, *Dybuka*, *Skrzypka na dachu*, sprawiając, że kolejne zmiany słuchaczy na korytarzach zastępują swoich poprzedników, między jednym utworem a drugim przerywa jedynie na kilka sekund, tylko by zwilżyć usta, i natychmiast gra dalej, tworzy błyskotliwe improwizacje, których nigdy, przenigdy nie uda się jej powtórzyć...

Aż w końcu, akurat wtedy, gdy porzuca repertuar żydowsko-religijny, który wydaje jej się odpowiedni do tego miasta i sytuacji, i zaczyna grać starego, czarnego bluesa Michela Beydana, z refrenem, który prosi, błaga: „Nie opuszczaj mnie, zanim cię nie odnajdę”, Jeremiah podnosi powoli powieki, ociera małym palcem grudki, które zebrały się w kącikach oczu, i pyta ze zdumieniem:

– Gdzie ja jestem? Co się stało?

Jona odkłada klarnet, niemal niewidocznym gestem prawej dłoni odprawia do domów setki słuchaczy, i zapewnia:

– Wszystko w porządku. Poczuleś się trochę niedobrze po uroczystości w mykwie, to wszystko.

– To dziwne – mówi Jeremiah – nie pamiętam nic z tego, co tam się działo. Wszystko jest zatarte.

Jona kładzie dłoń na jego dłoni i myśli, że czasem przekazanie słów prawdy jest największym grzechem, a potem mówi:

– To była bardzo podniosła uroczystość. Wzruszająca. A sama mykwa jest cudowna. Wyjątkowa. Twoja żona cieszyłaby się, gdyby wiedziała, jak ją upamiętniłeś.

Także Danino usiłował zatrzeć w pamięci to, co wydarzyło się w mykwie na Syberii. Natychmiast po odjeździe ambulansu zebrał wszystkich obecnych i za radą doradcy public relations zaprzysiągł ich, by nie mówili nikomu ani słowa o tym, co

tam się zdarzyło, by nie było to wodą na młyn Jirmijahu Icchakiego. Ale pokusa okazała się zbyt silna dla jednego z członków rady miasta, który sprzedał informację w zamian za obietnicę miejsca na liście w kolejnych wyborach.

Jirmijahu Icchaki nie spieszył się z rozpowszechnieniem tej informacji, postąpił nawet z pewną dozą humanitarnego współczucia, na które mogą pozwolić sobie jedynie ludzie całkiem pewni wygranej. Wezwał Awrahama Danino do siebie, do świętego miejsca na dziedzińcu przed swoim domem, a gdy ten wszedł, poprosił doskonale znanym burmistrzowi tonem, „by zamknął za sobą drzwi”.

– Może mimo wszystko trzeba było posłuchać Nataniela Hanachby – rzekł szyderczo, gdy usiedli, a Danino próbował udawać, że nie rozumie, o co chodzi.

– Wiem wszystko. – Pochylił się ku niemu Icchaki. – Wiem dokładnie, co ujrzeli ludzie, którzy wbiegli do mykwy po Mendelstruma. Wiem o złamaniu nakazu rozdzielenia płci, o napojach wyskokowych, o... dość, nie chcę kłaść swych ust, mówiąc o tym. Obaj wiemy, że gdy ta afera dotrze do mediów, to cię zniszczy. Boję się tylko, że zniszczy także przyszłość tego miasta. Czy wiesz, jaką reputację zyskamy wśród religijnej części społeczeństwa? Wśród turystów? Jak po takiej hańbie będziemy mogli mienić się Miastem Cadyków? Tylko sabataiści i frankiści zechcą tu przyjeżdżać. I co zrobimy ze wszystkimi, którzy zechcą tamtych ukamienować?

– Co w takim razie proponujesz? – pyta Danino, a jego ręka, przestraszona, po raz pierwszy od dwóch kadencji nie znajduje się w spodniach, lecz spoczywa wciśnięta pod prawe udo.

– Ogłoś rezygnację – powiedział Icchaki – a w zamian za to pogrzebię całą aferę. Za płotem.

– Niech pan chwytą jego propozycję oburącz – rozstrzygnął doradca do spraw public relations z Miasta Grzechu.

Siedzieli w jego samochodzie niemieckiej produkcji na parkingu urzędu miasta, a radio wygrywało przeboje w rytmie salsy.

– W zaistniałej sytuacji – orzekł doradca – to najlepsza propozycja, jaką pan otrzyma. Proszę zrobić sobie urlop od życia politycznego. Niech pan na kilka lat zajmie się domem. A w czasie kolejnych wyborów, gdy Icchaki uwikła się we własne afery, niech pan znów się z nim zmierzy. Pamięć wyborców w Izraelu jest krótka jak pistolet uzi.

– Co mam tymczasem robić? – Danino utkwiał wzrok w doradcy. – Rozumie pan, ja ciągle muszę być zajęty. Za każdym razem, gdy mam zbyt wiele czasu na myślenie, myślę o... moim synku... mam przed oczami jego twarz... jak zamknął oczy, gdy wzrosła mu gorączka...

Doradca zabębnił po kierownicy w rytmie salsy i powiedział:

– Co pan ma robić? A bo ja wiem? Niech pan założy winiarnię i stworzy własną markę wina. W Mieście Grzechu to teraz modne. Przypuszczam, że do tej

waszej dziury też w końcu dotrze. Może nawet mógłbym zostać pańskim współnikiem? Niejawnym. Na pewnym etapie.

– Naprawdę? – zapytał z powątpiewaniem Danino, chociaż jednocześnie poczuł się tym zbudowany.

– Zastanowię się. Ale pod warunkiem, że nie weźmie pan tego typka, Ben Cuka. To pracowity facet, bez dwóch zdań. Ale nie ufam tym nawróconym. Ktoś, kto raz przeszedł na drugą stronę, zawsze może przejść z powrotem.

W dniu, w którym samochód Ben Cuka odłączył się od sznura pojazdów zmierzających do mykwy i podążył z powrotem do domu, z kryjówki za butlami na gaz wyszła ku niemu Ajelet-Bat El z pytaniem w oczach.

– Nie tutaj – powiedział Ben Cuk i poprowadził ją w boczną uliczkę.

Tam z okna wyjrzała zaraz czyjaś głowa, przycupnęli więc w innej uliczce, w którą raptownie wbiegła grupka dzieci, goniących za własnym śmiechem, potem schronili się w parku, który o porannej porze był pełen spragnionych piersi niemowląt i ich spragnionych plotek mam, wygnani stamtąd przebiegli przygarbieni, jakby chroniąc się przed ostrzałem spojrzeń, do opuszczonej osady artystów, do zrujnowanego domu, w którym kiedyś mieszkał naprawdę wielki malarz, założyciel prawdziwej szkoły malarskiej, a dziś roiły się tam czarne koty, które rozpierzchły się po wszystkich kątach, gdy weszli.

Promień późnego słońca, załamujący się w oknie, złocił koniuszki włosów Bat El.

– Jestem w ciąży – powiedziała.

– Skąd wiesz? – zapytał. – Przecież nie minęło nawet...

– Wiem – oświadczyła, kładąc dłoń na brzuchu. – Po prostu wiem.

– Co zamierzasz? – zapytał, kładąc dłoń na jej dłoni spoczywającej na brzuchu.

– Możemy uciec – powiedziała. – Wyjechać najdalej, jak tylko się da, z kraju Co Ludzie Powiedzą i razem założyć dom. Jeśli zechcesz, oczywiście. Chcesz?

Także do tej chwili będzie bez końca wracać w myślach przez następne lata i torturować się świadomością.

Czarny kot wrócił, sprawdzając zza rozbitej szyby, czy teren jest wolny. Samochód sprzedawcy lodów wygrywał w oddali melodyjkę.

A język Ben Cuka przysechł do podniebienia.

– Posłuchaj, to... nie takie proste. Mam rodzinę. A co z awanturą, która potem wybuchnie? Nasze dziec-ko będzie bękartem... Przecież wszyscy nas zbojkotują... Jak się dowiedzą...

– Wiem tylko tyle, że ty jesteś ojcem, a ja chcę urodzić to dziecko – powiedziała Ajelet-Bat El. – Tym razem z niego nie zrezygnuję. Chcę, żeby to było dla ciebie jasne.

– Naturalnie... Nie wolno podwajać grzechu – odparł Ben Cuk. – Ale,

jeśli... trzeba sprawdzić... poinformować...

– Wyjeżdżam jutro rano – oznajmiła. – Dzisiaj o północy będę na ciebie czekać w tym domu. Jeśli przyjdiesz, to przyjdiesz. Jeśli nie, wyślę ci jej ślubne zdjęcie.

– Czyje?

– Twojej córki. Nie pytaj, skąd wiem, że to dziewczynka.

– Po prostu wiesz, tak? – powiedział Ben Cuk, ujmując jej dłonie.

Mimo że zaledwie kilka dni wcześniej uprawiali zapamiętałe miłość, nadal znać było wielkie wahanie w sposobie, w jaki jej dotykał. To ona na koniec przyciągnęła go do siebie, uniosła jego ramiona jak lalkarz poruszający marionetką i położyła je na swoich biodrach, mówiąc:

– Ty jesteś mi przeznaczony, Moszik. A ja jestem twoją przeznaczoną ci kobietą. Próbowaliśmy uciec przed tym na wszystkie możliwe sposoby, ale Najwyższy zwyczajnie nam na to nie pozwolił.

Moszik powoli skinął głową z czymś, co w owej chwili wydawało się Ajelet-Bat El zgodą. I nie tylko jej. On także przebył krótką drogę do domu z uczuciem, które wzrastało i gęstniało w decyzję, że nie może przepuścić tej okazji do naprawy, do *tikun*, danej mu przez Niebiosą, i wchodząc po schodach, usiłował przypomnieć sobie, gdzie jest schowana duża walizka, której użyli raz, w czasie rodzinnych wakacji nad Morzem Martwym, i której od tamtej pory nie widział. Pewnie leży na pawlaczu, uspokajał się, wdychając głęboko woń czosnku, wykorzystywanego do przetworów, która zawsze ulatywała z ich kuchni na klatkę schodową, jakby to był zapach róż, a ładną porcelanową tabliczkę na drzwiach wejściowych z nazwiskiem „Ben Cuk” obrzucił długim, przeciągłym spojrzeniem człowieka, który wyjeżdża, i zanim wyruszy w drogę, stara się wyryc w pamięci ostatnie obrazy swego domu.

Ale w domu czekała go niespodzianka: młodszy syn, który leżał na niebieskiej kanapie w salonie. Z zamkniętymi oczami. Z wilgotną szmatką na czole.

– Dobrze, że jesteś, już sama nie wiem, co począć. – Menucha wyszła szybko z kuchni. – Przywieźli dziec-ko z przedszkola... Dostał gorączki. Miał trzydzieści osiem i jeden, a teraz ma już trzydzieści dziewięć i dwie kreski i nie wiem, co... Zrobiłam mu chłodną kąpiel. Robię mu okłady. Ugotowałam rosół. Ale on nie chce nic tknąć.

– Kiedy mierzyłaś mu ostatnio temperaturę? – zapytał Ben Cuk.

– Dwadzieścia minut temu – powiedziała Menucha. – A kilka minut temu położyłam mu rękę na czole. Jest cały rozpalony.

– Zmierzmy mu znowu temperaturę – rzekł, a ona podała mu termometr.

Mosze pochylił się nad synkiem i poprosił:

– Kochanie, otwórz na chwilę buzię.

Młodszy syn otworzył jedno oko i powiedział:

– Tato, walizki nie ma na pawlaczu, pożyczylimy ją wujkowi Aharonowi.

– Już od godziny jest taki – jęknęła Menucha. – Walizki nie ma na pawlaczu, walizki nie ma na pawlaczu. Nie mam pojęcia, o co mu chodzi.

– Chodź, kochanie. – Wewnętrzna gorączka Moszika musiała ustąpić wobec gorączki dziecka. – Otwórz buzię. Włożymy termometr. Ślicznie. Teraz zamknij. Doskonale.

Słupek rtęci podskoczył w chwili, w której wargi dziecka dotknęły termometru. Po dwóch minutach minął liczbę czterdzieści bez zatrzymywania się, a po kolejnej minucie zatrzymał się o jedną kreskę przed liczbą czterdzieści jeden.

Czterdzieści i dziewięć kresek. Liczba ta była znana Moszikowi, ale dopiero po kilku sekundach przypomniał sobie, do którego rozdziału we wszystkich rozdziałach jego wspomnień należy. Synek Danina. Kiedy zmierzili mu w domu temperaturę. Tyle właśnie pokazywał termometr. Danino opowiedział mu o tym kiedyś w przepływie szczerości, gdy stali razem na balkonie po kolacji szabatowej w jego domu. Zawieźli dziecko natychmiast do szpitala, ale było za...

– Chodź – powiedział do Menuchy i dźwignął synka z kanapy. – Jedziemy na izbę przyjęć.

– Ja tylko... muszę się przygotować, to potrwa chwilkę – odparła Menucha i pospieszyła po przykrycie na głowę i tomik Psalmów.

– Walizki nie ma na pawlaczu, walizki nie ma na pawlaczu – mamrotał chłopczyk, zarzucając ręce na szyję ojca, który niósł go do samochodu, a Ben Cuk czuł, jak żar ciała synka przenika przez jego ubrania i warstwy ochronne, roztopiając wszelkie postanowienia.

– O co chodzi z tą walizką? – zapytała Menucha półgłosem.

Ben Cuk milczał. Zapalił silnik. I zaczął jechać. Przejechał na żółtym świetle.

– Ma rację, nawiasem mówiąc – odezwała się Menucha drżącym głosem.

– W czym? – Także Ben Cuka ogarnęło drzenie.

– Walizka naprawdę jest u Aharona. Dałam mu ją, gdy jechali w święta do Humania.

– Aha – mruknął Ben Cuk.

I przejechał na czerwonym.

Chłopiec wyszeptał:

– Walizki nie ma... – I nie starczyło mu sił na dokończenie zdania.

Ben Cuk spojrział na niego w lusterku, Menucha odwróciła głowę i oboje zobaczyli, jak powieki dziecka powoli opadają.

Menucha pękała, jak głos. Wzniosła oczy do góry i zawołała, zwracając się do sufitu samochodu:

– Dlaczego nas to spotyka? Czym zgrzeszyliśmy, ojcze?

Ben Cuk zacisnął mocniej, aż do bólu, palce na kierownicy, i nadepnął na pedał gazu, przypominając sobie malutki grób synka Danina na skraju cmentarza, bez macewy, sam słupek z kartonową tabliczką, a na nim imię dziecka, przypomniał sobie i modlił się bezgłośnie, nie poruszając nawet wargami: tylko nie to. Ze wszystkiego jestem gotów zrezygnować, Boże w Niebiosach, tylko spraw, żeby przeżył.

W tej samej chwili, gdy koła samolotu Ajelet i jej męża oderwały się od pasa startowego w drodze na Brooklyn, gorączka młodszego synka Moszego w końcu spadła. Tak gwałtownie, jak wzrosła. Na jego ciele wystąpiła czerwona wysypka, znak, że wszelkie zagrożenie życia minęło.

– Medycyna nie ma wytłumaczenia na wszystko – tłumaczył lekarz opiekujący się dzieckiem.

– Wszystko zostało uczynione Jego słowem – dodał stażysta z głową przykrytą czarną jarmułką, który mu pomagał.

Ben Cuk powiedział sobie, że zaczeka kilka dni, zanim wyruszy śladem Ajelet. Tylko po to, by upewnić się, że syn odzyskuje zdrowie. Potem w rodzinie Menuchy odbywała się bar micwa i byłoby nieładnie nie przyjść. A potem zjawiała się propozycja Jirmijahu Icchakiego, który wygrał wybory i zaoferował, by został jego prawą ręką, z podwyżką pensji. (Zajmował się tymi samymi sprawami co wcześniej. Poza dziedziną mykw, która za obopólną zgodą została wyłączona z jego zakresu obowiązków). Potem przyszły święta. I minęły. A później zastrzelono premiera na placu, co sprawiło, że wszyscy zaczęli zachowywać się z przesadną ostrożnością, zarówno na drogach, jak i w pozostałych kwestiach życiowych.

W drodze z Santa Elena do Monteverde Naima i Dianę łapie ulewny deszcz, taki, który przenika przez najgrubsze kurtki, schodzą więc z upstrzonej kałużami gruntowej drogi do lasu, chcąc znaleźć schronienie pod rozłożystymi gałęziami jednego z drzew jobjoby, będących odpowiednikiem drapaczy chmur w mglistym lesie. Dłuższą chwilę siedzą przytuleni do siebie na podściółce z liści i patrzą, ze spokojem podróżników, jak wszystko wokół moknie, słuchają w skupieniu delikatnego bębnienia kropli.

Nie słychać ćwierkania, lecz co kilka minut łopoczą nad nimi krótko i rzeczowo skrzydła jakiegoś ptaka, który szuka schronienia, a nie wędrówki.

Kiedy ulewa częściowo ustaje, wstają z miejsca, by ruszyć w dalszą drogę do rezerwatu Monteverde, i odkrywają, że ich ubrania są tak nasiąknięte wodą, że niemal nie da się iść w nich dalej.

– Czytałem w „Lonely Planet”, że wzdłuż tej drogi co jakiś czas spotyka się domy miejscowych – mówi Naim. – Może wrócimy do ścieżki i pójdziemy nią dalej prosto, aż natkniemy się na jeden z nich i wejdziemy trochę się osuszyć?

Diana kiwa głową. Od trzech miesięcy podróżują razem po Kostaryce i Naim

nauczył się rozróżniać rozmaite rodzaje skinień. Tym razem jest to skinienie obojętne, które oznacza: cieszę się, że przejmujesz odpowiedzialność za sytuację, bo moje myśli są teraz gdzieś indziej.

Po kilku minutach marszu w błocie zauważają domek ukryty między dwoma wzniesieniami.

Z komina na dachu unosi się dym, i oboje zbaczą z drogi, kierując się w jego stronę. Ułożona z desek ścieżka umożliwia przeskakiwanie nad błotem i kałużami oraz dotarcie tuż pod drzwi – które raptownie się otwierają. Mężczyzna i kobieta, brzydcy, a zarazem jakoś ładni, stają na progu ze słowami:

– Wejdźcie, wejdźcie, czekamy na was.

Naim i Diana wymieniają zdumione spojrzenia, ale trzymiesięczna wędrówka nauczyła ich, że powiedzenia „tak” żałuje się znacznie mniej niż „nie”, a w środku dostrzegają płonący kominek, wchodzą więc. Zauważają stojące obok paleniska dwie walizki.

– Zjecie zupę? – proponuje mężczyzna.

– Nie, dziękuję – mówi Naim, który się krępuje.

– Tak, dziękuję – powiada Diana, która uwielbia zupę ponad wszystko.

Mężczyzna przynosi dwie głębokie drewniane misy i nalewa do nich czerwony płyn.

– Jestem Jeff – mówi i podaje im miski.

– A ja Selina – przedstawia się kobieta.

Naim i Diana również się przedstawiają, a potem zapada cisza, w której rozlega się tylko ich siorbanie z misek z zupą. Kiedy zdają sobie z tego sprawę, usiłują włożyć każdą łyżkę w całości do ust, by uciszyć odgłosy.

– Chodź – mówi Selina do Diany, gdy ta kończy jeść. – Pokażę ci dom.

– Chodź – odzywa się Jeff do Naima. – Pokażę ci ogród.

Wychodzą na dwór, na deszcz, który teraz leciutko mży.

– Posłuchaj, *amigo* – zwraca się do niego Jeff. – Jeśli o mnie chodzi, przyrody najlepiej nie ruszać. Ale tutejsze deszcze czasami są tak silne, że mogą zalać dom. Zrobiłem więc coś w rodzaju rowu, który odprowadza wodę do wąwozu.

Naim przygląda się nieudolnie wykopanemu kanałowi i wie, że z łatwością potrafiłby zbudować lepszy.

– Nie brak tu drewna na opał, jak pewnie sobie wyobrażasz – ciągnie Jeff.

– Problem w tym, że czasami jest zbyt mokre, żeby się rozpalić. Dlatego zmajstrowałem to – wskazuje niewielką blaszaną wiatę. – Urządziłem suchy kąć do pracy, gdzie można rąbać drewno.

Naim patrzy na zaimprovizowaną drewnutnię, na drwa i siekiery, które leżą rozrzucone na ziemi, i wie, że potrafi bez trudu znaleźć praktyczniejsze rozwiązanie.

– A to – Jeff na koniec kładzie rękę na ramieniu Naima i prowadzi go z powrotem do domu – oznacza, że jeśli taki delikatny mieszczuch jak ja poradził sobie tutaj, każdy sobie poradzi.

W domu czekają na nich Diana i Selina. W oczach Diany jest nowe spojrzenie, inne, niepodobne do żadnego z dziesiątek spojrzeń, jakie nauczył się rozpoznawać w ciągu miesięcy podróży, w jej źrenicach tańczą płomyki z paleniska.

– Okay – mówi Selina. – Jeśli nie macie więcej pytań... to będziemy już szli.

Naim i Diana wymieniają szybkie spojrzenia, uzgadniając między sobą: które z nich zostanie zmuszone do zrujnowania całej zabawy?

– Mmm... – zaczyna Diana, a Naim podejmuje:

– Chyba zaszła pomyłka. Najwyraźniej czekaliście na kogoś konkretnego... Przechodziliśmy tędy przypadkiem.

– Wiemy o tym – mówi Selina. – Po prostu... Widzieliśmy was wcześniej, gdy siedzieliście pod drzewami, słuchając kropli deszczu. Oboje uznaliśmy natychmiast, że się nadajecie.

– Nadajemy? Do czego?

– Ten dom od pięćdziesięciu lat przechodzi z rąk do rąk. Bez opłat i bez umowy, wyłącznie na podstawie zaufania – wyjaśnia Selina. – Ja dostałam go od mojej dobrej przyjaciółki, malarki. Pomyślała, że przyjazd tu zrobi dobrze mnie i Jeffowi. Sprawí, że nasza twórczość rozkwitnie. My też tak myśleliśmy. Ale odkryliśmy, że jesteśmy uzależnieni od zgiełku miasta, prawda?

– Nie przepadamy za ludźmi i zarazem nie możemy bez nich żyć – śmieje się Jeff i dodaje: – Zrozumieliśmy to kilka miesięcy temu, ale czekaliśmy, aż zjawi się ktoś odpowiedni, by nas zastąpić.

– To wszystko – podsumowuje Selina. – Zjawiliście się w samą porę, bo naprawdę musimy już jechać. Do stolicy, San Jose, odchodzi tylko jeden autobus dziennie i zatrzymuje się w Santa Elena dokładnie za godzinę.

– Chwileczkę, jak długo możemy tu mieszkać? – dowiadyuje się Diana.

– Jak długo chcecie – odpowiada Selina. – Byli tacy, którzy zostali na dwa tygodnie, inni mieszkali tu przez dziesięć lat. To całkowicie zależy od was.

Awraham Danino zmierza w kierunku ratusza. Świt jeszcze nie wstał i wciąż palą się uliczne latarnie. Mija go karetka jadąca do szpitala i Danino ma nadzieję, że ratownicy są zbyt zajęci, by zauważyć, że idący samotnie chodnikiem człowiek z brązowym kartonowym pudłem w rękach to odchodzący burmistrz. W budynku ratusza jeszcze nikogo nie ma. Długie, puste korytarze odbijają echem kroki, a pojedyncze światła palące się w pokojach świadczą o marnotrawstwie, nie zaś pracowitości. To już nie twój kłopot, przypomina sobie i przyspiesza. Przed drzwiami swojego biura przystaje, przekłada pudło do drugiej ręki i wyciąga z kieszeni pęk kluczy.

Nie zatrzymuje się ani przez moment pośrodku pokoju, by utrwalić tę chwilę. Ani żeby wciągnąć po raz ostatni do płuc aromat władzy. Nie ma na to czasu. Reuwen z archiwum ma zwyczaj przychodzić wcześniej, a on nie życzy sobie żadnych świadków. Zdejmuje ze ścian portrety wielkich przywódców i układa je jeden na drugim zgodnie z porządkiem, w jakim pojawiali się w życiu narodu: pierwszy Herzl, ostatni Begin. Na portretach kładzie ostrożnie liczne dyplomy uznania od Tajnej Jednostki, o której Wiedzą Wszyscy, a pozostałą pustą przestrzeń zapełnia drobiazgami, które przez wiele lat otrzymywał w prezencie od władz zaprzyjaźnionych miast na całym świecie: pióro z Tuluzy, kostka Rubika z Budapesztu, muszla z Zagrzebia.

Kiedy wychodzi z budynku, na dworze już zrobiło się jasno. Ale powietrze wciąż jest chłodne i przyjemne.

Z zaskoczeniem odkrywa, że niemal się cieszy. Powinno być mu smutno. A mimo wszystko odczuwa prawie zadowolenie. Przepelnione po brzegi pudło nie ciąży mu. Przeciwnie: ma wrażenie, jakby z każdą chwilą stawało się coraz lżejsze. Kiedy przejeżdża obok kolejna karetka i ratownicy medyczni widzą go przez okno, mówi sobie: co cię obchodzi, co oni sobie myślą. To tylko ludzie. Nie potencjalni wyborcy, nie opinia publiczna.

Ty także jesteś tylko człowiekiem.

W jego duszy dojrzewa postanowienie, że przejdzie obok supermarketu i weźmie jeszcze dwa kartonowe pudła.

Przed drzwiami domu przystaje, stawia pudła na ziemi i wyjmuje z kieszeni klucze. Na ogół, ilekroć ma wejść do środka, czuje niewyraźne ukłucie niechęci, ale nie tym razem. Tym razem jego serce jest lekkie, jak ręka, która sięga do klamki.

Stawia kartonowe pudła na podłodze, jedno obok drugiego, i zaczyna napełniać je nielicznymi rzeczami, których będzie potrzebował w nowym życiu. Nie przystaje na środku salonu, by zatrzymać tę chwilę lub odetchnąć po raz ostatni zapachem domu. Chce dokończyć pakowanie. Za mniej niż pół godziny obudzi się jego żona i wtedy porozmawiają.

Wie dokładnie, co jej powie. Przez całą kadencję te słowa chciały wyrwać mu się z gardła.

Kiedy Judith miała miesiąc, jej matka spakowała dwie duże walizy i wynajęła dla nich obu pokój w motelu na Brooklynie.

Yankee był w pracy.

Po powrocie znalazł list, czekający na niego na stole jadalnym.

„Wielkie kłamstwo, stojące między nami, zmusza mnie, bym okłamywała Cię codziennie w dziesiątkach drobnych spraw – pisała jego żona. – Nie mogę tak dłużej żyć”.

Nie zdziwił się tym, co zdradzała w dalszej części. Nie naprawdę. Ani

prośbą, którą zakończyła list.

W pewnym sensie cały czas wiedział. Już w Mieście Cadyków zauważył: ludzie mogą nas porzucić, także gdy wciąż przy nas są. Ich ciało zostaje, ale dusza ulatuje gdzie indziej.

Potem urodziła się Judith, która w ogóle nie była podobna do jego rodziny.

Dał sobie dwadzieścia cztery godziny od chwili przeczytania listu na przeżycie gniewu i drugie dwadzieścia cztery godziny na żałobę. Kiedy jedne i drugie upłynęły, zapalił fajkę, usiadł przy biurku w gabinecie i sformułował wstępną umowę rozstania.

Strona A (dalej: matka), napisane było w umowie, oświadcza, iż nie zgłasza żadnych roszczeń finansowych lub innych wobec strony B (dalej: ojciec) i bierze na siebie pełną i wyłączną odpowiedzialność za wszelkie wydatki związane z utrzymaniem strony C (dalej: dziec-ka). W zamian za to „ojciec” zobowiązuje się do utrzymania nieślubnego statusu „dziecka” w tajemnicy, by nie naruszyć jego widoków na przyszłe małżeństwo.

Kondukt żałobny Antona wyruszył z jego domu w stronę ścieżki wysadzonej topolami. Wszyscy mieszkańcy Syberii, poza dwiema staruszkami, które zwyczajowo zostały na ławce, odprowadzali pierwszego zmarłego z osiedla na wieczny spoczynek.

Katia szła na czele ludzkiego roju, niosąc urnę z prochami ukochanego, a u jej boku kroczył ojciec Nikołaj, syn Antona, który przyleciał z tej okazji specjalnie z Moskwy. Za nimi postępowali rodzice Daniela i sam Daniel, wysoki jak dorosły mężczyzna, trzymający za rękę dziewczynę imieniem Julia.

Nikita szlochał w głos, lecz pozostali szli w milczeniu. Powolnym krokiem. Szurając butami. Mężczyźni w marynarkach i długich płaszczach, które dzień wcześniej oddano do pralni chemicznej. Kobiety w eleganckich kapeluszach, które ostatnio znalazły się w ich garderobach.

(Po wyborze na burmistrza Jirmijahu Icchaki przeniósł wszelką działalność związaną z Nataniem Hanachbą na teren grobu, obejmujący ruiny mykwy na Syberii. Po całym kraju szybko rozniosła się pogłoska, że wizyta w miejscu kultu sprawia istne cuda w kwestii znalezienia małżonka i płodności, i Syberię zalały dosłownie tysiące pielgrzymów, którzy potrzebowali miejsc noclegowych po modlitwie na grobie cadyka. Po tym, jak mieszkańcy Syberii zobowiązali się do milczenia w owej nieszczęsnej kwestii, Icchaki zgodził się, by przerobili puste garaże na pokoje gościnne z wszelkimi wygodami, a nawet przyznał na ten cel środki z paragrafu „różne”, i w ciągu niespełna roku ich sytuacja ekonomiczna poprawiła się nie do opisanego).

Anton zmarł łagodnie, we śnie. Jakies półtora roku po zburzeniu mykwy.

Obok jego maszyny do pisania Katia znalazła testament.

Jeśli umrę latem, proszę, nigdzie nie idźcie. W waszym kraju jest za gorąco,

a nie chciałbym, żeby ktoś męczył się na moim pogrzebie. Jeśli dopisze nam szczęście i umrę w zimie, kontynuował, chciałbym, aby kondukt pogrzebowy przeszedł topolową ścieżką do miejsca, w którym droga skręca na prawo, w stronę jednostki wojskowej, i poszedł dalej prosto, jasną polną drogą, do małego lasu, z którego widać Niekiedy Białą Górę.

Prosił, by jego ciało spalono, a prochy rozsypano w dolinie pod lasem (sprawdźcie tylko najpierw kierunek wiatru, ostrzegł, żebyście nie dostali mną w twarz).

Prosił, by jego syn był obecny na pogrzebie. Ale żeby pod żadnym pozorem go nie prowadził. Prosił, by Katia ubrała się na niebiesko, nie na czarno. Bo lubi ten kolor.

Poza tym prosił, by na jego pogrzebie nie wygłaszano mów, oprócz tej, którą napisał sam dla siebie. Gromada żałobników szła przed siebie asfaltową ścieżką, na której opadające liście pozostawiły złociste i brązowe plamy. Zwierzęta unosiły głowy zdumione nowym zjawiskiem: tylu ludzi, w tak wielkim nagromadzeniu, nigdy nie zawitało na ich terytorium. Lisy zbiegły z pagórków, by lepiej zobaczyć, o co chodzi. Krowy podeszły do ogrodzenia z charakterystyczną ociężałością. A ptaki zataczały koła, rysując na niebie kręgi, które nigdy nie wracają dokładnie do punktu wyjścia.

W lasu, z którego widać było Niekiedy Białą Górę, wszyscy zatrzymali się, zwierzęta oraz ludzie, wspierając się o siebie nawzajem, by nie przewrócił ich podmuch porywistego wiatru.

Katia wyjęła z kieszeni kartkę i zaczęła czytać:

Umarł nasz Anton. Nie był szczególnie ważnym człowiekiem. Być może był ważny dla tych, którzy go kochali.

Umarł nasz Anton. Nie był szczególnie wesoły. Ale zawsze był gotów śmiać się z dobrego dowcipu.

Umarł nasz Anton. W życiu zdążył popełnić niemal każdy możliwy grzech. Ale nigdy nie zgrzeszył przeciwko sobie.

Starał się wznosić ponad banał, ponad to, co oczywiste, ale wiedział przez cały czas, że także w tych usiłowaniach jest coś banalnego.

W młodości był świadkiem wielkiej wojny, ale jego największą wojną była zawsze wojna wewnętrzna.

Umarł nasz Anton. Przed śmiercią, po wielu latach, gdy jego serce było całkowicie zamarznęte, udało mu się zdobyć miłość. Nie może miłość. Nie jakby miłość. Prawdziwą miłość. Miłość z całej duszy. A przez cztery dni i cztery noce, w zaczarowanym budynku, który już zburzono, znalazł także miłość cielesną. Uczyniłeś cud, powiedział Anton do Boga po tych czterech dniach, a przecież w ogóle w Ciebie nie wierzę.

Nasz Anton miał skomplikowane relacje z Bogiem. Czasami Go kochał.

Czasem złościł się na Niego. Czasem twierdził, że On nie istnieje. Czasem, że wymyślili go zrozpaczeni ludzie. Kilka dni przed śmiercią napisał na swojej maszynie „miłość to Bóg”, ale także z tym zdaniem niezupełnie się zgadzał.

Umarł nasz Anton. Daleko od domu, w którym się urodził. Dość daleko czy zbyt daleko? Trudno powiedzieć. Może dlatego chciał przyprowadzić nas do tego miejsca, naprzeciw Niekiedy Białej Góry, byśmy pamiętali także o „Tam”.

Umarł nasz Anton. Król upadł i leży na szachownicy, z głową na czarnym polu. Ale niebawem ktoś pozbiera figury i, miejmy nadzieję, jutro rozegra kolejną partię.

Kiedy Katia złożyła kartkę z mową i schowała ją z powrotem do kieszeni, grupa ludzi obróciła się na pięcie i pogrążona w myślach wróciła powolnym krokiem na osiedle. Wojskowa ciężarówka, wioząca nową zmianę żołnierzy do Tajnej Jednostki, o której Wiedzą Wszyscy, przepuściła ich na skrzyżowaniu. Nikołaj myślał: w ogóle nie znałem mojego ojca. Myślałem, że go znam, ale w gruncie rzeczy nigdy go nie poznałem. Katia myślała: oddam jego ubrania ojcu Danika, noszą mniej więcej ten sam rozmiar. A potem pomyślała: ale może zostawię sobie kilka rzeczy. Z powodu zapachu. Daniel myślał: to nie w porządku, że na pogrzebie mojego ukochanego dziadka przez cały czas myślę o Julii. Nikita myślał: kto następny? Teraz, gdy tama pękła, kto będzie następny w kolejce?

Kto następny w kolejce? Myśl Nikity zawędrowała do głowy Gruszkowa, z niej do głowy jego żony, i w ciągu kilku sekund zaczęła odbijać się bezgłośnym echem w głowach wszystkich idących: kto następny w kolejce? Kto następny w kolejce? Kto następny w kolejce? Kto następny w kolejce? I wszyscy patrzyli po sobie przerażeni.

Po dłuższej chwili ten ogólny pęd zatrzymał się i każdy wrócił do swoich osobistych, codziennych myśli. Dopiero gdy zbliżyli się do terenu grobu Nataniela Hanachby, gdzie kiedyś stała mykwa, którą przez pomyłkę wzięto za klub szachowy, a potem za łaźnię – wszystkie strumienie świadomości zatrzymały bieg, ustępując przed jednym obrazem, wyraźnym i niezatartym, którego wspomnienie przywiodło na wargi mieszkańców Syberii wstydlivy uśmiech:

Anton, nagi jak go Pan Bóg stworzył, wybiega z budynku mykwy i czystym rosyjskim oraz energiczną gestykulacją usiłuje wyjaśnić członkom rady miasta, czekającym na Mendelstruma od dłuższej chwili, że coś się stało, doradca z Miasta Grzechu błaga fotografów, by nie robili zdjęć, burmistrz chwyta się za głowę, Jona odrywa się od grupy i biegnie do mykwy, stado spłoszonych żurawi podrywa się z linii wysokiego napięcia, a Anton orientuje się nagle, że jest goły, i podczas gdy jedną ręką gestykuje, tłumacząc coś dalej, drugą usiłuje, bez powodzenia, zakryć nagość.

Koperta z zagranicznymi znaczkami leży wśród rachunków za wodę i za elektryczność i widząc ją, Mosze Ben Cuk natychmiast domyśla się zawartości. Czekając, aż Menucha zaśnie, wychodzi na balkon z widokiem na cmentarz i otwiera list ostrożnie specjalnym nożykiem. Patrzy na zdjęcie, a potem czyta załączoną karteczkę. Potem znowu patrzy na zdjęcie. Odwraca kopertę, by zobaczyć, czy z drugiej strony jest adres. I znowu patrzy na zdjęcie.

Siedzi na balkonie przez całą noc, dygocąc z zimna, dopiero o świcie wchodzi z powrotem do mieszkania, odmawia poranną modlitwę, potem ubiera się, wkłada kopertę ze zdjęciem do kieszeni płaszcza – nie przychodzi mu do głowy żadne miejsce, w którym mógłby je umieścić w domu – i idzie do samochodu. Zaczyna jechać w stronę ratusza, ale na skrzyżowaniu przy wjeździe do miasta jego ręce buntują się i obracają kierownicę, skręcając w stronę lasu.

Zaczyna padać deszcz i na polnej drodze wijącej się wśród drzew zbierają się pierwsze kałuże.

W weekendy na parkingu przed winiarnią nie można znaleźć wolnego miejsca, ale teraz jest środek tygodnia. I zima. Parking jest całkiem pusty. Tak lepiej, myśli Moszik. I parkuje. Idzie, kulejąc, w stronę wejścia. Kopertę wciąż ma w kieszeni płaszcza.

– Dobrze cię widzieć, cadyku – mówi Danino, gdy Mosze wchodzi do środka.

I bierze go w objęcia niczym ojciec ściskający syna.

– Wzajemnie – odpowiada Ben Cuk.

Siada na jednym z wysokich stołków przy barze.

– Co u ciebie? – pyta Danino.

– Chwalić Boga – mówi Ben Cuk.

– No a co w ratuszu? – interesuje się Danino.

Ben Cuk opowiada, zwracając uwagę jak zawsze, by odmalować bardzo problematyczny obraz, przy którym kadencja Danina załśni jasnym światłem.

– Biada uszom, które tego słuchają – wzdycha Danino ze szczyptą satysfakcji, a potem nalewa im obu po kieliszku czerwonego wina. – Co się dzieje, chłopcze? Wszystko u ciebie w porządku? – pyta i podaje mu kieliszek, wbijając w niego lśniące spojrzenie.

– Dlaczego pytasz? – Ben Cuk spuszcza wzrok.

– Mimo wszystko znam cię już dwadzieścia lat – mówi Danino.

Ben Cuk milczy, myśląc: teraz mogę wyjąć kopertę. Położyć na ladzie. Wyjąć zdjęcie i pokazać je Daninowi. Mogę powiedzieć: to moja córka w ślubnej sukni. Oraz: ona nic o mnie nie wie. Powiedzieć: to boli.

Wszystkie te myśli przebiegają mu przez głowę, ale palce nie wypuszczają

kieliszka. Nie sięgają do kieszeni.

Danino w końcu ustępuje, unosi kieliszek do góry i wygłasza toast, stukają się i wypijają wino jednym haustem, wyglądają przez okno na deszcz, który przechodzi stopniowo w śnieg i wspominają.

Można by się spodziewać, że taka historia będzie powtarzana z ust do ust, relacjonowana szeptem na klatkach schodowych albo w sypialniach z najdrobniejszymi szczegółami, przez wszystkie pokolenia, lecz o dziwo, zaraz po incydencie, choć miał on świadków, prawdziwych świadków naocznych, nikt o nim nie rozprawiał, ani po hebrajsku, ani po rosyjsku, ani po amerykańsku, jakby ludzie postanowili, że całą sprawę powinny przysypać drobiną czasu, sekundy usypujące się w minuty, jak płatki śniegu. I tak wszystkie grzechy zostały zasypane stopniowo drobinami czasu, sekundami, które zbierały się w minuty, godziny, dni.

Ale mogłoby się zdarzyć, przypuśćmy, że kiedyś o północy ktoś ustawiłby drabinę, opartą o zachodnią ścianę budynku ratusza, i wspiął się lekko, zwinnie po szczeblach, a jego ręka bez wahania popchnęłaby właściwe okno – nie trzeba nawet tłuc szyby, Reuwen z archiwum zostawia okno odrobinę uchylone, żeby wpuścić powiew wiatru – następnie od razu mógłby nacisnąć przełącznik światła i odszukać w dolnym rzędzie, na najniższej półce, skoroszyt zatytułowany *Datki w latach 1993–1994*, odrobinę wystrzępiony na brzegach, a w nim, niemal nie kartkując zawartości, odnalazłby z łatwością oficjalny list od nadawcy: Jeremiaha Mendelstruma z Hillborn, New Jersey, zaadresowany do Burmistrza.

List ten, choć oficjalny, nie należy do krótkich, gdyż najwyraźniej pana Mendelstruma spotkało to, co niekiedy przytrafia się ludziom zamieszczającym podziękowania w swoich książkach – z obawy, że czyjeś imię wypadnie przypadkiem z listy, popadł w przesadę i uwzględnił tam nie tylko wszystkich pracowników ratusza zaangażowanych w jego wizytę, lecz także ratowników z ekipy medycznej – wszystkich ich uznając za prawdziwe sprawiedliwych – którzy opiekowali się nim po godnym pożałowania wypadku, jakiemu uległ w mykwie.

Dopiero gdy skończy wychwalać ostatniego ze strażników parkingu pod szpitalem, kontynuuje w bardziej osobistym tonie: „Kilka dni temu, Przyjaciele, przeczytałem w «Timesie» krótką informację o ptaku, który nazywa się tukan, a który nagle sfrunął na ziemię pośrodku Lincoln Center, tysiące kilometrów od lasów deszczowych Kostaryki, które powinien zamieszkiwać. Obok znajdowała się fotografia tego ptaka, dziobiącego okruchy chleba na oczach zaciekawionego otoczenia, podczas gdy specjalista wyjaśniał, że chodzi o rzadkie zjawisko zwane *lost solos*: pojedyncze ptaki pojawiają się nieoczekiwanie z dala od zwykłych tras swych przelotów, w rejonie, w którym w ogóle nie powinno ich być. Jakby coś popsuło się w ich wewnętrznym systemie nawigacji.

Tak dokładnie, drodzy Przyjaciele – nie na właściwym miejscu, bez

przynależności – czułem się ja po odejściu mojej żony i powiedziałem sobie, że to kara, którą Najwyższy nam przeznaczył, gdy wygnał nas z Raju: wieczne niedopasowanie. Sądziłem, że wszystko, co mi pozostało do zrobienia na ziemi, to czekanie na dzień, w którym dołączę do mojej żony w Niebie. Oto jednak nadeszły dni, które spędziłem w Waszym mieście, i długie godziny, gdy Jona siedziała przy moim łóżku, trzymając mnie za rękę, co przypomniało mi, że największy cud ze wszystkich to nie woda, która trysnęła ze skały, nie zesłanie manny z nieba ani rozstąpienie się Morza Czerwonego, największy cud ze wszystkich dzieje się, gdy dwie osoby spotykają się w odpowiednim czasie i zaczynają tworzyć miejsce, prawdziwe miejsce dla siebie nawzajem.

Żeby dać praktyczny wyraz głębokiej wdzięczności, jaką wobec Was żywię – podsumowuje – i nie poprzestać jedynie na słowach, które mimo wszystko są tylko słowami, zamierzam ufundować w Waszym mieście jeszcze jedną mykwę, pokrywając wszystkie związane z tym wydatki. Z radością skontaktuję się z Wami, by zająć się tą kwestią. Najlepiej, byście uczynili to możliwie jak najszybciej, bo z miejsca, w którym się znajduję, Przyjaciele, można już ujrzyć koniec”.

Słowniczek

Bar Kochba – dosł. „syn gwiazdy”, przydomek Szymona Bar Kosiby, przywódcy ostatniego powstania Żydów przeciwko władzom rzymskim (132–135 n.e.).

Chabad – także Chabad-Lubawicz - to jedna z największych współczesnych grup chasydów, będąca jednocześnie największą religijną organizacją żydowską na świecie.

Chasydzi „Breslow” – chasydzi z Braclawia (jid. „Breslow”), odłam ruchu chasydów, założony przez rabiego Nachmana, prawnuka słynnego twórcy chasydyzmu, Baal Szem Towa. Współcześnie chasydzi braclawscy pielgrzymują w święto Nowego Roku do grobu rabiego Nachmana w Humaniu na Ukrainie.

Chawruta – tradycyjna metoda studiowania tekstu i wspólnej nauki w parach lub grupach.

Cicit – l. mn. cicijot, hebr. „frędzle”; frędzle przewleczone przez cztery rogi szala modlitewnego, tałesu, lub „talit katan” (hebr. „małego tałesu”), rodzaju kamizelki, noszonej pod ubraniem przez ortodoksyjnych mężczyzn.

Filakterie – hebr. tefilin, dwa skórzane pudełeczka zawierające zwitki pergaminu z wersetami Tory, które podczas porannej modlitwy mężczyźni przytwierdzają do czoła i ramienia specjalnymi rzemieniami.

Frankiści – członkowie żydowskiej sekty, założonej w XVIII w. przez polskiego Żyda, Jakuba Franka, zwolennika sabataizmu, który ogłosił się Mesjaszem. Po jego śmierci większość z nich przeszła na chrześcijaństwo.

Jom Kipur – Dzień Pokuty lub Dzień Odkupienia, jedno z najważniejszych świąt żydowskich, dzień postu i odkupienia złych uczynków, obchodzone dziesięć dni po Nowym Roku.

Kabała – dosł. hebr. „przyjęcie, otrzymanie, przekaz”. Mistyczny nurt w judaizmie, którego początki sięgają czasów starożytnych.

Lulaw – słowo oznacza gałąź palmy, a także wiązanekę składającą się z trzech gatunków roślin (palma, mirt i wierzba).

Moszaw – rodzaj osady rolniczej lub miasteczka w Izraelu, założonej przez syjonistycznych pionierów żydowskich w oparciu o zasady wspólnej pracy i spółdzielczości, lecz bez tak ścisłej wspólnoty jak w kibucu.

Mykwa – hebr. mikwe lub mikwa, dosł. „zbiór wody”, zbiornik napełniony wodą deszczową lub źródlaną, przeznaczony do kąpieli, rytualnego obmywania się, dla kobiet i mężczyzn.

Parsza – fragment (porcja) Tory, przeznaczony do odczytania w kolejnych tygodniach. Cały tekst Tory podzielony jest na 54 takie fragmenty.

Rosz ha-szana – żydowskie święto Nowego Roku, przypadające na jesieni.

Sabataizm – ruch mistyczny w judaizmie, zapoczątkowany w XVII przez

pochodzącego ze Smyrny Sabataja (Szabtaja) Cwi, który ogłosił się Mesjaszem.

Sabra – slangowe określenie osoby urodzonej w Izraelu, a niebędącej imigrantem, „stuprocentowy” Izraelczyk lub Izraelka. Dosłownie to nazwa rośliny, opuncji fi-gowej.

Seder, wieczerza sederowa – uroczysta kolacja, rozpoczynająca obchody święta Pesach, upamiętniającego wyjście Żydów z Egiptu za czasów faraonów.

Szasnicy – zwolennicy partii Szas (akronim od hebr. słów „szomrej Sfarad”, „strażnicy”), ultra-ortodoksyjnej izraelskiej partii politycznej.

Szechina – „boska obecność”, określenie używane niekiedy jako synonim Boga, a niekiedy oznaczające odrębny byt, poczucie „bycia” świętości.

Szmone esre – modlitwa w judaizmie, odmawiana codziennie. Nazwa ta znaczy dosłownie „osiemnaście”, ponieważ modlitwa obejmuje osiemnaście błogosławieństw.

Szymon Bar Jochaj – żyjący w II w. n.e. jeden z największych mędrców Talmudu, uczeń rabina Akiwy. Wg tradycji, skazany na śmierć przez rzymskie władze, ukrywał się przez trzynaście lat w jaskini razem z synem.

Talmud – dzieło będące zapisem tradycji ustnej judaizmu, którego dwoma elementami są Miszna i Gemara.

Tanaici (l. p. „tana” – tanaita) – określenie kilku następujących po sobie pokoleń uczonych żydowskich, działających w okresie od 20 do 200 r. n. e.

Tora – Pięcioksiąg, czyli pierwsze pięć ksiąg hebrajskiej Biblii. W szerszym znaczeniu to słowo odnosi się również do całości tekstu Biblii hebrajskiej czy też w ogóle całości nauki i tradycji żydowskiej.

Tikun – dosłownie hebr. „naprawa” lub „naprawienie”, może być rozumiane jako wysiłek „naprawy” lub „doskonalenia” świata, naprawy zaistniałego zła i przybliżenia ludzi do Boga.

Tisza be-Aw – 9 dzień miesiąca Aw, dzień żałoby, upamiętniający liczne nieszczęścia, które spadły na naród żydowski, przede wszystkim zburzenie Pierwszej i Drugiej Świątyni.

Tu be-Aw – 15 dzień miesiąca Aw, pomniejsze święto żydowskie, współcześnie często traktowane jako „święto miłości”, Dzień ten uważa się za dobry termin do zawierania małżeństwa.

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

ul. Marszałkowska 8

00-590 Warszawa

tel. 22 6211775

e-mail: info@muza.com.pl

Dział zamówień: 22 6286360

Księgarnia internetowa: www.muza.com.pl

Wersja elektroniczna: MAGRAF s.c., Bydgoszcz

